

THOMAS RAAB



CISZA

Kronika życia pewnego mordercy



O książce

Książka, na jaką czekali czytelnicy „Pachnidła” Patricka Süskinda, ale także fani Thomasa Harrisa i jego powieści z Hannibalem Lecterem.

HISTORIA SERYJNEGO ZABÓJCY, KTÓREGO NIE SPOSÓB  
OSĄDZAĆ

Najbardziej samotny człowiek na świecie?  
Potwór? Geniusz? Wybawca? Kat?

Karl Heidemann, żyjący w izolacji chłopiec, który urodził się naznaczony piętnem - nadwrażliwym słuchem – pragnie tylko ciszy. Kiedy staje się świadkiem samobójstwa matki, odkrywa, że śmierć wcale nie jest czymś strasznym, przynosi bowiem ciszę i spokój. Jest prawdziwym darem. Karl zaczyna więc hojnie ofiarowywać go tym, którzy na niego zasługują.

THOMAS RAAB

---

CISZA

Z niemieckiego przełożyła  
Marzena Wasilewska



O Thomas Raab  
(ur. 1970 r.)

Austriacki pisarz, scenarzysta i muzyk. Po ukończeniu studiów pracował w Wiedniu jako nauczyciel, jednocześnie komponując i nagrywając płyty. W 2007 r. ukazał się jego pierwszy kryminał rozpoczynający cykl siedmiu powieści z restauratorem Willibaldem Adrianem Metzgerem. W Austrii i Niemczech książka przyniosła autorowi ogromną popularność, a z każdą kolejną zyskiwał coraz większy rozgłos, i to nie tylko w krajach niemieckojęzycznych. Za jedną z nich autor otrzymał prestiżową Nagrodę Leo Perutza. Na podstawie dwóch kolejnych stacje ORF i ARD nakręciły filmy. *Cisza* to pierwsza książka Raaba, która ukazała się poza tą serią.

Tytuł oryginału:

STILL. CHRONIK EINES MÖRDERS

Copyright © 2015 Droemer Verlag Ein Unternehmen der Droemerschens  
Verlagsanstalt

Th. Knaur Nachf. GmbH & Co. KG, München

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Marzena Wasilewska 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Opracowanie i przygotowanie okładki do druku: Katarzyna Meszka

This book has a Translation Grant by the Federal Chancellery of Austria,

Department II/5 – Literature and Publishing

ISBN 978-83-6578-179-6

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Annie,  
bo jest taka jak ja.  
Z miłością  
Tata*

## **Część 1** WIARA

*Czegoś, co się wypowiedziało albo usłyszało, nie można już cofnąć. Nigdy. Nawet jeśli się tego bardzo pragnie. Nie pomogą żadne zaklęcia, żadne modlitwy.*



## 1 POCZĄTEK

Dzień, w którym zmarł Karl, był szczęśliwym dniem.

Z ceglanego komina za wzgórzem wznosił się biały dym i snuł się na bezchmurnym niebie niczym welon panny młodej. A dookoła zieleń łąk i lasów. Soczysta. Bujna. Rozprzestrzeniająca się. W dali łagodne wzniesienie Góry Kalwaryjskiej, a za nią kopzące kominy hut. I ta cisza. Tylko śpiew ptaków, bzyczenie owadów i szmer instalacji elektrycznej. Szelest liści drzew i wiatru. Spokojne miejsce – przez ulotną chwilę.

Bo w którymś momencie pojawia się pierwszy drogowskaz: pokazuje kierunek i ma wypisaną nazwę – Jettenbrunn. Może i świeci słońce, może jest jasno i ciepło, ale od teraz każdy kamień, każde źdźbło trawy będzie zasnuwane cieniem rzucanym przez chmurę pełną wspomnień i mroku, brzemiennej niepokojem. Kiedyś bowiem wśród tego spokoju przyszło na świat dziecko – Karl Heidemann.

A to jego historia.

Był szósty grudnia 1982 roku, kiedy ciszę niewielkiej wioski przeciął krzyk. Ostry, przeciągły, jakby dla pewności, że wszędzie dotrze, że będzie słyszalny. Wdarł się do ogrzanych pomieszczeń, przynosząc ludziom radość. Niczym niezmaconą radość. Nowe życie daje nadzieję. Za mało zostało chłopców, zbyt wielu starych ludzi umarło, tyle domów stało pustych.

W tę drugą niedzielę adwentu domy pustoszały jednak nie w wyniku ucieczki ze wsi, lecz z powodu wdzięczności. Trzeba było iść z pielgrzymką do miejsca narodzin, jakby na świat przyszedł sam odkupiciel. A tam, w domu Heidemannów, w ramionach przepelnionej szczęściem matki, leżącej na wciąż jeszcze mokrej pościeli, spoczywał krzyczący o swoje młode życie Karl.

Dla ochrony przed zimmem i śniegiem ciepło opatuleni ludzie nadchodzili ze wszystkich stron, z koszami pełnymi ciasta i wina, z drobnymi podarunkami – wyszydełkowaną czapeczką, zrobionym na drutach kolorowym sweterkiem – by powitać nowe życie.

Tłoczyli się wokół matki, dłonie rozgrzewali płonącym w piecu ogniem, a ciała samogonem, hojnie rozlewany na powitanie, i przyglądając się paskudnie wrzeszczącemu na całe gardło dziecku, od razu wiedzieli: chłopcu trzeba dać pierś, chce herbatki z kopru, przydałby mu się smoczek, kciuk albo róg poduszki do ssania, chłopiec potrzebuje świeżego powietrza, no i nie można zapomnieć o tym, że najpierw musi przetrwać podróż, którą właśnie odbył, a która nazywa się „poród”: niepokój, ciasnotę, przemoc, ból, a potem to krzyczące światło, dzwoniące zimno, śmiertelny strach, rozdzielenie, lęk przed uduszeniem. Mało komu po takich przejściach byłoby do śmiechu; z pewnością nie ma powodu do niepokoju.

A Karl wciąż krzyczał.

Charlotte Heidemann słuchała, co mówią, ale niewiele z tego rozumiała; tylko troskliwie tuliła wciąż skurczone ciało ze swojego ciała.

Wrzask, jaki potrafiła wydawać z siebie ta mała istota już w pierwszych godzinach swojego życia, był ogłuszający. Ogłuszający i w pewien sposób mądry. Wszystkim mieszkańcom Jettenbrunn w końcu zaświtało, że czas opuścić błogie ciepło izby i młodą matkę.

Kiedy wracali do swoich domów, mroźny wiatr głąskał pokryte puszystym śniegiem pola, a obłoczki wypełnionych plotkami oddechów posyłał to tu, to tam.

Chociaż liczniki prądu, jak zawsze z nastaniem mroku o tej porze roku, wariowały, bo domy zdobiły zapalone lampki, jakoś nikt nie czuł adwentowego pokoju.

Świętemu Mikołajowi, który tego szóstego grudnia zawitał w Jettenbrunn, towarzyszył wrzask, przesywający do szpiku kości, rozchodzący się po lasach, ba!, sięgający samego szczytu Góry Kalwaryjskiej.

Karl krzyczał i krzyczał. I krzyczał. Nic nie mogło go pocieszyć – ani matczyne przytulanie, ani żarliwy śpiew, ani pierś. Jedynym, co wyrażał, była pogarda. Podczas gdy Charlotte Heidemann czule do niego mówiła albo, cicho nucąc, głąskała go po główce, wzbraniał się przed piciem matczynego mleka, przed jej bliskością, przed jej dotykiem. Nieprzerwanie krzyczał i wierzgał nóżkami, dopóki mógł, dopóki, długo po północy, mokry od potu i skrępowany tetrową pieluchą, wyczerpany zapadł w swój pierwszy sen po przecięciu pępowiny.

Johann Heidemann ostrożnie włożył zmęczone dziecko do kołyski i spokojnie ją bujał.

Spokojnie i cicho.

Cisza zbawienna dla wszystkich, dla całego Jettenbrunn, dla rodziców Karla i dla niego. Tylko tykanie zegara, lekkie szuranie o deski podłogowe poruszającej się kołyski, głęboki oddech ojca.

Sen, który nie trwał długo.

## 2 POCHODZENIE

Johann Heidemann, ojciec Karla, był silnym mężczyzną, niewysokim wprawdzie, ale solidnym jak pień. Nie sztuka obalić drzewo, ale korzenie wczepiają się uparcie w swoje ziemskie królestwo i pień pozostaje – jako coś, na czym można usiąść, jako podstawa nowego życia, jako kamień pamięci. Ciemne strony życia Johann Heidemann znał od dziecka. Miał sześć lat, kiedy któregoś wieczoru w domu, zamiast rodziców, pojawił się policjant. Nie miał wiele do powiedzenia poza tym, co zwykle w tych stronach.

Lekko górzysta okolica.

Łagodne łuki wijącej się przez nią drogi krajowej.

Na niej ciężarówka jadąca znacznie powyżej dozwolonej prędkości.

Wyprzedzająca ciężarówka.

Drugi pas, który wydawał się pusty.

Ale nie był – z naprzeciwka jechali rodzice Johanna.

Kolejny żelazny krzyż między zakurzonymi słupkami przy drodze, upamiętniający ofiary.

Od tego czasu Johann mieszkał z dziadkiem i ciężko chorą babcią ze strony matki, bo jego ojciec też wcześniej stracił rodziców.

Nie minął nawet rok, gdy w nowym domu Johanna zabrakło kobiecej ręki, a kiedy skończył dziewiętnaście lat, pozostał w nim sam. Jediną osobą, do której mógł się odezwać, był sąsiad – wiejski nauczyciel Alois Daxberger – tak jak on zdany tylko na siebie.

W tym czasie Johann Heidemann, jak wielu ludzi pochodzących z tych stron, pracował już na dzienną zmianę w hucie Siegenshart.

Resztę czasu najchętniej spędzał sam. Unikał gospody Przy Poczcie, podobnie jak wszelkich wiejskich festynów i spotkań; nie lubił dużo gadać. Johann Heidemann mówił tylko wtedy, kiedy musiał, przez co zyskał sobie opinię niedorozwiniętego, co kwitował milczeniem. Bo niby co miał odpowiedzieć mieszkańcom Jettenbrunn? Szkoda trudu, skoro ludziom starcza zwykle obejrzenie karykatury do wyrobienia sobie poglądu na temat kogoś lub czegoś.

Matka Karla, Charlotte z domu Auböck, w przeciwieństwie do męża mówiła – za siebie i za niego. I mówiła tak wytrwale, tak szybko, głośno, gardłowo, ostro, czasem z bólem, jakby uciekał jej zarówno czas, jak i słuchacze. To, że nie traciła tych drugich, wynikało z ludzkiej hipokryzji, nazywanej uprzejmością. Charlotte była bowiem żoną Johanna Heidemanna, a ten, mimo przypisywanej mu ociężałości umysłowej, uchodził za człowieka do wszystkiego, który wiedział, jak się zabrać do pracy przy wyrębie drzew, budowie domu czy wykopaniu dołu na szambo. Przydatny wół roboczy, w dodatku darmowy; zamiast zapłaty wystarczyła złożona z resztek kolacja, butelka wina albo paczka pralinek.

Warto było z nim dobrze żyć, mimo akustycznej plagi, jaką ściągnął na wioskę, wybierając sobie żonę. Plagi, od której nie dało się uciec. W ciągu tygodnia Charlotte stała bowiem przy kralnicy wędlin w sklepie spożywczym należącym do leciwej Adele Konrad i niczym gazeta puszczała w obieg najświeższe plotki, dorzucając zawsze chętnie kilka plasterków szynki więcej, niż chciał klient, i do każdych czterech bułek dodając jedną gratis, podczas gdy na jej szyi dyndała pięcioramienna gwiazdka zawieszona na skórzanym rzemyku.

– Dostałam od rodziców. Ma mnie chronić przed złem – dowiedziała się wkrótce cała wioska. – Pięć to moja szczęśliwa liczba.

– I co? Chroni? – pytali ludzie.

– Nas w każdym razie nie chroni – mówili potem w gospodzie, rycząc ze śmiechu. Podłe, bo Charlotte była dobrym człowiekiem i nieźle sobie radziła ze skrzynkami owoców i warzyw, workami mąki i przypraw, beczkami wina i kiszzonej kapusty. Znała się na tym; w podobnym otoczeniu dorastała na północy kraju, jako dziecko właścicieli sklepu żelaznego. Jedyne dziecko. Matka Gertraud, z perłami w uszach; ojciec Heinrich z wypomadowanymi włosami; sklep lśniący czystością, zawsze wypolerowane meble z twardego drewna, jeszcze pachnące miodem i woskiem, niezliczone szuflady różnej wielkości, a w nich niezliczone przedmioty. Rodzice zawsze mieli ręce pełne roboty, ale najważniejsza spośród tysięcy rzeczy była ich córka. Za ladą stał wiklinowy wózek, potem kojec, dziecięce wysokie krzeselko, a w końcu stanęła za nią sama Charlotte. I nigdy nie usłyszała: „Zostaw, nie potrafisz tego!”, „Trzymaj łapy z daleka, bo wszystko popsujesz!”, tylko „Dasz sobie radę”. A że mama i tata Auböckowie nigdy nie mieli wolnych rąk – a już zwłaszcza podniesionych – Charlotte wyrosła na pracowitą i w głębi duszy cudowną istotę.

Tylko co komu przyjdzie z wewnętrznego piękna, skoro ludzie zwracają uwagę tylko na zewnętrzne wady. Od dziecka z powodu swoich organów mowy była skazana na spędzanie życia między gwoździami, pudełkami pełnymi śrubek, żwirkiem dla kotów, nawozem do trawników, guzikami i zamkami błyskawicznymi, nie mając jasności co do powodów, dla których jest odrzucana. Wiedziała tylko, że w przeciwieństwie do swoich koleżanek ze szkoły nie dostaje zaproszeń na urodziny, na ostatekowych balach nikt się nie podnosi, żeby poprosić ją do tańca, żaden chłopiec nie wpada do sklepu, żeby ją dokądś zabrać. Nic.

Im bardziej czuła się odrzucana, tym głośniejsze, o nic niepytana, mówiła. I nikt nie rozpoznał w jej ostrym tonie wołania o pomoc, głuchego, ale coraz bardziej natarczywego: „Kto mi wreszcie powie, co jest ze mną nie tak?!”.  
I wtedy... Tak, wtedy właśnie pojawił się Johann Heidemann.

On po lewej stronie drogi, sam i milczący.

Ona po prawej stronie drogi, sama i milcząca.

To były pierwsze wakacje Charlotte bez rodziców. Chciała wyjechać,

daleko, uciec od melancholii, znaleźć się w innym miejscu, choćby tylko na dwa tygodnie. Gdzieś, gdzie jest zielono, mniej ludzi, mniej odrzucenia, mniej bólu, taką miała nadzieję. Mały pensjonat u podnóża Góry Kalwaryjskiej, gdzie można dużo spać, wybierać się na długo spacerować, wspinać się przez kolejne stacje drogi krzyżowej aż na sam szczyt, przeżywać mękę Pańską i zapomnieć o własnej, a potem, po drugiej stronie wzgórza, w dół przez zagajnik, pomachać nogami w wodzie... Tak, musi być staw.

Ciepły wiosenny dzień. Las, zapach czosnku niedźwiedziego, wszystko kwitnie, rośnie, a wśród tego dwoje ludzi. Charlotte i Johann. Dwoje obcych, którzy witają się skinieniem głowy, gdy się mijają, a potem, niecałe dwa metry dalej, się zatrzymują. Ona się zatrzymuje. I on.

– Przepraszam, wie pan może, jak dojść do stawu?

– Wiem.

– To dobrze, bo ja nie jestem stąd.

– Tak?

– Przyjechałam tu na wakacje.

– Na wakacje? Tutaj?

I dalej idą razem.

On słucha, ona mówi, przez całą drogę, tam i z powrotem. Charlotte co chwila patrzy w oczy tego obcego człowieka i odkrywa w nich znacznie więcej niż w oczach innych ludzi. Widzi milczące zainteresowanie, niczym niezakłóconą uwagę, ani cienia nudy, ani trochę kpiny, krytyki; i tak przez kolejne dni wakacji, a spotykali się codziennie, nieprzypadkowo, i razem spacerowali po lesie.

Życie Johanna Heidemanna wydostało się z szarego kokonu. Pragnienie bycia z kimś nagle zyskało prawdziwą twarz. Twarz, która cierpliwie pozostawała przy nim aż do miejsca stanowiącego cel ich codziennej wędrówki – do kaplicy Świętej Marii stojącej nad brzegiem stawu.

Stawu, który wiele już widział: ludzi zadowolonych wychodzących z wody, ludzi zrozpaczonych wchodzących do wody, ludzi szukających w niej w lecie ochłody, ludzi, pod którymi w zimie załamywał się lód, ludzi tracących na brzegu niewinność, ludzi proszących w kaplicy o rozgrzeszenie, ludzi, którzy szeptem zwierzali się figurce Marii ze swoich pragnień słowami, na jakie nigdy by się nie zdobyli przed kimkolwiek.

Nie minęło sześć miesięcy, a z ust Johanna Heidemanna, który właśnie w tym miejscu, w obecności wszystkich mieszkańców Jettenbrunn, brał za żonę Charlotte Auböck, padło trochę więcej słów niż zwykle, a „tak” powiedział głośniejszym niż kiedykolwiek w swoim życiu.

### 3 NARODZINY

Nikt dotąd nie był świadkiem takiej miłości, jakby tych dwoje zostało dla siebie stworzonych. Ludzie widzieli Johanna i Charlotte spacerujących, widzieli ich na łące rozkładających koc, żeby urządzić sobie piknik, widzieli Charlotte, jak stoi na trawie ze sznurkiem w ręce, patrząc prosto przed siebie, uśmiecha się do aparatu, a potem pokazuje w górę na papierowego ptaka szybującego wysoko na niebie; słyszeli jej śmiech, gdy jak dziecko puszczała latawiec. Coś z jej śmiechu przenosiło się na twarze mieszkańców wioski. I nawet jeśli zdarzało się, że zakradała się na nie kpina, to u jej źródeł leżał podziw. Jak tych dwoje to robi? Naprawdę można z kimś żyć w takiej harmonii? Więc dlaczego nie ja?!

Wkrótce miłość znalazła sposób, by pozostawić po sobie trwały ślad, sposób na ucieleśnienie się. W postaci potomstwa. Karla Heidemanna. Jeszcze nie było go słychać. Jeszcze się nie urodził.

Przyszłą matkę ogarnął błogostan, jej radość była bezgraniczna. Z zachwytem patrzyła na wysiłki małżonka, który postanowił zamienić stary wiejski dom w oazę szczęśliwości – z piwnicą na wino, sauną i salonem.

Przez wiele tygodni z cierpliwością znosiła ciężowe mdłości, a kiedy rosnąca w niej istota się przeciągała, napierała nóżkami i piąstkami na matczyne ciało, Charlotte czuła uniesienie. I nieopisane szczęście wyrażane nieustannym śpiewaniem, głośno i wyraźnie, całych litanii dziecięcych kołysanek. W nieskończoność wyśpiewywała zwrotki:

*Śpij, dziecię, śpij.*

*Jaśniutki księżyc jest już na niebie.*

*Na białym koniu jedzie do ciebie,*

*Tak cicho, jakby śnił.*

*Śpij, dziecię, śpij.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

*Księżyc na nosie ma okulary*

*I widzi wszystko, chociaż jest stary.*

*Takie już z niego lichy.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

A jeszcze nienarodzony Karl odpowiadał Charlotte tak, jak potrafił; matka szalała, więc szalało również dziecko – kiedy ona podnosiła głos, ono boksowało i kopało, tym mocniej i boleśniej, im bardziej zaawansowana była ciąża. Dopiero gdy nadchodził wieczór i Charlotte kładła się do łóżka i zasypiała, wreszcie i w niej zaczynał panować spokój. Jakby ona i dziecko byli jednością z jednym sercem i jedną duszą; tak sobie myślała.

Myliła się. I to bardzo.

Karl rozbił tę jedność ponad miesiąc przed przewidywanym terminem, któregoś dnia, późnym rankiem, rozrywając pęcherz płodowy. Potem poszło szybko, bardzo szybko. Żadnych bólów porodowych, żadnej męki, jakby Karl chciał ograbić z heroizmu nie tylko swoje narodziny, ale i matkę. Upragnione dziecko, oczekiwane z całego serca, ale jego przyjście na świat było początkiem niemającej końca ucieczki i niszczycielskiej fali. Katastrofalny krok, którego nie sposób było nie usłyszeć. Głośny wrzask docierał niemiłosiernie do najdalszych zakątków wsi.

Fizyczny stan noworodka szybko zaczął wzbudzać niepokój. Niedożywiony, słaby, gorączkujący, miotał się w ramionach zrozpaczonej matki. Przy nieustannym:

*Śpij, dziecię, śpij.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

Ale nie było ani snu, ani ciszy. Na nic zdały się wszystkie wysiłki. Nic nie pomogła wizyta wiejskiego lekarza, doktora Albrechta Hofstättera ani konsultacja w pobliskim szpitalu. Nikt nie zdiagnozował u noworodka jakiejś konkretnej choroby. Poza zbyt niską wagą wszystko było w normie. To oznaczało, że

Charlotte Heidemann – tak to jej wytłumaczono – wydała na świat wrzeszczące dziecko; to się zdarza, i chociaż bardzo im wszystkim przykro, czasami nie ma na to żadnego medycznego wyjaśnienia, zwłaszcza jeśli ciąża i poród przebiegały tak prawidłowo jak w tym wypadku. Poradzono więc rodzicom, żeby zapewnili chłopcu jak najwięcej spokoju i nie żalowali mu mleka z butelki.

Od tej pory Karl pił. I to z prędkością łodzi wyścigowej – łapczywie, nerwowo, niczym uciekinier, który zaraz po tym, jak się posili, musi ruszać dalej. Tylko dokąd miałby uciec niemowlak w wózku, pieluszce, zdany we wszystkim na innych?

Charlotte, która na początku nie była gotowa wypuścić swojego szalejącego dziecka z rąk i nieustannie żarliwie tuliła je do piersi, dopóki kompletnie wyczerpane nie zasypiało u jej boku, z czasem coraz bardziej słabła.

– Daj mi go chociaż na chwilę, żebyś trochę odpoczęła – mówił zmartwiony Johann.

– Odpocznę, kiedy umrę – odpowiadała, jakby przeczuwała, co się stanie.

Najpierw jednak, gdy Charlotte na nic nie miała już sił, a nastąpiło to dość szybko, przyszedł doktor Hofstätter. Niepohamowany strach i bezsilność wobec własnego dziecka, które sprawiało wrażenie zdanego na jej łaskę, smutek z powodu odrzucenia, ból nabrzmiąłych piersi i rosnąca gorączka złamały jej wolę. Hofstätter zapisał jej zastrzyki, zalecił jak najwięcej spokoju, przekazał Karla w silne ręce ojca i kazał mu wyjść z dzieckiem na dwór.

Wtedy Karl się uspokoił.

I pozostał spokojny, kiedy ojciec wkładał mu czapkę, zimowe ubranka i owiniętego kocykiem wynosił z domu.

Ciemność i cisza. Zrobiło się późno. Karl Heidemann po raz pierwszy w życiu zobaczył rozgwieżdżone niebo, poczuł świeże, mroźne powietrze i działanie nocy. Otworzył szeroko oczy, chrapki nosa się rozszerzyły. Lekko przechylił główkę i węszył, nasłuchiwał, odczuwał – łapczywie i z ciekawością, trochę jak odkrywca w obcym kraju, trochę jak polujący drapieżnik.

Johann przez chwilę stał w świetle księżyca, patrząc na syna i głęboko oddychając. A potem to zobaczył, i było to coś najpiękniejszego, co widziały jego oczy: uśmiech swojego dziecka, krótki, jak migawka, a jednak przysłaniający wszystko. Czarne, błyszczące oczy szukały spojrzenia ojca i wpiły się w nie, gdy je odnalazły.

W tym momencie Karl Heidemann narodził się po raz drugi, po raz drugi oddzielił się od matki, znów została odcięta pępowina, w ten ostateczny sposób, jaki odczuwają matki, gdy w dziecięcych pokojach już tylko fotografie wskazują na minioną obecność uwiecznionych na nich osób.

Wtedy nie miał jeszcze trzech tygodni.



## 4 ROZWIĄZANIE

Nadszedł dzień, którego Charlotte Heidemann bardzo się bała: dzień powrotu męża do huty, końca jego stałej obecności w domu, początku bycia zdaną tylko na siebie. Jej rodzina nie mogła pomóc, bo była za daleko. Rodzice Johanna nie żyli, a z mieszkającymi w okolicy krewnymi nie mieli kontaktu. Przyjaciół, do których można się zwrócić o pomoc, nie było.

Po raz pierwszy słowa „Dasz sobie radę” nabrały innego wymiaru. Pozostawiona sama sobie, tak właśnie się czuła, zdana na siebie i swój – prawdopodobnie – ciężki los.

I spełniły się najgorsze przeczucia. Lęki stały się rzeczywistością. To, czego najbardziej się boimy, nie zdarza się, mówią. Akurat! Tu się zdarzyło. Było gorzej, niż Charlotte się obawiała. Nie pomagało ani bujanie kołyski, ani dziecięce piosenki, ani spacer w wózku. Nie do pomyslenia było, by wsadzić Karla do samochodu i pojechać z nadzieją, że drgania, warkot silnika czy inne odgłosy pojazdu okażą się cudownym środkiem.

Dopiero wieczorem, gdy mąż wracał z pracy, odczuwała ulgę. Ledwie Johann przekroczył próg, spocony po ciężkim fizycznym wysiłku, przejmował drącego się wniebogłosy syna, przyciskał go mocno do piersi i wychodził z domu.

O ile na początku małe, wymęczone wijące się ciało uspokajało się dopiero po kilku kilometrach marszu, o tyle z czasem działo się to już parę kroków od domu, a w końcu wystarczało, że Karl poczuł intensywny zapach ciała ojca. Mimo to Johann pokonywał zawsze tę samą trasę. Brnąc przez śnieg, tego roku grubo pokrywający ziemię, szedł daleko za wioskę, aż do brzegu stawu, dla śpiącego syna, ale i dla siebie. Korzystał z tego czasu u schyłku dnia, jakby w ten sposób mógł uciec od trosk. A syn znajdował ucieczkę w rytmie mocno bijącego ojcowskiego serca.

W ciągu dnia nie było jednak ucieczki, ani dla Karla, ani dla jego matki, ani dla mieszkańców wioski. Coraz częściej Charlotte sięgała po jedyny ratunek, który uciszał jej dziecko przynajmniej na chwilę: po butelkę z mlekiem.

A skoro Karl, jakby również widział w butelce jedyny ratunek, nigdy jej nie odtrącał, uznano, że jego wrzask jest oznaką głodu i domaganiem się, by go nakarmiono. Im częściej dostawał butelkę, tym częściej żądał kolejnego posiłku, tym bardziej przybierał na wadze, a im więcej ciała, tym większy głód... błędne koło. Koniec końców, Karl Heidemann miał, w dosłownym tego słowa znaczeniu, wiecznie zatkaną gębę, chyba że – najedzony tak, że aż się ulewało – zamroczony zapadał w krótki sen.

Dość szybko było widać po chłopcu to „zatykanie gęby”. Johann widział, ale milczał, bo co miał powiedzieć? Jak mógł pozbawić Charlotte jedynej możliwości ratunku?

W knajpie żartowano na ten temat.

– Wygląda na to, że mały Heidemannów rośnie wszerz, a nie wzdłuż. Jak dzieciak zacznie chodzić, trzeba będzie zamykać spiżarnie.

Było wesoło przy stole, dopóki ktoś przy następnej kolejce nie powiedział:

– A może te wrzaski Karla to kara dla was za to, że latami plotkowaliście na temat Charlotte.

To przypuszczenie zagnieździło się w głowach mieszkańców Jettenbrunn i rozprzestrzeniło się jak zaraźliwy wirus.

A Charlotte zamykała się w swoim cierpieniu, zaszywała się w domu, wierząc, że ludzie winią ją za wrzaski syna. Dziecko się drze, bo ona nie sprawdza się jako kobieta, gorzej, nie nadaje się na matkę. Tylko że każda wiara z punktu widzenia wierzącego w coś innego jest błędna. I Charlotte się myliła. Mieszkańcy wioski omijali szerokim łukiem dom Heidemannów z całkiem innego powodu.

– Ten dzieciak jest chory – powiadali. – Chory na głowę. A może nawet opętał go diabeł.

Po obu stronach występowało więc to, co jest typowe dla każdej wiary, która odrzuca możliwość zakwestionowania jej – urojenia.

Charlotte coraz bardziej unikała mieszkańców wioski, a oni unikali jej jeszcze bardziej. I chociaż wszyscy widzieli, że młoda matka potrzebuje pomocy, chociaż pojawiała się coś takiego jak współczucie czy wstyd z powodu odtrącenia czyjogoś niemowlęcia, niczego to nie zmieniło. Widząc ją z daleka, uciekali z pochylonymi głowami, kombinowali, gdzie skręcić, szukali wzrokiem kogokolwiek, z kim mogliby zacząć rozmawiać. Tylko ze strachu przed zamianieniem kilku słów z Charlotte skończyły się trwające nieraz dziesięciolecia konflikty, na czym wiejska społeczność w pewnym sensie zyskała.

W głowach ludzi zalęgły się dziwne myśli; nawet tym, którzy je snuli, wydawały się obce i niedopuszczalne. Ale czy jest siła większa, bardziej zaraźliwa, budująca albo niszcząca niż ta w ludzkich głowach? Zrzucano więc na Karla wszystkie winy, pozbawiano go wszelkich praw należnych niemowlakowi, jak prawo do tego, by nie wiedział, co robi, przypisywano mu niepoczytalność i, tak, złośliwość czy nawet podłość. W jego głosie i spojrzeniu było coś niepokojącego, coś przerażającego. Nic, tylko ta dyndająca na szyi Charlotte pięcioramienna gwiazdka, która miała chronić przed złem, ściągnęła na nią zło.

Co zrobi to dziecko, które w chwili przyjścia na świat postanowiło wrzeszczeć światu w twarz, kiedy będzie już mogło coś zrobić?

Na razie musiała coś zrobić Charlotte Heidemann. Wlokące się godziny bez męża, nieznośne natężenie hałasu, odtrącenie, które czuła wszędzie, ciało napięte i obolałe po nieustannym noszeniu i oporządzaniu syna... Jeszcze trochę, i nie da rady zmieniać pieluszek, podnieść swojego coraz grubszego, podobnego do larwy dziecka, w ogóle go dotykać. Protesty Karla się nasilały, ale z czasem ona też

zaczęła protestować; bastion matczynej miłości padł i zaczęły się pojawiać pierwsze iskry płynącej prosto z serca odrazy.

Odrzy do tej wiecznie wykrzywionej, napuchniętej mordy. Była u kresu sił. Mogła już marzyć tylko o jednym – o ucieczce. Zostawić to wszystko i uciec.

Któregoś popołudnia spełniła swoje pragnienie, ale inaczej, niż myślała. Zdenerwowana do granic wytrzymałości wierzganiem dziecka przy przewijaniu zabrała go do łazienki, żeby zmyć mu z pleców kupę.

Przed nią dziecko dziko wymachujące piąstkami, w niej – gniew i rozpacz.

Przed nią woda, której poziom stopniowo się podnosił; w niej pragnienie wyzwolenia, myśl, czyn.

Zerka w dół, zatyka odpływ, patrzy na miotającą się kupkę pogardy w jej ramionach, nachyla się i pozwala, żeby wymsknęła jej się z rąk.

## 5 UPADEK

Karl zastygł, a potem rozłożył kończyny jak spadochroniarz i zniknął pod powierzchnią wody, bezbronny z otwartymi ustami i oczami. Rozległ się przytłumiony odgłos, gdy jego ciało uderzyło o dno emaliowanej wanny.

A potem zapadła cisza.

Leżąc na dnie wanny, Karl Heidemann patrzył w górę na sufit. Strach tylko na chwilę wykrzywił mu buzię, a potem pojawiła się na niej ulga, jakby coś zrozumiał, i Charlotte nie widziała już na jego twarzy lęku, nawet kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Jeden jedyny oddech dzielił go już od końca, a Karl leżał bez ruchu przed matką, nie domagając się, by go uratowała, nie odrywając od niej oczu.

Oczu pełnych dumy, jakby świadomie poświęcał młode życie, żeby tylko zwrócić się do swojej dręczycielki z wołaniem o pomoc.

Dreszcz, który przebiegł po plecach Charlotte, i zimny pot na czole wyrwały ją z odrętwienia; jakby uwolniła się ze szponów diabła, podniosła dziecko, przycisnęła do piersi i zalewając się łzami, pobiegła do sypialni, żeby je wytrzeć. Nieprzerwanie powtarzając: „Przebacz mi, proszę, przebacz mi”, zaniósła je do łóżeczka i wypadła z domu na zimne powietrze.

W samej cienkiej sukience, pończochach i kapciach na nogach popędziła zaśnieżoną drogą, jakby ją ktoś gonił. Ale czy można uciec przed sobą?

Ucieczka przed kimś innym może pomóc – o tym akurat sąsiad Heidemannów, Alois Daxberger, siedzący właśnie przy ciepłym kaflowym piecu i patrzący przez okno, mógł coś powiedzieć. W jego wypadku ta ucieczka była dezercją. W 1944 roku siedział w okopach, z dala od swojego kraju, otoczony trupami i dziećmi. Z karabinem maszynowym gotowym do strzału rozkazał kilku siedzącym obok chłopcom, których odebrano rodzicom, by z wypiętą pierśią wzięli udział w tym, co propaganda nazywała ostatecznym zwycięstwem, żeby zostawili swoje mundury i broń i uciekali ile sił w nogach. Widział już dość piętnasto-, szesnastoletnich chłopców z oderwaną połową ciała, leżących na polach i wołających matek. Najwyższy czas odejść z tego pozbawionego Boga świata, bo dokądkolwiek trafi po śmierci, miał pewność, że gorzej niż tu nie będzie. Niecałą godzinę po tym, jak chłopcy uciekli, obok wybuchł granat, ale Alois Daxberger nie stracił, tak jak tego pragnął, życia, tylko słuch i nogi.

Wrócił do Jettenbrunn jako jeden z nielicznych mężczyzn ze swojego pokolenia, którzy przeżyli – inny rodzaj ucieczki ze wsi – i nie potrzebował wiele czasu, by dojść do pewnego wniosku. Nawet jeśli wojna przyniosła mu gorzkość, pozbawiając go wszystkiego – bliskich, nóg i słuchu – to teraz, czasami paradoksalnie, miał wrażenie, że dzięki tym stratom życie stało się znośniejsze. Od czasów wojska jedno wiedział na pewno: dobrze jest móc nie we wszystkim

uczestniczyć, bo tak jak wszędzie indziej, również tam działała zasada: o wiele łatwiej jest być akceptowanym outsiderem na własne życzenie niż odtrącanym przymusowym uczestnikiem.

Zmartwiony Alois Daxberger tego dnia odłożył książkę. Przed jego oknem właśnie przemknęła Charlotte, w samej sukience i kapciach; biegnąc w ciemności, opuściła wioskę. Nie miał jak jej gonić. Ale w domu pozostało wrzeszczące dziecko.

Charlotte Heidemann biegła, biegła i biegła, zgubiła kapcie, straciła siły, przewróciła się i leżała w bieli, wiedząc, że cokolwiek zrobi, nigdy nie pozbędzie się wspomnienia tego, co się przed chwilą stało, bo śladem Charlotte podążał jej własny cień.

– Karl – szeptała skulona, przyciskając dłonie do twarzy. Potem zaczęła się modlić, wciąż powtarzając ten sam kawałek: – *Święta Mario, matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.*

Im dłużej wypowiadała słowa modlitwy, tym bardziej wydawały jej się bezsensowne. Bo ona sobie nie wybaczy, nigdy w życiu.

Warstwa śniegu wydała się jej makabrycznym łóżem, miękkim i ostatecznym. Tak zostać, zasnąć, ostatni już raz, aż przestanie cokolwiek czuć, aż niczego już nie usłyszy.

Usłyszy... Charlotte Heidemann nagle zamarła, bo naprawdę nic nie słyszała. Było cicho. Za cicho. Nawet do tego miejsca, z którego widziała tylko mały zarys swojego domu, powinny dochodzić krzyki Karla.

Ale nie słyszała nic. Zupełnie.

Przerażona Charlotte Heidemann ruszyła w drogę powrotną; całkiem przytomna, potykała się, mając przed oczami: nieruchome dziecko; siebie – zabójczynię; stracone życie.

I rzeczywiście, Karl leżał w swoim łóżeczku, z rozłożonymi, lekko zgiętymi rękami i dłońmi obróconymi wewnętrzną stroną w górę – jak ukrzyżowany – ze spokojną twarzą, główką lekko przechyloną, z zamkniętymi oczami.

– Zabiłam cię – szepnęła, padła na kolana i pełna gorzkości zaczęła płakać.

– Śpi. – Gdzieś z tyłu pokoju rozległ się głos, łamiący się, delikatny. Alois Daxberger.

– Śpi – powtórzyła za nim jak w transie, kładąc dłoń na piersi syna. Ledwie wyczuwalnie pod watowanym becikiem, ale unosiła się: w górę i w dół, w górę i w dół. – Alois... – Charlotte powoli dochodziła do siebie. – Jak tu dotarłeś bez wózka? – spytała szeptem.

– Mam do was z górki. Kiedy jest śnieg, można się ześlizgnąć. A do tego, żeby przejść ten kawałek do pokoju, moje ręce są wystarczająco silne. Wszystko z tobą w porządku? – W jego spojrzeniu nie było żadnego wyrzutu.

– Musiałam wyjść na powietrze.

– Rozumiem. W każdym razie, kiedy tu przyszedłem, Karl był cicho, a potem zasnął, na moich oczach, całkiem spokojnie.

– Co? Zasnął?

– Jak i dlaczego... Tego to już nie wiem, ale najważniejsze, że jest, prawda?

– Tak, najważniejsze, że jest – powtórzyła cicho Charlotte. Po raz pierwszy widziała, jak Karl śpi nie dlatego, że zasnął z wyczerpania ciągłym wrzaskiem albo z przejedzenia, lecz z jakiegoś innego powodu. Czyżby z powodu szoku, jaki wywołało w nim to, że znalazł się pod wodą?

– Bądź taka dobra, przyprowadź mój wózek i zawieź mnie do domu. – Alois spojrzał na nią zmęczonymi oczami.

Potem, kiedy w pokoju byli już tylko we dwoje, matka i syn, Charlotte Heidemann zrozumiała, jak bardzo dotąd się myliła. I poczuła chłód. Nieopisany chłód.

– To ja. – Opadła na kolana, chwyciła się szczebelków łóżeczka, jakby sama była dzieckiem. – To przeze mnie tak cierpisz?

Karl zasnął bez swoich wrzasków. Ale i bez niej.

## 6 WIEDZA

Kiedy tego dnia Johann Heidemann wrócił do domu, zastał żonę w bardzo niepokojącym stanie. Z pustą butelką likieru, którego część wylała się na podłogę, siedziała z pochyloną głową, w mokrym ubraniu, na dywanie, opierając się o łóżeczko pogrążonego w głębokim śnie dziecka, które o tej porze nigdy nie spało.

Wszystkie drzwi były pootwierane, także te do łazienki, wanna z wodą i kupą. Johann zastanawiał się, czy Karl nie został napojony alkoholem. Czy dlatego śpi? Czy po prostu zasnął? Co tu się działo? Johann wiedział tylko jedno.

Czas zacząć działać.

I zaczął działać. Jeszcze tego wieczoru.

Kiedy troskliwie układał żonę w łóżku i próbował w jej bełkocie i fantazjowaniu doszukać się jakiegoś sensu, syn jak zwykle przypominał o swoim istnieniu. Tym razem jednak Johann zauważył coś wyjątkowego.

Na długo przed tym, nim człowiek jest w stanie pojąć swoją egzystencję, próbuje jej dosięgnąć. Ale Johann nigdy dotąd nie miał wrażenia, że syn chce dotknąć palców wyciągniętych do niego dłoni albo leżącego przy jego głowce pluszowego zwierzaka. Karl tylko się przeciągał, szukając czegoś na własnej głowie, macając, coraz precyzyjniej, najpierw czoło, potem skronie. Tego dnia najwyraźniej woda, w której się zanurzył, dostała mu się do uszu i jego ruchy stały się bardziej skoordynowane. Karl Heidemann znalazł to, czego szukał, znalazł swój cel – uszy.

I od tej pory nie sięgał do niczego innego, i darł się przy tym głośniejszym niż kiedykolwiek. To, co na początku wyglądało na zabawę, już następnego dnia zamieniło się w przemoc skierowaną przeciwko własnemu ciału. Ciągnął się za uszy, jakby zamierzał je sobie urwać, pocierał, jakby chciał je zmiażdżyć. Wbijał palce w miękką jeszcze małżowinę, tak że na pościeli w łóżeczku pozostawały krwawe ślady.

W obliczu szaleństwa, jakie rozgrywało się na jej oczach, Charlotte nie miała nawet jak popaść we własne. Albo opatrywała Karlowi rany, albo obwijała mu głowę bandażem. Ale szarpał go dopóty, dopóki nie ukazywała się poraniona czerwona skóra, żeby ją zranić jeszcze bardziej.

– Może to woda. – Charlotte pod naporem nieustannych pytań męża przerwała w końcu milczenie i przyznała się, że poprzedniego dnia Karl wpadł jej do wanny i zanurzył się w wodzie. Stąd jej wzburzenie. Może coś mu się dostało do uszu i powoduje ból. Tylko Charlotte nie miała pojęcia o sile tego bólu.

I tak Karl po naleganiach młodego miejscowego lekarza rodzinnego, doktora Albrechta Hofstättera, trafił do szpitala. Tym razem uzyskał pomoc. Inną niż się spodziewano.

Żadnej diagnozy. Nie od razu, nie bez wnikliwej obserwacji. Nadzwyczaj

zagadkowa była dla lekarzy ta autodestrukcja. Podjęto więc wszelkie wysiłki; przegoniono Johanna z jego wrzeszczącym synem przez cały szpitalny budynek o niesamowitych rozmiarach, z jednego badania na drugie. Charlotte, która została w domu, mogła po raz pierwszy od narodzin Karla spędzić dzień bez syna.

Niekończące się korytarze, piętro nad piętrem, winda przy windzie – metalowe klatki wożące ludzi w górę i w dół. Stało się to właśnie w jednej z tych zamkniętych klatek. W środku tylko ojciec i syn. Brzęczenie i wibrowanie podczas jazdy w dół, na jeden z podziemnych poziomów.

I nagle niezaplanowany przystanek. Silne szarpnięcie. Chrobot. Mignięcie światła. A potem bezruch. Ciemność.

Johann Heidemann, przepełniony lękiem, sięgnął za siebie. Utknął z wydzierającym się dzieckiem. Tylko że Karl już nie krzyczał. Leżał spokojnie w ramionach ojca. Tak spokojnie, jakby Johann poniósł go daleko od domu, głęboko w las.

A przecież ojciec nie poszedł daleko, zrobił tylko krok – ze szpitalnego zgiełku do zamkniętej izolowanej klatki.

Znów błysk. Szarpnięcie. Światło. I jazda w dół, krótka. Bo, nawet się nad tym nie zastanawiając, jeszcze zanim dziecko zaczęło krzyczeć, Johann nacisnął guzik „stop”, żeby zapobiec kolejnemu wybuchowi. Nie potrafił sobie wyjaśnić nieoczekiwanego zadowolenia syna, który zamiast atakować rączkami uszy, nagle wsadził kciuk do buzi. Czym to miejsce różniło się od innych?

Johann Heidemann rozejrzał się. Gdzieś między poziomem minus dwa i minus trzy zaczął się zastanawiać, przypominać sobie ostatnie tygodnie i porównywać sytuacje, w których znajdował się syn, z tą teraz.

Skąd ten nagły spokój?

Długo tak stał, bardzo długo.

I w końcu zrozumiał.

Zrozumiał i zdał sobie z czegoś sprawę. Żaden z tych lekarzy, którzy ostatecznie i tak zadecydują, że jedyną metodą leczenia jest podawanie środków przeciwbólowych i uspokajających – nie wiedząc nawet przeciwko czemu – nie pomoże jego synowi.

Z tym przekonaniem Johann zakończył nieprzymusowy postój, wrócił na parter i zaniósł Karla, który zaraz po tym, jak zamknęły się za nimi drzwi windy, znów zaczął się drzeć, do samochodu.

– Zaraz, synu. Zaraz znów go będziesz miał. Swój spokój. Musisz jeszcze tylko jakoś przetrzymać jazdę do domu.

Przepełniony nadzieją, opuścił miasto; nie zwracając uwagi na ograniczenia prędkości, śpieszył przez coraz bardziej bezludne okolice, nie mając żadnych wątpliwości co do swojej teorii. Ledwie dotarł do domu, popędził z kupką rozpaczy w swoich ramionach do pokoju wypoczynkowego, wziął żonę za rękę, chwycił



klucz do piwnicy, zszedł na dół, minął małą saunę i zamknął za sobą drzwi.

– Johannie, co my tu robimy? – spytała Charlotte.

– Uspokój się i po prostu czekaj.

I rzeczywiście, reakcja była taka sama jak w szpitalu. Karl z otwartymi oczami, tak spokojnymi, jakich Charlotte nigdy wcześniej nie widziała – głęboko pod ziemią, w zamkniętym pomieszczeniu bez okien – zamilkł ze wzrokiem wbitym w ojca, jakby z wdzięcznością.

A potem zasnął.

– On potrzebuje spokoju. Podejrzewam, że krzyczy przerażony hałasem wokół niego – wyszeptał Johann i chociaż to przypuszczenie pokrywało się z prawdą, nie miał bladego pojęcia o doniosłości swojej teorii, o tym, jak wygląda sytuacja syna i jakie są jej konsekwencje.

Słuch Karla Heidemanna był bowiem tak wrażliwy jak w żadnej z księgi rekordów, jak w żadnym z medycznych przypadków opisanych w literaturze fachowej. Słyszał uderzenia skrzydeł motyla, słyszał szmer wierzchołków drzew w dalekim lesie, słyszał, jak padalec przemyka się przez trawę; nie słyszał wprawdzie ludzkich myśli, ale słyszał oddechy i pulsowanie krwi, a to połączone ze sobą czasem mówiło więcej niż słowa. Jak każde nienarodzone dziecko Karl słyszał bulgotanie wód płodowych, burczenie w matczynym brzuchu, uderzenia jej serca, jej głos, ale ten głos był dla niego jak ukłucia ostrego noża, uderzenia serca przypominały niekończące się grzmoty, przepływ krwi w żyłach był niczym rwący nurt, a odgłos każdego jej kroku – jak uderzenia młota.

Chciał tylko jednego – uciec z tej coraz ciasniejszej komory tortur – i gdyby tylko mógł, przekląłby Stwórcę za męczarnię spowodowaną zbyt rozwiniętym, jeszcze przed narodzinami, narządem słuchu. Przekląłby Stwórcę za to, że w ten sposób pozbawił go miłości. Może przez kilka dni zniósłby te hałasy we wnętrzu matki, ale nie przez tyle żalosnych tygodni! Może w innych okolicznościach ramiona matki zapewniłyby mu schronienie, były jego azylem. A tymczasem po przyjściu na świat nie znalazł w nich spokoju, lecz szaleństwo, nieustające szaleństwo.

Johann Heidemann stał teraz pełen nadziei w odosobnieniu piwnicy. Wolną ręką, niczego nie przeczuwając, przyciągnął żonę do siebie i szepnął jej do ucha:

– Będzie dobrze.

Zmusiła się do uśmiechu, skinęła głową, chociaż wiedziała, że to nieprawda.

Od tego dnia w Jettenbrunn było cicho.

## 7 ZNIKNIĘCIE

Z dnia na dzień Karl Heidemann zniknął ze wsi. Wizualnie i akustycznie. Podobnie jak jego matka.

Na początku nikt o nic nie pytał. Ich nieobecność przyjęto z ulgą, cieszą się spokojem. Może choroba?

Ale po kilku dniach nic się nie zmieniło: ciemne okna w dziecięcym pokoju, cały dom prawie w ogóle bez świateł, tylko stale zapalona lampa nad schodami, wieczorami pośpiesznie wracający Johann, otwarcie drzwi, zamknięcie i to wszystko, żadnych spacerów jak kiedyś.

W końcu ktoś zagadnął Johanna, z czystej troski.

– Wszystko w porządku. Mały wreszcie lepiej się poczuł, ale woli teraz, jak jest spokojniej – usłyszał, podejrzewał jednak, że rodzice Karla oszaleli. Ale czy komuś, kogo ostatnich kilka miesięcy tak naznaczyło, można było mieć za złe, że nie chce spojrzeć prawdzie w oczy? A najprawdopodobniej – taka wieść rozprzestrzeniała się po wiosce jak nimułka na liściach róż – gdzieś w domu Heidemannów leży nagle spokojne ciało martwego małego Karla, może nawet zabalsamowane i ukryte głęboko w piwnicy.

I Karl naprawdę leżał w piwnicy, koło sauny. W dzień i w nocy. Unosił się w swoim łóżeczku i kojcu, wkrótce zaczął siadać, wstawać, coraz bardziej zaintrygowany sobą i otoczeniem, nabierał sprawności manualnej i zrozumiał, że największy hałas, który pociągał za sobą największe cierpienie, powodował sam swoim wrzaskiem. Jak ręką odjął zniknęła jego potrzeba nieustannego podnoszenia głosu, i to mimo że był otoczony różnymi dźwiękami – szumem w rurach kanalizacyjnych i centralnego ogrzewania, syczeniem świetlówek, brzęczeniem zamrażarki.

Przestał zatem się wydzierać. Milczał. Ani dźwięki, ani słowa nie padały z jego ust, a już zwłaszcza te, na które rodzice, kiedy tylko dziecko zaczyna gaworzyć, czekają z utęsknieniem. Czy „dada” i „gaga” zamienią się w końcu w upragnione „mama” i „tata”?

Nie zamieniły się.

Co bynajmniej nie znaczyło, że Karl nie mówił.

Jego oczy, położenie główki, postawa ciała, ciągle powolne ruchy rąk, jego coraz bledsza z powodu braku światła dziennego, okrągła buzia – z dnia na dzień lepiej służyły komunikacji, tak że coraz łatwiej przychodziło mu na swój minimalistyczny sposób wyrażać pragnienia: chcę zostać sam, zostawcie mnie w spokoju. Wystarczył grymas twarzy lub odwrócenie się, kiedy matka podnosiła głos, a w najgorszym razie przyłożenie do uszu wewnętrznej strony dłoni.

Charlotte nieustannie musiała się mierzyć z milczącym odtrąceniem przez syna. A to bolało. Bolało nawet bardziej niż to, co działo się do tej pory. I szybko

spokój, który zapanował w domu, stał się dla niej bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem. Skończyła się bowiem ukryta we wrzasku niepewność, skończyło się chwytnie złudnej nadziei: „Karl wrzeszczy z tego czy innego powodu, ale w każdym razie nie przeze mnie”. Dopiero milczenie, wycofanie się bez słów przyniosło jasność. I pewność.

Żadnego spojrzenia, żadnego uśmiechu, najmniejszej oznaki miłości. Nic. Ani przy karmieniu, ani przy przewijaniu, podnoszeniu, co samo w sobie wymaga matczynej bliskości, dopóki dziecko nie radzi sobie z tym samo.

A Karl zaczął sobie radzić szybko, bardzo szybko.

Zanim jeszcze nauczył się chodzić, raczkował do nocnika, ściągał spodniki, siadał, wstawał; wyrywał matce łyżeczkę, żeby być panem samego siebie, żeby zyskiwać dystans, coraz większy. Charlotte pozostała tylko jedna okazja na czucie bliskości syna, nawet jeśli wydawało jej się to okropne i niezrozumiałe.

– Czas na kąpiel, skarbie.

Karl rozkłada ramiona; jego skupiona twarz niemal jaśnieje.

– Przyjdiesz do mamy? No, chodź. – Moment szczęścia matki.

Z dzieckiem na rękach Charlotte idzie do łazienki, zatyka mu uszy masą jak plastelina; podczas gdy woda, pluskając, leci do wanny, Charlotte głaszcze go po główce.

– Chcesz do wody? – mówi, przytulając syna. – Tak? Chcesz? No to do wody!

Siedzi chwilę wyprostowany, dumny, jakby wokół niego unosiła się pierzyna z piany, którą wzbił sam. Kładzie swoją małą, bladą rączkę na brzegu wanny i w pewnym momencie zaczyna się opuszczać. Zatrzymuje się z tyłem głowy na lustrze wody, jakby opierał się na poduszce. Woda sięga mu do uszu, dochodzi do oczu. Karl wyprostowany przez chwilę unosi się na powierzchni, nabiera głęboko powietrza, zabiera rączkę z brzegu wanny, a potem się opuszcza, z otwartymi oczami.

Karl Heidemann jest szczęśliwy. Chociaż wcale nie jest cicho; pod wodą grzmi, słychać każdy dźwięk – bicie własnego serca, szum w uszach, uderzenia piętami o dno emaliowanej wanny. Ale tłumiący wszystko kokon sprawia, że dźwięki z zewnątrz tracą całą swoją intensywność. Ciało wydaje się lekkie jak piórko, tylko głowa i klatka piersiowa są ciężkie, kiedy je wynurza i nabiera powietrza, żeby znowu móc być wolnym. Wolnym, dopóki starczy mu powietrza z tego jednego oddechu. Stara się więc zatrzymać je w sobie jak najdłużej.

Charlotte stoi tymczasem nad wanną, niczym grzesznica złapana na gorącym uczynku skubie nerwowo szew spodni, a pamięć podsuwa obrazy najczarniejszej chwili w jej życiu. Co jakiś czas krzyżują się spojrzenia jej i syna. I im częściej napotyka wzrok Karla, tym trudniej jest jej pozbyć się myśli, że być może to coś w jego oczach nie jest odrzuceniem, tylko przyciąganiem. Jakby sięgał z głębi

rączką, żeby ją przywołać.

Najpierw jednak Karl wstał. Za którymś razem, przytrzymując się brzegu wanny, podniósł się.

– Na miłość boską! Przecież się poślizgniesz! – zawołała Charlotte, a on przełożył nogę przez brzeg wanny, wyszedł i na oczach matki zrobił swoje pierwsze kroki. Nagi wybiegł z łazienki i prędzej by się przewrócił, niż pozwolił wziąć się za rękę.

Kiedy Johann wrócił do domu, zastał zrozpaczoną żonę.

– Johannie, on chodzi!

– Wspania...

– To koszmar! Czy ty wiesz, co to oznacza? Nie zechce wejść na górę, a zostawienie go tutaj samego nie będzie bezpieczne. Więc odtąd będę musiała cały czas spędzać w piwnicy. W piwnicy! Słyszysz?! Nie chcę tak żyć. Musimy coś zrobić.

– Ale co?

– Rozwalić ci łeb, na przykład. – Tak jak kiedyś Charlotte wcisnęła syna w ramiona męża. – Weź go. Może po drodze coś wymyślisz. Musisz, Hans. Rozumiesz? Musisz.

Więc Johann Heidemann wyszedł z domu i zaniósł z każdym dniem cięższego syna na brzeg stawu. Posadził Karla na ziemi, sam spocony usiadł obok niego, ściągnął kurtkę i trzymał ją w jednej ręce, a w drugiej poczuł nagle miękki dziecięcy paluszek.

Karl się podniósł.

Potem, trzymając się za rękę, stali na drobnych kamyczkach nad brzegiem stawu i milcząc, patrzyli na wodę, w nieskończoność. W którymś momencie Johann przyklęknął, napotkał spojrzenie czarnych oczu syna; z dumą złapał dziecięce ramiona, uśmiechnął się lekko, skinął głową, jakby zachęcał do pokazania jakiejś sztuczki.

– Idź, zrób swój pierwszy krok do wolności. Idź.

I Karl idzie po kamyczkach, niepewny, chwiejąc się, ale samodzielnie. Jeden krok. Potem drugi. Radość ojca jest cicha, niemal ukrywana.

– Któregoś dnia będziemy puszczać latawce – mówi szeptem, jakby się bał, że coś zepsuje.

Trzeci krok.

– Dobrze.

Czwarty. Piąty, niepewny.

– Uważaj!

Ciało Karla przechyliła się do przodu, a przed nim, stanowczo za blisko, leży odłamek skalny.

Kiedy Charlotte Heidemann tego wieczoru otworzyła drzwi wracającemu

z synem mężowi, Karl leżał w ramionach ojca.

– I co? Rozwaliłeś sobie łeb?

– Na szczęście nie.

– Co z nim?

– Śpi.

Johann opowiedział o tym, jak syn stawiał kroki, jak się przewrócił, o tym, jak on trzymał w ręce kurtkę i zdążył ją rzucić na kawałek skały, jak gruby materiał, dzięki Bogu, zamortyzował upadek, i o swoim pomysśle.

– Zacznę od jutra – dodał.

I rzeczywiście zaczął, a zmiany, które zamierzał przeprowadzić, były zakrojone na taką skalę, że przekraczały wszelkie wyobrażenia Charlotte. Najpierw, ze względów bezpieczeństwa, urządził małżeńską sypialnię obok pokoju Karla przy saunie. Potem całą piwnicę zamienił w przestrzeń zapewniającą najdalej posunięte bezpieczeństwo – istna wystawa ludzkiej pomysłowości, z prototypami prawdopodobnie wszystkich sprzętów służących bezpieczeństwu dzieci.

Karl tymczasem, z uszami zatkanymi watą, siedział w najdalszym kącie sauny i cierpiał.

– Musimy przez to przejść – tłumaczył ojciec, opętany swoim celem. Żaden kontakt nie mógł pozostać niezaklejony, wszystkie rogi trzeba było wyłożyć czymś miękkim: gąbką, styropianem; regały i skrzynki usunąć albo przymocować do ściany, drzwi wejściowe do piwnicy zaopatrzyć w rygiel, a szuflady w zamki na klucze, drzwi między pomieszczeniami zlikwidować. Przede wszystkim w jednym Johann wyprzedził swoje czasy i udało mu się to, co teraz jest powszechne: stworzyć miejsce odosobnienia przystosowane do reality show. Kamera, którą zamontował na ukośnych podporach, nie była ani mała, ani umieszczona dyskretnie; wydatnie odstawała od ściany.

Nagrywane niemal na okrągło czarno-białe obrazy można było oglądać na górze, na ekranie umieszczonym w meblościance w pokoju wypoczynkowym.

Od tej pory życie Heidemannów toczyło się na dwóch poziomach. W piwnicy Karl w swoim rewirze, a na parterze Charlotte przed telewizorem. Przynajmniej tyle, że mogła siedzieć na kanapie albo w fotelu, słuchać radia, czytać gazety, oglądać telewizję, rozmawiać przez telefon z rodzicami, a czasem robić wszystkie te rzeczy jednocześnie. Wieczorem Johann czasami brał syna na ręce i wychodził z nim na spacer do lasu, jak dawniej, kiedy Karl wrzeszczał; w soboty i niedziele brał na siebie pilnowanie chłopca, a wtedy żona miała czas dla siebie. Przepelniona wdzięcznością, nie zdawała sobie sprawy, że to się skończy, że ten nowy stan względnego zadowolenia nie może trwać wiecznie.

I kiedy czas nieubłagania robił to, co najlepiej potrafi – płynął – Karl rósł na swoim wybiegu jak stworzenie w miejskim zoo, karmione, obserwowane, ograniczone. Z jedną tylko różnicą.

Był wolny.

Nie otaczały go kraty; drzwi do azylu, który sam sobie wybrał, zawsze były otwarte, ale on nie przejawiał zainteresowania tym, co było za nimi. Siedział na dywanie, z rozrzuconymi dookoła ilustrowanymi książkami, zabawkami, przyborami do rysowania, z przycupniętymi na skrzynkach zakurzonymi starymi lalkami o porcelanowych twarzach z otwartymi ustami, w blond perukach z prawdziwych włosów i w wyszywanych sukienkach; lalkami, które codziennie patrzyły na niego zaspanymi, niebieskimi szklanymi oczami. Dokoła niego jedzenie, całe posiłki i przekąski, i zapewniony spokój, i samotność.

A mimo to Karl Heidemann był związany ze światem zewnętrznym bardziej, niż ten świat przypuszczał.

## 8 OCZY CHARLOTTE

Zła pogoda, wichura, latający nad okolicą samolot, zbliżająca się ciężarówka, śmieciarka, pocztowa furgonetka, pług śnieżny, wóz pomocy technicznej, motorower listonosza, rower właściciela gospody Przy Poczcie, Oberwaldnera, samochód ojca – Karl Heidemann wiedział, co się dzieje na zewnątrz. Wiedział o rzeczach, ludziach i zdarzeniach, które miały nadejść, jeszcze zanim nastąpiły. Po odgłosach uderzeń serca, oddechu, wiedział, w jakim nastroju są jego rodzice, co robią. Słyszac zbliżające się do domu kroki, wiedział, kto idzie. Często zamykał oczy, żeby lepiej wszystko rejestrować. Czy to było skradanie się, czy powłóczenie nogami, stapanie na piętach, szybkie, wolne... wkładka w butach? Złodziej czy żołnierz? Zbliża się, czy oddala? Z determinacją, lękiem czy wahaniem? W jakim stroju, luźnym czy obcisłym? Jaki materiał ociera się o jego kolana i resztę ciała, wełna, len, bawełna? Rękawy długie czy krótkie? A co z rękami? Macha nimi, czy założył za plecy? A może skrzyżował na piersi i pociera nimi, jakby było mu zimno? Ktoś, kto chce ubić interes, czy oszust?

Wkrótce rozpoznawał ludzi tylko po tym, w jaki sposób się zbliżali. Wyobrażał sobie, jak wyglądają ich twarze, jaką mają postawę. Z cegiełek odgłosów budował sobie domniemany wygląd ludzi, których nigdy nie widział, takich, którzy przechodzili obok, albo tych, co wpadali z wizytą.

Bo, owszem, Heidemannom zdarzało się przyjmować gości.

Niektórzy mieszkańcy Jettenbrunn od czasu do czasu – głównie z troski – ryzykowali krótkie odwiedziny. Przychodzili z dzemami własnej roboty, z wypiekami i popijając kawę, pogryzając przyniesione ciasto, rozglądali się za dzieckiem, które, choć nie było go już słychać, najwyraźniej wciąż żyło.

Czasem zdarzała się choroba, gorączka, wymioty, zawsze wtedy pojawiał się doktor Albrecht Hofstätter, nieodmiennie chudy jak tyczka, ubrany jak bankowy doradca kredytowy. Dotyk jego kościstej zimnej dłoni, bliskość, słodko-kwaśny zapach wody po goleniu zmieszanej z potem, nieświeży oddech... Wszystko to Karl musiał znosić, za słaby jeszcze, by od tego uciec.

Od czasu do czasu rodzice Charlotte, Gertraud i Heinrich, decydowali się na daleką podróż, odważali się podejść z czekoladą do kraty zamontowanej przy schodach do piwnicy, wychylali się, jakby mieli rzucić padlinę, by nakarmić płochliwe zwierzę, i odchrząknawszy, pytali:

– Wszystko dobrze u ciebie? – Patrzyli na zbliżającego się wolno, coraz grubszego wnuka, który nawet na nich nie patrząc, brał prezent i znikał w saunie, podczas gdy dalej padały słowa: – Urosłeś! Nie wejdiesz na górę? Jest ciasto. – Chwilę czekali na reakcję. – No to trzymaj się – rzucali i znikali w salonie.

Rozmowy, choć ciche, i tak miały swoje konsekwencje. Bo co może chcieć dziecko od rodziców i krewnych poza tym, żeby im się podobać i doświadczyć ich

miłości. Miłości nie takiej, jakiej oczekuje jedna strona od drugiej, lecz takiej, przy której przyjmuje się człowieka takim, jaki jest – całkowicie, nieświadomie, bezradnie.

Karl rozumiał każde słowo, gdy słuchał dziadków wcale nierobiących tajemnicy z tego, że woleliby, by ich doświadczona przez życie córka urodziła martwe dziecko. Rozumiał też to, co mówiła Charlotte, rozmawiając z nimi przez telefon, i to, co słyszał z telewizji, nawet jeśli były zamknięte drzwi. Pojmował rzeczy, jakich ze swojej pozycji pod ziemią nie miał prawa pojmować. Dowiedział się o upragnionym szczęściu, które nazywało się Karl Heidemann, i o nieszczęściu – już nie upragnionym, które też nazywało się Karl Heidemann, o cierpieniach matki i o tym, że sam był ich przyczyną.

W duszy nie miał złych zamiarów. Nie myślał źle o rodzicach i nie chciał nikogo narażać na kłopoty ani ranić. A kiedy żyjący w odosobnieniu Karl słyszał to wszystko, rodziła się w nim straszna niepewność. Dlaczego z upragnionego stał się niechcianym dzieckiem? Tego nie wiedział. I potem nigdy nie mógł zapomnieć tamtej niepewności.

Po raz pierwszy poczuł się zniewolony. Jego zniewolenie wynikało z tego, że był zmuszony słuchać słów, których słyszeć nie chciał, ale bombardowały go jak grad padający w ogrodzie, na pola, na blaszany dach.

A nie miał dokąd uciec.

Chociaż tuż przed sobą miał otwarte drzwi, za nimi następne, mnóstwo otwartych drzwi. Tyle że za każdymi było to samo: bezmiar, z każdej strony. Bezmiar oprawionych zadrukowanych kartek. Książek. Książek wypełnionych kolorowymi obrazkami, piętrzących się w zużytych, śmierdzących stęchlizną kartonach – Adalbert Stifter, Artur Schnitzler, Theodor Storm i Fontane, Goethe i Schiller. Wkrótce oglądanie przeznaczonych dla Karla lektur przestało mu wystarczać, więc sięgnął po książki, których strony nie były kolorowe, lecz od góry do dołu gęsto pokryte rzędami znaczków – po zbiory aforyzmów, tomy poezji.

Bardzo chciał odkryć, co mogą oznaczać te dziwne znaczki, te kreski, brzuszki, zawijasy, krzyżyki, trójkąty i puste miejsca. Dzieci przychodzą już na świat z niezwykłym talentem i z czystej ciekawości oraz potrzeby podążania własnymi drogami same, przysłuchując się rozmowom, uczą się mówić, jeszcze zanim zaczyna działać wychowywanie i widać jakiegokolwiek rezultaty kształcenia. Więc Karl wkrótce potrafił siedzieć całymi dniami nad jednym kawałkiem układanki, który w końcu, nabierając sensu, wskakiwał na swoje miejsce i jakby zawsze się tam znajdował, dawał obraz, wyraźny i zrozumiały. A to otwierało Karlowi drogę do nowych światów.

Światów dających wolność.

Wolność, której Charlotte nie potrafiła dla siebie znaleźć. Coraz bardziej ponura, coraz bardziej rozdrażniona, bojąc się każdego kolejnego, ciężkiego jak



ołów dnia, w rozmowach z mężem była coraz bardziej agresywna.

– Cholera, nie kupiłeś wszystkiego. Czy naprawdę jest tak trudno z listą zakupów przechodzić od regału do regału? Przecież ja nie mogę wyjść z domu. A może uznałeś, że jak weźmiesz dwie butelki więcej, to będzie za ciężko?

– Za dużo pijesz.

– A co? Jesteś moim kuratorem. A jak myślisz, dlaczego tyle piję? No, dlaczego? Siedzę tu cały dzień odcięta od wszystkiego.

– Potrzebujesz pomocy, Charlotte.

– Ja? Cały ty! Mówisz tak, jakby to był tylko mój problem. My potrzebujemy pomocy. My!

Pomoc przysłała stąd, skąd w tym oddalonym od świata miejscu mogła nadejść – znowu od doktora Hofstättera.

– Czy żona w nocy śpi?

– Prawie wcale.

– Często płacze?

– Dość często.

– Bardzo schudła, straciła apetyt i chęć do życia.

– Jest na to jakieś lekarstwo?

– Jest.

Przepisana dzienna dawka tabletek wkrótce zaczęła działać; ustawiła włącznik na środkowym położeniu między światłem a ciemnością, okryła Charlotte szarym welonem i wprowadziła w neutralny stan zmęczenia, pozwoliła zanurzyć się w obojętności jak w pokojowym akwarium, być, egzystować, ale tylko z punktu widzenia tych, którzy ją obserwowali.

Cierpienie zamieniło się w pewien rodzaj odrętwienia, a Charlotte, która nie znosiła lekarzy, została stałą pacjentką doktora Hofstättera.

Wkrótce poczuła się bezpiecznie w tym swoim świecie. Bezpiecznie, ale i zupełnie samotna.

Tak jak Karl w swojej piwnicy, ze swoimi książkami. I myślami.

Dopóki pewnego dnia w skierowanych na niego soczewkach nie rozpoznał tego, czym naprawdę były: oczami Charlotte.

## 9 ODWIEDZINY

– Dobrze, tato, w takim razie do jutra! – Do Karla Heidemanna dotarły słowa matki, które słyszał już wiele razy. Ale reszta była nowa. – Co? Co teraz robi? Przecież nigdy mnie o to nie pytałeś. Dlaczego cię to interesuje? Bo jest twoim wnukiem. Wiesz, że w pewien sposób mnie to cieszy. No więc... hm... Widzę tylko jego plecy, ale wydaje mi się, że gapi się na jedną ze swoich książek.

Jak mogła widzieć jego plecy, skoro nie było jej przy nim? Nie rozumiejąc tego, Karl siedział bez ruchu. Nagle wreszcie zrozumiał to, co od dłuższego czasu było dla niego zagadką: skąd się brały częste natychmiastowe reakcje matki na niektóre jego działania.

I nawiązał kontakt.

W tym celu podniósł się, powoli obrócił i spojrzał na swój cel.

– Tato, muszę już kończyć. On właśnie wstał.

Zbliżył się do kamery i zatrzymał, z opuszczonymi ramionami, i popatrzył w nią. I na znajdującą się nad nim matkę.

Długo tak stał.

– Wszystko w porządku, Karl? – dobiegły z góry słowa Charlotte, po chwili niepewne pytanie: – Potrzebujesz czegoś? – A potem nieprzyjemne wołanie: – Skończ już z tym wreszcie!

Skończyć? Z czym?

Przecież tylko tu był, stał beczynnie.

Miał skończyć z beczynnością? Skończyć z byciem tutaj? Zniknąć?

Jak? Karl Heidemann podszedł do włącznika światła i go nacisnął.

– Co ty wyprawiasz? – Matka zbiegła do piwnicy, uderzyła ręką w ścianę i światło się zapaliło. – Jak chcesz oglądać książki przy zgaszonym świetle?

Karl z kamienną twarzą znowu nacisnął włącznik.

Światło zgasło.

I się zapaliło.

– Tak nie można. Jak mam cię pilnować, co?

Znów zgasł.

Zapaliło się.

– Ma być włączone, rozumiesz?!

Zgasło.

– No to proszę bardzo, skoro tak chcesz.

I matka zniknęła.

Tak jak chciał. Właśnie tak.

Ciemny był ekran na górze i ciemność panowała w piwnicy. Ciemność, nad którą panował tylko Karl, która dawała schronienie tak długo, jak chciał, i była coraz bardziej swojska. Uczył się chodzić po ciemku, kierując się wyłącznie

słuchem. Z zamkniętymi oczami, koncentrując się, rozpoznawał, gdzie jest; po odgłosie własnych kroków, natężeniu piwnicznych dźwięków wiedział, jak daleko jest od ściany i od schodów. Był w tym coraz lepszy, stawiał sobie nowe cele. Nie musiał już widzieć, wystarczyło, że słyszał.

Słuch, mądrzejszy od oczu, wiele rzeczy mógł zarejestrować wyraźniej i postrzegał to, co przed wzrokiem było ukryte.

Karl wyznaczał sobie coraz to nowe zadania – wybudować domy z klocków, których nie widzi, tylko je czuje w palcach, ułożyć puzzle z coraz większej liczby elementów.

Często całymi dniami pozbawiał matkę na górze swojego widoku, jakby przystosowywał się do życia, o którym wiedział, że nadejdzie. W ciemności znajdował przyjemność, jak wtedy, gdy leżąc w wannie, wstrzymywał pod wodą oddech, by na jak najdłużej starczyło mu w płucach powietrza, darując sobie w ten sposób ciszę, przynajmniej na chwilę.

Ciemność była jego ucieczką.

Ucieczką i pewnym rodzajem przyjemności, nauczył się bowiem wyczuwać, nawet w najdalszym kącie, gapiące się na niego, choć nie bezpośrednio, oczy.

Na przykład Hedwig, żona Huberta Oberwaldnera, właściciela knajpy Przy Poczcie, często pojawiała się w progu ich domu, żeby rzucić ciekawskie spojrzenie na ekran monitora. Któregoś dnia przyszła, żeby przedstawić Veronikę, przyszłą żonę mechanika, Gerwalda Lamprechta. Veronika, która nie знаła Charlotte i nie żywiła żadnych uprzedzeń, była dla niej darem niebios. Obie kobiety przypadły sobie do serca już przy pierwszym spotkaniu.

Do piwnicy dotarł intensywny zapach kawy zbożowej, który normalnie rozchodził się tylko podczas wizyt dziadków Auböcków. Potem szuranie nóg, siorbnięcia, mlaskanie przy jedzeniu namoczonych w kawie herbatników.

– Może zanieść coś na dół Karlowi?

– Lepiej nie, Veroniko.

– Taki tam u niego porządek...

– Już taki jest. Wszystko musi mieć swoje miejsce. Nic nie może leżeć byle gdzie.

– Szkoda, że nasi mężowie nie mają czegoś takiego... Zaraz... co on tam ma?

– Puzzle.

– Nie za trudne dla dziecka w jego wieku? Poradzi sobie z ułożeniem?

Śmiech.

– Wpatruje się we fragmenty, nawet ich nie dotykając, czasem całymi dniami, a potem w którymś momencie zaczyna je układać i bez wahania wkłada poszczególne części w odpowiednie miejsca, nie sprawdzając wcześniej, czy pasują.

– Uwaga! – rozlega się podniecony głos Hedwig Oberwaldner.

– Spójrz, Veroniko, wstał. I idzie! Tak daleko!

Powoli, krok za krokiem. Karl wie, dokąd zmierza. Na dole są dwa wyłączniki światła, jeden blisko kamery, drugi w tylnej części piwnicy.

– On chyba...

I światło gaśnie.

– Ojej! Przecież tam jest teraz ciemno. Gdzie on poszedł?

Karl idzie z powrotem, z kijem od szczotki w lewej ręce i krzesłem w prawej. Cicho, w milczeniu. Nie śpieszy mu się. Ma czas, żeby postawić krzesło, wspiąć się na nie, wyprostować, wyciągnąć się, zbliżyć twarz, tak jak to tylko możliwe do soczewki kamery. Ze śmiertelnie poważną miną. Kilka razy próbuje sięgnąć kijem do włącznika i w końcu mu się udaje.

Światło się zapala.

Na górze krzyk, na dole cichy wewnętrzny śmiech.

Odwiedziny mieszkańców Jettenbrunn wkrótce się kończą, poza Aloisem Daxbergerem i Veroniką Lamprecht.

Veronika wpada jako przyjaciółka Charlotte; połączył je podobny los. Dwie nie pochodzące stąd kobiety, dwóch miejscowych mężczyzn, dwa w pewnym sensie bezdzietne małżeństwa – jedno dlatego, że nie pojawiło się dziecko, drugie dlatego, że dziecko, które się pojawiło, trzyma się od wszystkich na dystans.

Alois Daxberger odwiedza ich jako przyjaciel rodziny; daje się zwozić ze swojego domu na wózku i siedzi w pokoju wypoczynkowym.

– Możesz już iść, Charlotte – mówi.

A potem po prostu tam jest.

Patrzy w ekran, który nie ciemnieje, na Karla, który nie znika, wdzięczny za spokój, jaki zapanował. Wdzięczna jest również Charlotte Heidemann, mogąc wreszcie uciec ze swojego więzienia, wreszcie wyjść, wybrać się na od tak dawna upragniony spacer, czasem z Veroniką.

Do miasta. Na zakupy.

Albo tak po prostu, żeby pochodzić.

Albo pójść do doktora Albrechta Hofstättera.

Bo taka melancholia wymaga częstych konsultacji z lekarzem.

No, tak, czasem te konsultacje odbywają się w domu Heidemannów.

## 10 LECZENIE

Lekarz był najspokojniejszym ze wszystkich gości.

Niewiele mówili.

Zamiast tego doktor Hofstätter głośno oddychał, podczas gdy Charlotte wydawała dziwnie powściągliwe i rytmiczne dźwięki, brzmiące jednocześnie jak wyraz ulgi i rozpacz. Dźwięki, jakie Karl bardzo rzadko słyszał w domu, kiedy był ojciec, i to tylko w nocy.

Po ostatnim okrzyku na krótko robiło się cicho, potem przez chwilę słychać było chichoty, kilka słów wymienionych łagodnym tonem, czasem z czułością.

– Ach, Charlotte, dlaczego nie poznaliśmy się wcześniej?

– I co by wtedy było?

– Wtedy twoje życie wyglądałoby całkiem inaczej. Nikt nie rozumie, co ty widziałaś w Hansie. Przyjeżdżasz do Jettenbrunn i znajdujesz sobie największego głupka... Czy on wie, jakim jesteś dla niego darem niebios? Jakie ma szczęście. No, powiedz, czy on w ogóle ma o tym pojęcie?

Karl siedział na środku dywanu w swojej piwnicy, wpatrywał się w książkę, próbując zasłonić się ochronną tarczą, wyłączyć z otoczenia.

Daremnie.

Słowa z góry wbijają mu się w uszy jak strzały, sprawiając ból, nasuwając pytania.

Co matka tam robi z doktorem Hofstätterem?

Czy to, co robią, jest dobre?

I czemu ojciec nic o tym nie wie?

Czy on może nie wiedzieć?

Dlaczego matka mu o tym nie opowiada?

Dlaczego wieczorem, kiedy ojciec pyta, jak jej minął dzień, czy ktoś ją odwiedził, matka mówi tylko o Veronice, o Aloisie, a ani słowem nie wspomina o lekarzu.

Co to oznacza?

Coś było nie tak, coś, czego nie pojmował, co było dla niego kompletnie obce.

Nie wiedział o tym, czego dzieci, które nie mają starszego rodzeństwa, dowiadują się najpóźniej w przedszkolu. Nie wiedział, czym jest przyjaźń, bycie ze sobą, nieustanna konieczność potwierdzania swojej wartości, nacisk otoczenia, miotanie się, żeby zyskać w oczach dorosłych, potrzeba posiadania czy wynikająca z niedostatków umiejętności werbalnego komunikowania się, najwyraźniej wrodzona potrzeba rywalizacji z innymi. Nie wiedział, co to wrogość, wierność, zdrada. A jednak, mimo tych braków w doświadczeniu, Karl odczuwał jakiś dziwny niepokój, jakby stał bezbronny przed wielkim zagrożeniem.

Szelest wkładanych ubrań, brzdęknięcie sprzączki paska.

– A gdybym go zostawiła?

– Musielibyśmy wyjechać. Daleko stąd. Zacząć życie gdzieś na nowo, bo tu, w Jettenbrunn, byłoby to niemożliwe.

Stukanie obcasów na zakurzonych, popękanych płytkach podłogi.

– Zacząć na nowo... Brzmi pięknie.

Skrzypienie otwieranych drzwi.

– Niestety, tylko tak brzmi, Charlotte. Bo są rzeczy, których nie da się cofnąć... Karl, na przykład. On jest i nic się z tym nie robi.

Łzy Charlotte zamiast odpowiedzi.

A potem pocałunek na pożegnanie. Szczęknięcie zamka, gdy drzwi się zamykają. Po chwili uruchomienie silnika, szelest przesuwanych zasłon w oknie i cichy szept:

– Twój zegarek... Zapomniałeś zegarka...

Zegarek znika w szufladzie i któregoś dnia słyhać:

– Nie widziałaś mojego zegarka?

– Nie – pada odpowiedź Charlotte, która nigdy nie odda tego skarbu, dowodu swojej miłości, i któregoś dnia nie zauważy w oczach swojego małomównego męża pytania: „Dlaczego schowałaś zegarek doktora Hofstättera do swojej szuflady. I dlaczego mnie zdradzasz?”.

W kuchni skrzypi parkiet, słyhać niespokojne kroki.

– Czas goni. Czas goni.

Więc Albrecht Hofstätter wychodzi, ale wyrzuty sumienia pozostają, więc Charlotte schodzi do piwnicy, żeby wynagrodzić krzywdy, tylko że niewłaściwej osobie.

– Chcesz się kąpać, Karl? Popatrz, co ci przyniosłam. Już nie będziesz miał zaczerwienionych oczek.

Okulary do nurkowania.

Czas posuwał się naprzód jak rozciągająca się substancja, jak rosnące ciasto drożdżowe, które za chwilę dosięgnie pokrywki bezpieczeństwa, w końcu uniesie ją i wydobędzie się na zewnątrz.

Mieszkańcom Jettenbrunn musiało wydawać się dziwne to, że Heidemannowie do tego stopnia ulegają swojemu synowi, że nie próbują go wyrwać z azylu, który sobie wybrał. Z drugiej strony z własnego doświadczenia znali lęk matek i ojców przed zrobieniem krzywdy rodzonemu dziecku, a przecież to już się urodziło skrzywdzone. No i może Alois Daxberger trafił w dziesiątkę ze swoją często powtarzaną teorią, zgodnie z którą to właśnie z powodu niecierpliwości i poddawania się presji czasu rodzice często krzywdzą swoje pociechy.

Po co więc wywierać nacisk? Karl miał spokój, którego potrzebował, i kiedy

uzna za stosowne, wyjdzie ze swojej kryjówki – tak przypuszczano.

Ale nie wyszedł.

A ludzie przyzwyczaili się do sytuacji. Codziennosc, jak garncarz kręcący swoim kołem, uformowała z tego, co niezwykle, to, co zwyczajne; z odstępstwa od reguł – normalność.

Przystosowywanie się, najlepiej opanowana ludzka – i nie tylko ludzka – umiejętność, leży u źródeł przetrwania. I u źródeł zniszczenia.

W końcu ludzie przestali więc gadać o chłopcu, który dobrowolnie, jak nieobliczalny śpioch, okopał się w podziemiach rodzinnego domu. O chłopcu, którego nie było widać, który nie został ochrzczony, nie chodził do przedszkola, nie brał udziału w bożonarodzeniowych uroczystościach, nie bawił się w noc świętojańską, nie witał wiosny, w niedzielę przed południem nie wpadał z rodzicami do gospody Przy Poczcie.

Piwnica była miejscem odpowiadającym przeznaczeniu Karla. Piwnica – miejsce wieloletniego składowania rzeczy, które nie są nikomu potrzebne, aż w końcu zapomina się, że w ogóle istnieją, choć wciąż tam są. I tak Karl zniknął. Zniknął po raz drugi. Teraz już nie tylko wizualnie, ale jako temat ludzkich rozmów. Co położyło kres wygłaszaniu bezsensownych opinii. Bezsensownych, bo czy normalnie wychodzący z domu mieszkaniec Jettenbrunn, przeważnie niezadowolony, znający lato i zimę, śnieg i upał, mógł ocenić życie siedzącego w piwnicy chłopca? Nie mógł.

Nawet jeśli Karl żył w ukryciu, to przecież żył.

Obchodził swoje urodziny. Swoje Boże Narodzenie. Noc świętojańską, z powodu dźwięków najgorszą ze wszystkich nocy. Miał swoje fazy buntu. Chorował. Rozwijało się jego ciało, a jeszcze bardziej umiejętności umysłowe. Wiele się działo. Zbliżało się również to, co nieuchronne, to co każde inne dziecko wywabiłoby z domu, przymusowo: obowiązek szkolny.

Nie do pomyslenia było, żeby zmusić go do wyjścia na górę, w świat, którego unikał, zamknąć go w pomieszczeniu pełnym dokazujących pierwszoklasistów.

Więc trzeba było zrobić odwrotnie – zejść do niego.

Usunąć kratę przy schodach do piwnicy, przy ich poręczy zamontować coś w rodzaju windy, nie po to, by wozic w niej na dół i w górę towary – kosze z praniem, skrzynki piwa czy inne zapasy – lecz wózek inwalidzki z siedzącym w nim wiejskim nauczycielem. Alois Daxberger zaproponował bowiem, że będzie spełniał zadania, jakie narzucał obowiązek szkolny. Domowe lekcje był zgodną z prawem alternatywą do uczęszczania do szkoły, zwłaszcza jeśli sytuacja wymagała specjalnego nauczania. Alois Daxberger szybko się przekonał, na ile „specjalne” musiało być to nauczanie. Nie miał wcześniej do czynienia z dzieckiem mądrzejszym niż Karl. Chłopiec w rozwoju umysłowym zostawił daleko w tyle

swoich rówieśników – czytał, potrafił dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć, rozwiązywać zadania z treścią – choć dotąd nie pobierał żadnych lekcji.

Karl wkrótce zaakceptował spokojnego Aloisa, jak porcelanowe lalki, zatęchłe pudła z książkami, jakby należał on do piwnicznego inwentarza, i nie przeszkadzało mu nawet, kiedy stary nauczyciel od czasu do czasu pozwolił sobie na lekkie podniesienie głosu. Alois siedział w wózku, nie poruszając rękami ani głową, tylko jego oczy tryskały życiem. I Karl chłonał: historię, wiedzę, doświadczenie. Bo na tym właśnie polega kształcenie: starzy mówią, a młodzi słuchają. Kształcenie umysłu, ducha, uczenie się bycia blisko z drugim człowiekiem.

Alois Daxberger i Karl Heidemann zostali przyjaciółmi.

A tymczasem w kraju zawitała wiosna, po niej lato, jesień, zima, mijały kolejne lata, a mieszkaniec Jettenbrunn, Karl Heidemann, nie wydał z siebie ani jednego słowa.

Ale pewnego dnia, wczesną wiosną 1992 roku, przerwał milczenie, tylko po to, by powiedzieć jedno słowo.

Zabójcze słowo.



## 11 WYCIECZKA

Na kalendarzu ściennym Johann Heidemann czule zaznaczył czerwonym serduszkami czwartek dwudziestego czerwca. Tego ranka ściał w ogrodzie róże, starannie ułożył je w wazonie i postawił na środku nakrytego stołu, na którym znalazło się też pieczywo prosto z piekarni, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, termos z kawą, szynka, ser, jajka, warzywa, mały tort, świeca, gazeta i karteczka z życzeniami urodzinowymi. Ze słowami pełnymi miłości. Potem cicho zszedł do piwnicy, zatrzymał się przy małżeńskim łóżku, chwilę przyglądał się śpiącej żonie, a na koniec pocałował ją w czoło. Robił to wszystko, pewien, że zobaczy Charlotte wieczorem, weźmie w ramiona i jeszcze raz, osobiście, złoży jej życzenia.

Swoim zwyczajem, chwilę po tym, jak Johann opuścił dom, Charlotte zwlokła się z łóżka, zniknęła w łazience, a potem poszła na górę po śniadanie dla Karla. Oddawała się swojej toalecie dłużej i staranniej niż zwykle, a posiłek, który przyniosła synowi, był obfitszy niż w pozostałe dni, tak jak jej śniadanie. Kiedy sama siadała do nakrytego stołu, trzymała w ręce męski zegarek. Nie oddała go właścicielowi i teraz był jedynym ogniwem łączącym ją z doktorem Albrechtem Hofstätterem. Telefon od rodziców, Gertraud i Heinricha Auböcków, od kilkorga znajomych i dalekich krewnych. Żadnego telefonu od Veroniki Lamprecht. Przyjaźnie się kończą, czasem boleśnie.

O dziesiątej Charlotte Heidemann wciąż siedziała przy stole, z nieruchomym wzrokiem skierowanym przed siebie. Niczego nie tknęła, nie zjadła ani kęsa, nie wypła ani łyka.

W przeciwieństwie do ziemi w Jettenbrunn. Wiszące nad wsią gęste chmury od samego rana zrzucały swoją zawartość na przesiąkniętą już wodą glebę. Ciemny był ten deszczowy dzień, prawie bezwietrzny; w dach, rynny i parapety waliły wielkie krople.

Karl, z twarzą wykrzywioną bólem, ukrywał się w saunie, gdzie nie było okien. Rozpostarł wełniany koc między drewnianymi ławkami, obciążył jego brzegi kamieniami z pieca i wczuł się do swojego prowizorycznego namiotu. Zrobił to nie tylko z powodu gwałtownie dudniącego deszczu. Przeczuwał dzisiejsze zachowanie matki: takie jak zawsze podczas świąt czy urodzin.

Chodziła, jakby się skradała – poruszona okazją, spięta tym, co zamierzała: przytulić własne dziecko, choćby na chwilę poczuć to, czego w normalne dni jej odmawiało. Ale Karl schowa się w swoim namiocie, głuchy na jej słowa, a ona będzie płakać, błagać, pokazywać mu się na oczy. Nieustannie.

W którymś momencie, przez szparę między kocem a podłogą Karl zacznie obserwować matkę, zobaczy cierpienie na jej twarzy, obudzi się w nim współczucie i będzie rozdarty. Z jednej strony opór, z drugiej – pragnienie, żeby jej pomóc. I w którymś momencie, żeby wreszcie skończyć to głośne biadolenie, ten

huk, Karl w końcu jej się pokaże, przynajmniej na chwilę i z bezpiecznej odległości.

Charlotte będzie mu wdzięczna i za to, uśmiechnie się do niego, powie, że wszystko jest w porządku. „Prawda, że wszystko jest w porządku, Karl?”

Tylko że tego czerwcowego dnia nic nie było w porządku. Absolutnie nic.

Karl leżał pod ławką w saunie i czekał.

Charlotte też czekała, siedząc przed pełną filiżanką kawy.

W pewnej chwili Karl usłyszał, jak otwiera butelkę i coś cicho do siebie mówi, jak stuka paznokciami w zniszczony już drewniany blat stołu, jak coraz szybciej chodzi w tę i we w tę, a potem energicznie wykręca numer telefonu.

Przez kilka sekund było cicho, a potem odezwała się stłumionym głosem:

– O co chodzi? To znaczy, że w ogóle nie przyjdiesz?

Jej głos nieco się podniósł.

– Co, proszę? Powinniśmy zrobić przerwę? Przerwę? Przepraszam cię, ale co to za wymówka? Chodzi o Hedwig? Tego ciućmoka, żonę Oberwaldnera? A może... może... Jezu! To Veronika? – zapytała i dodała już z histerią w głosie: – To Veronika. Mam rację, prawda? Veronika! Dlatego przestała się do mnie odzywać.

Mówiła coraz głośniej:

– Nie! To nie jest tak, że każdy odpowiada za siebie! Byłam, o czym przecież dobrze wiesz, u kresu sił. I najwyraźniej dla lekarza nie ma łatwiejszej ofiary niż ktoś, kto jest u kresu sił. Ty...!

Był w niej już tylko gniew.

– Uspokoić się? Ja mam się uspokoić? Czy to jest zalecenie lekarza, ty nędzny bydlaku?

Gwałtownie odłożyła słuchawkę i rozległ się głośny krzyk, jakiego Karl z ust matki jeszcze nigdy nie słyszał. Potem nastąpiły szlochy, jęki, wycie, przekleństwa, wrzaski, chodzenie tam i z powrotem, rzucanie przedmiotami, tłuczenie szkła i porcelany i wreszcie spokój, niekończąca się faza beczynności. A w końcu to, czego Karl się obawiał:

Otwarcie drzwi do piwnicy.

– Karl! – Przeciągający się, bełkotliwy krzyk zapowiadał jej zejście na dół. – Dzisiaj są moje urodziny. I przynajmniej ty tutaj jesteś. Co ja mówię?! „Przynajmniej”. Przecież ty jesteś wszystkim, co mam. Prawda? Jesteś wszystkim, co mam? Czy nie jesteś moim największym skarbem? Tak? Więc zrób coś dla mnie, w prezencie. Wyjdźmy z domu. Razem, tylko ty i ja. Ten jeden jedyny raz. Tak jak kiedyś codziennie wychodziłeś z ojcem.

Nawet jeśli w tych słowach było błaganie, to brzmiały raczej jak wezwanie, rozkaz.

Więc Karl wyczołgał się ze swojego namiotu, wcisnął do uszu woskowe

zatycki, tak głęboko, jak tylko mógł, i zdając sobie sprawę z nieuchronności tego, co go czeka, ruszył w stronę matki. Nie było ucieczki. Tym razem było inaczej. Doktor Albrecht Hofstätter nie pojawił się jak w każdy czwartek i Charlotte nie zgodzi się, żeby jak zwykle Karl jej unikał.

Z opuszczonymi ramionami Karl stanął u stóp schodów.

– Już na mnie czekasz. O, jak miło!

Wspiął się na górę, ale nie wyszedł na dwór.

– Zrobimy coś, czego nigdy dotąd nie robiłeś, a w każdym razie tego nie pamiętasz. I przeżyjemy to tylko we dwoje, tylko ty i ja.

Z wahaniem Karl poszedł za matką do garażu.

– Zobaczysz, jaka to jest przytulna kryjówka. Na pewno ci się spodoba.

W jednej ręce trzymając butelkę, drugą otworzyła drzwi samochodu i kazała Karlowi usiąść z tyłu.

Za późno, by uciec.

Niezauważona przez nikogo Charlotte, z siedzącym za nią synem, wyjechała z Jettenbrunn.

– Przecież jedziemy tylko na wycieczkę – pocieszyła syna, który ze łzami w oczach przyciskał dłonie do uszu. – Nie ma powodu do płaczu.

I zaczęła śpiewać:

*Ratatatatat.*

*Jedziemy razem w świat.*

*Dorożkę ciągnie konik siwy,*

*A wokół widać same dziwy.*

*Raz po raz strzela bat.*

*Ratatatatat.*

Cały czas ta pierwsza zwrotka, wciąż ta wymuszona radość, przerywana szlochom – *Raz po raz strzela bat* – śmiechem i potem głośniejsze: *Ratatatatat. Jedziemy razem w świat.*

– Słyszysz, Karl? Raz po raz strzela bat!

Karl coraz bardziej kurczył się w sobie, czując zagrożenie i niepewność tego, co nadejdzie. A mogło się zdarzyć wszystko. Pod nim warkot samochodu. Przed nim śpiew matki, szuranie włączonych wycieraczek i ostre jak ułucia noża syczenie wentylacji. Nad nim walące w dach krople. To, co Charlotte wydawało się zwykłym bębnieniem deszczu, dla niego było czymś równie nieznośnym, jak niekończąca się seria strzałów z karabinu maszynowego, gdyby ją kiedyś usłyszał.

Charlotte, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość, prowadziła nerwowo, wjeżdżała w głębokie kałuże. Niebezpiecznie blisko minęła się z jadącą z naprzeciwka ciężarówką. Zajęta wyłącznie sobą, pociągała z butelki, szeptała coś; oczy jej błyszczały, dłonie drżały.

Po raz pierwszy w życiu Karl poczuł, czym naprawdę jest strach, połączony z mdłościami, jakich nigdy dotąd nie doświadczył. Wydawało mu się, że ta droga nie ma ani celu, ani końca.

I w jednym, i w drugim się mylił.

## 12 WYZWOLENIE

Kiedy samochód skręcił z krajowej drogi w leśny trakt, Karl zwymiotował, jakby zwiastował to, co miało się wydarzyć.

– Jezu, skarbie! – jęknęła Charlotte z troską. – Sprzątniemy to, kiedy dojedziemy. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Zatrzymała się przy błotnistej drodze prowadzącej w głąb gęstego lasu i otworzyła drzwi. Nie czekając, aż matka wysiądzie, Karl wyskoczył z samochodu, w zabrudzonym wymiocinami ubraniu, z głową pustą z bólu, jakby ją wydrażono. Uderzył w niego deszcz, ostry, palący, ciepły, jakby to były padające pionowo promienie. Chociaż Karl wcześniej słyszał deszcz, jeszcze nigdy go nie poczuł. Zainteresowany uniósł głowę i zwrócił się twarzą do nieba, z zamkniętymi oczami, z napiętą na policzkach i czole skórą jak na bębnie, a wewnątrz z jednym wielkim zgiełkiem. Było w tym coś więcej niż poczucie, że zalewa go woda. Było uczucie całkowitego oczyszczenia, jakby deszcz miał w sobie siłę zdolną zmyć nie tylko to, co jest na zewnątrz.

Karl wszedł do lasu i nie zatrzymywał się, dopóki gęste rzędy jodeł się nie przerzedziły i nie ukazała się kaplica Świętej Marii, a za nią staw z mocno marszczącą się powierzchnią, w którą uderzały strugi deszczu.

– Tu wysłałam za męża za twojego tatę. I właśnie tutaj zawsze z nim przychodziłeś, prawda? A teraz jesteśmy tu my dwoje.

Dach kaplicy zapraszał, ale Karl się temu nie poddał.

– Karl, wiesz, co tak naprawdę chciałabym dostać dzisiaj na urodziny? – spytała Charlotte, gdy dotarła do swojego celu nad brzegiem stawu. – To, czego pragnie każda matka – szepnęła delikatnie. – Jak myślisz, co to może być?

Wzięła syna za rękę, a on jej na to pozwolił. Ze spuszczonego wzrokiem stał bez ruchu na drobnych kamyczkach. Muł wdzierał się między paski sandałów Karla, dłoń, w której zniknęły jego palce, zaciskała się mocniej, coraz bardziej natarczywie.

– Chciałabym, żebyś mnie kochał. No i... Kochasz mnie? Tak?

Powoli osunęła się na kolana, a z jej ust buchnął ostry zapach.

– Więc mi to pokaż. I powiedz.

Poczuł w sobie pustkę. Był jak głuchy. Całą swoją zdolność odczuwania skupił na stopach, które były już po kostki zanurzone w wodzie.

– Powiedz, Karl, ten jeden raz – szeptała. – Powiedz: „mama”.

Karl milczał.

Charlotte podniosła się i zaczęła rozbierać, aż w końcu stanęła przed synem całkiem naga.

– Woda w stawie jest taka ciepła, deszcz też. Czujesz to? Ciepło w wodzie i ciepło na zewnątrz. Chodź, pójdziemy popływać. Będę cię mocno trzymać. Nic ci

się nie stanie.

I weszła do stawu.

– Chodź.

Karl jednak nie poszedł. Milczał, patrzył tylko, jak matka stawia jedną stopę przed drugą. Śledził ją wzrokiem, dopóki nie znalazła się w miejscu, w którym woda sięgała jej do bioder. Wtedy Charlotte odwróciła się i zawołała:

– Powiedz, Karl! Powiedz „mama”! Tym jednym słowem pokażesz, że mnie kochasz! Niczego innego od ciebie nie oczekuję! Chyba że chcesz, żebym poszła dalej! Chcesz tego...

Przerwała na chwilę. Krzyżując przedramiona, położyła dłonie na barkach, jakby chciała się objąć, ogrzać, i ciszej dokończyła:

– ...żebym poszła dalej. Chcesz tego? Powiedz „mama”. Powiedz to!

Karl znowu zwymiotował. Podobnie jak poprzednio, na tylnym siedzeniu samochodu, ale teraz stało się to z zupełnie innego powodu. Teraz czuł się tak, jakby go coś dławiło, jakby to pierwsze wypowiedziane przez niego słowo utknęło mu w gardle i musiało się wydostać na zewnątrz, niepowstrzymanie. Słowo, wypowiedziane kiedyś przez ojca, dokładnie w tym miejscu, nad brzegiem stawu. Pierwsze kroki Karla... Radość Johanna... Radość, bo tego dnia wyznaczył drodze syna kierunek: wolność.

– Powiedz to! – wrzasnęła Charlotte.

I Karl powiedział.

Jego głos zabrzmiał dźwięcznie, głęboko jak na chłopca w tym wieku. Głośno i jednoznacznie każda litera bezlitośnie przecięła sobie drogę przez deszcz.

– Idź.

Wytrwale i ciężko zatrzymało się to jedno słowo nad stawem, jakby chciało się upewnić, że zostanie zrozumiane w swoim pełnym znaczeniu.

Charlotte natomiast nie zatrzymała się.

Kiedy idąc tyłem, patrzyła na syna, jej twarz się nie poruszyła. Jedna stopa podążała za drugą, woda zaczęła jej sięgać do piersi, szyi, brody, ust, aż w końcu jej do ostatniej chwili czekające oczy zniknęły pod powierzchnią wody. Ale nie usłyszała „Zostań!”, „Mamo, proszę...”. Nikt nie rzucił się do wody, żeby ją ratować.

Wszystko wydawało się jednością. Trudno było określić, w którym miejscu spadająca z góry woda łączy się z jeziorem, gdzie się kończą chmury, a zaczyna niebo. W środku tego pokrytego szarym welonem świata, pośród niekończącego się dudnienia, stał Karl Heidemann i w milczeniu patrzył na powierzchnię wody, na której nie było niczego.

Długo jeszcze, jak skamieniały, stał na miękkim żwirku na brzegu stawu. Jak człowiek może tak długo wstrzymać oddech? – zastanawiał się.

Kilka razy sam wstrzymywał oddech, nie spuszczać wzroku z powierzchni

wody, i czekając, aż matka w końcu się wynurzy, żeby zaczerpnąć powietrza i przyjść do niego.

Nic z tego nie rozumiał.

Wiedział tylko, że jest dobrze.

Dokądkolwiek udała się Charlotte, Karl miał tylko dwa pragnienia: żeby została tam, dokąd poszła, i żeby było jej tam dobrze. Tak jak jemu; bo nie mając pojęcia, co oznacza śmierć, nie czuł się ani smutny, ani opuszczony.

Rejestrował tylko ciszę, połączoną z nieznanym mu dotąd spokojem wewnętrznym.

Przysłonięte nachodzącymi na siebie chmurami słońce, znajdowało się już w zenicie, a Karl wciąż był nad stawem. Czuł na swoim mokrym, bladym nabrzmiałym ciele ciepło promieni przebijających szarą ścianę.

Stał tam, kiedy jego ojciec, w związku z urodzinami żony, wcześniej wrócił z pracy i nie zastał nikogo w domu. Tylko bałagan, męski zegarek leżący na środku stołu w jadalni. To nie był jego zegarek, ale Johann wiedział, do kogo należał.

Zrozpaczony biegał od domu do domu i dopytywał o żonę, ale żaden z mieszkańców Jettenbrunn nie umiał mu pomóc. Gdy we wsi zebrano grupkę ludzi do poszukiwań, Karl wciąż był nad brzegiem stawu. Był tam również wtedy, gdy znaleziono zaparkowany w lesie samochód, a potem jego stojącego przed połyskującą w słońcu wodą, z porzuconymi u jego stóp ubraniami matki.

– Gdzie jest mama? – głośno zapytał zrozpaczony ojciec.

Karl powoli wyciągnął rękę, wskazując na środek jeziora, i stopniowo zaczęło do niego docierać, co oznacza śmierć: przerażenie, rozpacz, cierpienie.

Zrobiło się głośno, nerwowo. Karl, jakby go ktoś zadręczał, z bólem na twarzy, dłońmi przyciśniętymi do uszu, osunął się na ziemię.

– Neeee! – rozległ się przeciągający się krzyk ojca. Pełen najgorszych przeczuć Johann Heidemann przebiegł obok syna. Za nim ruszył właściciel gospody Przy Poczcie, Hubert Oberwaldner, mechanik Gerwald Lamprecht i dwóch innych mężczyzn. Wszyscy wypłynęli na staw, raz po raz nurkowali w przejrzystej wodzie, a te kilka osób, które pozostały na brzegu, ogarnęło przerażenie.

Zasłaniając dłońmi twarze, niektórzy wybuchali płaczem, kiedy ociekający wodą Johann Heidemann wyszedł ze stawu, niosąc na rękach nagą martwą żonę, jakby chciał ją przenieść przez próg, a potem położył ją na żwirku i uklęknął przy niej.

Karl poczuł, jak coś zatyka mu gardło. W tym momencie, z goryczą i niepokojem, docierało do niego tylko to, co miał przed oczami. Matka znowu tu była. Wróciła. I wraz z nią wróciło wszystko: poczucie winy związane z jego bierną i niemą, a jednak pociągającą za sobą tyle cierpienia egzystencją. Wrócił strach przed naciskami, wymuszeniami. Wróciła potrzeba ucieczki. A potem to

dostrzegł – nieruchome ciało Charlotte, białą jak śnieg twarz, z której zniknęło wszelkie napięcie, i brak oddechu.

Zapanował dziwny spokój. Nikt z obecnych nie odważył się odezwać, nikt się nie poruszył. Wszyscy tylko patrzyli. Cokolwiek stało się pomiędzy tym, jak Charlotte Heidemann weszła do wody, a chwilą, gdy wyniesiono ją na brzeg, Karl nie mógł od niej oderwać wzroku, zafascynowany tą nieznaną mu przemianą, jaka się dokonała. Jego pragnienie zachowania dystansu zniknęło.

Powoli ruszył w stronę matki.

– Zawieźcie to dziecko do wioski! Nie powinno tego widzieć! – zawołał ktoś z tyłu.

Karl uwolnił swoje ramię z obcej ręki, która je chwyciła, i urzeczony urodą matki, jej przyćmiewającym wszystko spokojem, przyklęknął obok ojca. Wydało mu się niemal, że Charlotte delikatnie wyciąga do niego rękę i mówi: „Ach, mój skarbie, wszystko jest dobrze. Popatrz tylko: znów jestem przy tobie”.

Wreszcie zaznała spokoju, właśnie tak, jak nie dalej niż rano życzył jej tego doktor Hofstätter.

Wyglądała na wyzwoloną – od własnych cierpień i od okrucieństwa życia. Wyzwolona przez coś, czego wprawdzie nie było wydać, ale najwyraźniej miało niezwykłą moc. Coś, czemu jego matka dobrowolnie wyszła naprzeciw, jakby wiedziała, jaki wydarzy się cud. Coś, co pozwoliło jej w tak krótkim czasie stać się kimś, wobec kogo był nagle w stanie odczuwać sympatię w stopniu, jakiego dotąd wobec nikogo nie doświadczył. Miłość. Po tylu latach.

Ale co to za siła, co to za potęga, która ma taką moc jednania, która może nagle zakończyć wszystkie udręki? W ciągu jednej krótkiej chwili.

Karl nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Kiedy tak klęczał obok ojca, czując nieskończony spokój i pojednanie, ze wszystkich aforyzmów, które uważnie, chociaż nie wiedząc, co oznaczają, czytał w swoich książkach, jeden zaczął nabierać sensu. Karlowi wydało się, że słyszy szeptem wypowiedane słowa:

*W jednej krótkiej chwili miłość może działać tyle,*

*Ile wysiłkiem nie osiągnie się przez długi, długi czas<sup>1</sup>.*

Miłość. Czy to jest właśnie ona?

Czy matka go wyzwoliła?

Płacząc bezgłośnie, szczęśliwy Karl Heidemann odsunął ostrożnie z twarzy Charlotte mokry kosmyk włosów.

Z zaciekawieniem.

I nic nie mogło być bardziej katastrofalne.





## 13 CMENTARZ

Kolejne letnie dni w Jettenbrunn mijały, jakby zanurzyły się w ołowianej ciemności. Przygnieceni ciężarem wyrzutów sumienia mieszkańcy przemykali się chyłkiem przez wioskę. Wprawdzie z czystej skruchy wznieśli się na wyżyny empatii i zanosili nad staw bukiety kwiatów, a do domu Heidemannów kosze jedzenia, ale żadne kwiatowe dywany, żadne, nawet najsmaczniejsze, wiktuały nie mogły przesłonić ostatnich kilku lat, tego, że nie udzielono Heidemannom pomocy i pozostawiono ich na łasce losu. Prawda jest jednak taka, że kiedy już nie da się zmienić biegu wydarzeń, bo ktoś na zawsze opuszcza społeczność, reszta może powiedzieć: „Nic nie mogliśmy zrobić, nawet gdybyśmy chcieli”.

Zanim w dniu urodzin Charlotte – i jej śmierci – zapadł mrok, udała się w swoją ostatnią ziemską podróż, a siedemdziesiąt dwie godziny później została pochowana.

Wieńce oraz bukiety wyglądały barwnie; a było ich wiele, bo wyrzuty sumienia mają hojne ręce. Pełnymi zawijasów literami napisano na szarfach to, co mieszkańcy Jettenbrunn czuli do Charlotte teraz, kiedy już nie żyła. „Pozdrowienia prosto z serca”, „W wiecznej miłości”, „Z prawdziwą przyjaźnią” i wiele, wiele więcej. W Johannie Heidemannie, który popychał przed sobą wózek inwalidzki Aloisa Daxbergera, wszystkie te napisy wywoływały tylko urazę i mdłości. Gdyby tylko mógł, naplułby w twarz wszystkim tym ludziom idącym za nim w swoich czarnych wyglansowanych butach – pozbawionym serca, samolubnym obłudnikom. A była ich cała gromada.

Zaraz za nim Gertraud i Heinrich Auböckowie, rodzice Charlotte. Przybyli do Jettenbrunn jeszcze wieczorem w dniu urodzin i śmierci córki i od razu pojechali nad staw. Trwali tam na posterunku, jakby oczekiwali powrotu córki, a potem, w domu, dali upust żalowi; płacząc, przesłuchiwali zięcia i w złości rzucili podejrzenie, że to on doprowadził żonę do tego kroku. A Johann pozostał spokojny, wiedział bowiem, czym jest dla człowieka największa strata na tym świecie: utrata własnego dziecka. Teraz jego teściowie, prawie bez życia, poruszali się jak na szynach, odprowadzając córkę zwirowaną drogą, nieśli białe tulipany, wyraz miłości, która nie będzie chciała zgasnąć. Nie było orkiestry dętej, celebransa. Nie było słyhać wspólnego odmawiania Różańca. Tylko idąca zwirowaną drogą cała wioska, milcząca.

Wszystko zrobiono zgodnie z prośbami Johanna. Ale nawet gdyby o to nie prosił, żałobnicy nie byli w nastroju do śpiewania, trąbienia czy gadania. Coś skłaniało ich do zamknięcia się w sobie, jakby im zasznurowano usta. Bo na czele orszaku pogrzebowego szło obok ojca, po raz pierwszy na oczach wszystkich, uosobienie wyrzutów sumienia mieszkańców Jettenbrunn – Karl Heidemann.

Wglądał na silnego jak na swój wiek. Za ciężkiego, o wiele za ciężkiego.

Dziecko, które już przed laty miało nadwagę, zmieniło się w godnego politowania, odrażającego kolosa. Nie było widać szyi, stawów ani na dłoniach, ani na stopach.

Za mały czarny garnitur, beznadziejnie opinający chłopca niczym szlauch. Za krótkie spodnie. Ściągacze białych skarpetek, nad wyglansowanymi czarnymi butami, wpijały się w opuchnięte ciało, wywołując zaczerwienienie. Świecące się jak słońca, bladoróżowe woskowe zatyczki, mimo że głęboko wciśnięte w uszy, rzucały się w oczy z powodu kontrastu z bladą skórą Karla. Jego okrągła głowa z jasnymi, krótkimi włosami sprawiała wrażenie, jakby składała się tylko z tych dwóch plamek koloru i pary rejestrujących wszystko, błyskających spomiędzy wąskich szparek, czarnych oczu.

Nie patrzył na żadnego z mieszkańców wioski; wzrok miał skierowany w dół, jakby wokół niego niczego nie było. Niczego poza jego stopami i trumną z krzyżem na drewnianym wozie ciągniętym żwirową drogą.

Nie trwało to jednak długo. W którymś momencie w kolejnych rzędach żałobników zaczęto szeptać. Z grobu na grób lekko przeskakiwał biało-czarny kot właścicielki sklepu spożywczego, Adele Konrad. Przemknął obok swojej pani na samo czoło orszaku pogrzebowego i zaczął się delikatnie ocierać o stopy nieznanego mu chłopca. Karl musiał się zatrzymać, żeby się o niego nie potknąć. Ludzie za nim przez chwilę wpadali na siebie, a potem całe Jettenbrunn zamilkło. Tylko kilka nerwowych chrząknięć, w końcu Adele Konrad wyszła z szeregu.

– Chodź tutaj. Do mnie!

Ale kot nie przyszedł. Zataczał małe kręgi wokół stóp Karla Heidemanna, ocierając się o miękkie kostki. Dopóki Alois Daxberger po tym, jak Adele Konrad rzuciła mu życzliwe spojrzenie, nie wziął go na ręce. Alois i Adele, dwoje starych ludzi, którzy teraz znaleźli się blisko siebie za trumną z młodą kobietą. Popatrzyli na siebie. Spotkały się spojrzenia, które przez całe ich życie się krzyżowały, w milczeniu, potajemnie, niepewnie, wręcz błagająco, a jednak nie zdołały przyciągnąć upragnionych dłoni i należących do nich ciał. Człowiek – więzień własnego umysłu, ofiara swoich działań i zaniechania, biegu wydarzeń – jest jednak wielką tajemnicą.

Adela Konrad bierze od Aloisa kota i odwraca się do Karla.

– Chcesz go wziąć na ręce?

Zanim do chłopca dociera, o co chodzi, pokryte futrem stworzenie przywiera do jego piersi. Ciepłe, miękkie, bliskie. Karl zamiera w bezruchu, za to jego oczy są nad wyraz żywe. Bezradnie patrzą w prawo, w lewo. Nie pamięta, żeby ktoś dotykał go w ten sposób. Czy w ogóle czuł ostatnio tak blisko ciało żywej istoty? Kiedy ktoś go wziął w ramiona?

W jego pamięci pojawiły się mgliste obrazy spacerów nad staw. On i ojciec... Ale kiedy to było?

Mruczenie, które brzmi jak warkot silnika znajdującego się we wnętrzu kota,

głośne, a mimo to kojące, osłabia olbrzymie napięcie Karla, którego nikt nie dostrzegł.

– Musimy to skończyć. – Ojciec szturcha go lekko, nie patrząc na kota, i idą dalej, a za nimi cała wieś, której uwaga jest wyraźnie skupiona na Karlu; taksują go z daleka badawczym spojrzeniem. A on, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc, nie potrafi sobie wyjaśnić, dlaczego coś tak cudownego jak śmierć pogrąża ludzi w takim mroku.

„...tak ciężko doświadczona przez życie...”

„...tak szybko od nas odeszła...”

– Chcemy zapamiętać naszą Charlotte taką pełną życia, jak kiedyś była – padły w końcu nad otwartym grobem słowa kapłana i poniosły się nad rzędami żywych i martwych mieszkańców Jettenbrunn.

Johann Heidemann powściągnął złość. Wiedział, o co chodziło kapłanowi, kiedy mówił o „ciężkim doświadczeniu przez życie”. Każdy wiedział, nawet Karl, dla którego ręka ojca, zaciśnięta na jego ramieniu, była tarczą chroniącą go przed ludzkim wzrokiem.

## 14 ZIEMIA ZIEMI

Z łopatkami napełnionymi ziemią ludzie podchodzili do otwartego grobu, a po tym, jak je opróżnili, kierowali wyrazy współczucia do rodziców Charlotte: „Tak bardzo mi przykro”. „Witaj, Aloisie”, mówili, przechodząc obok siedzącego na wózku inwalidzkim starego nauczyciela, potem zatrzymywali się przy mężu nieboszczki. „Moje kondolencje, Hans”, a na końcu przystawali przy jej synu. Karl Heidemann, ostatni przystanek przed oczekiwaną stypą i smakowitym poczęstunkiem w gospodzie Przy Poczcie, odbierał apetyt głodnym mieszkańcom Jettenbrunn.

Niewzruszony chłopiec, stojąc bez ruchu, patrzył w oczy każdemu uczestnikowi pogrzebu, tak jakby chciał i potrafił sięgnąć głębiej, tam gdzie kryły się myśli, które miały pozostać na zawsze tajemnicą. Ujmując podawane mu dłonie, czuł zdenerwowanie tych ludzi, słyszał ich niepewność, a patrząc na twarze, myślał sobie, jakie to byłoby piękne, gdyby naznaczyła je śmierć. Zakłopotani opuszczali głowy, a ich słowa nie miały jakiegokolwiek sensu.

– Ależ ty wyrosłeś! – rzucił właściciel gospody, Hubert Oberwaldner.

– Bardzo jesteś dzielny – pochwaliła chłopca Hedwig, żona Oberwaldnera. – Naprawdę bardzo dzielny.

– Twoja mama jest na pewno z ciebie dumna i będzie się tobą opiekować – powiedziała Adele Konrad. – Jestem tego pewna.

– Tata będzie miał z ciebie pożytek, no nie? – dołączył się mechanik Gerwald Lamprecht.

Potem przemówiła jego żona Veronika:

– Tak bym chciała jeszcze raz się z nią spotkać... porozmawiać. Chciałabym... chciałabym jej tyle wyjaśnić... – Wyglądała jak cień samej siebie. – Tak bardzo jest mi przykro... Tak strasznie przykro...

Karla cieszyły wszystkie te słowa; chłonał je, przyglądając się powiązanym z nimi twarzom i postaciom i przyporządkowując je do zapisanych w jego umyśle dźwięków. Wreszcie głosy, które słyszał, siedząc w piwnicy, i na ich podstawie budował obrazy, nabierały realnych kształtów.

I niemal się roześmiał, kiedy uświadomił sobie, do jakiego stopnia tamte obrazy pokrywały się z rzeczywistością. A przecież żadnego z tych ludzi – mimo że niektórzy czasami obserwowali go na ekranie monitora – nigdy nie widział. Poza jednym wyjątkiem.

Który właśnie się zbliżał.

Podchodzi prosto do Johanna Heidemanna, na chwilę obejmuje go w budzącym zaufanie geście.

– Straszna historia – mówi, poklepując go po ramieniu. – Moje kondolencje, Hans.

Żadnego nerwowego przestępowania z nogi na nogę, przyśpieszonego pulsu i oddechu, żadnych szybko wyrzucanych słów. Nic z tego, co towarzyszyło innym żałobnikom. Doktor Albrecht Hofstätter jest nieporuszony, jakby nie stał nad otwartym grobem bliskiej mu osoby i przed wdowcem, który ją utracił, lecz przed słupem.

– Kiedy tylko będziesz mnie potrzebował, nie wahaj się.

Johann, zgarbiony, z zamglonym wzrokiem, nie odpowiada. Wkłada do kieszeni spodni zaciśniętą w pięść dłoń, jakby coś w niej kurczowo trzymał. Stojący obok Karl zamyka oczy i czuje, jak jego milczący ojciec w środku szaleje. Również w nim coś się porusza, coś, czego nie potrafi nazwać. Ciało ma spięte, a w piersi czuje ucisk, jakby leżał na niej ciężki kamień. Karl czuje się tak, jakby w jego wnętrzu, od żołądka aż po gardło, brakowało miejsca, jakby ból ojca przeszedł na niego i chciał się wydostać.

– Była takim dobrym człowiekiem... – dodaje jeszcze doktor Hofstätter i idzie dalej, do następnej osoby w tej kolejce.

„...takim dobrym człowiekiem” rozbrzmiewa jeszcze w uszach Karla, kiedy lekarz pochyla się nad nim i wyciągając prawą rękę na powitanie, lewą głaszczkę go po głowie.

– Tak mi przykro, chłopcze. – Głos Albrechta Hofstättera jest spokojny, dłoń twarda, koścista i zimna. – Ale pozwól sobie coś powiedzieć: twoja mama będzie cię zawsze kochać. Słyszysz? Dziecko pozostaje w sercu matki na zawsze. Miłość nie przemija.

Jego słowa wdzierają się głęboko w Karla.

Dziecko pozostaje w sercu matki na zawsze.

Na początku chłopiec, skupiony na tym, co czuje, stara się unikać jego wzroku, zafascynowany swobodą stojącego przed nim mężczyzny, podczas gdy sam jest spięty.

– Zobaczysz, że sobie poradzicie, wy dwaj, ty i twój tata.

Doktor Hofstätter chce cofnąć rękę, ale chłopięce palce zaciskają się na niej jak imadło.

– Ależ ty jesteś silny! – mówi lekkim tonem, jakby za tą próbą sił nie kryło się nic więcej niż zabawa i pyszałkowatość: „Popatrz, co potrafię!”.

Ale to nie była zabawa. Coś popychało Karla do wyjścia z milczenia. Chrapki jego nosa się rozszerzają, wolno i głośno nabiera tchu, otwiera usta, wypuszcza z przerwami powietrze, znowu nabiera tchu i w końcu stęka.

– Karl, co ci jest? – Johann Heidemann odwraca się do syna, a ten, wciąż kurczowo trzymając dłoń Hofstättera, z twarzą czerwoną od wysiłku, wolno unosi głowę i patrzy prosto w niebieskie oczy doktora, wydaje przeciągłe głębokie jęki – jeden, drugi, trzeci, czwarty – dokładnie tak, jak jego matka, kiedy poddawała się kuracji lekarza.

Wysiłki przeciwnika, żeby przynajmniej sprawiać wrażenie spokojnego i opanowanego, są bezsensowne, bo Karl czuje jego wzburzenie.

– Przypuszczam, że jest pod wpływem szoku – szepcze doktor Hofstätter, rozumiejąc przesłaną mu wiadomość, ale nie mając pojęcia o jej następstwach. – I trudno się dziwić.

Powraca spokój, oddech Karla wraca do normy, głowa się pochyla. Pierwszy raz w życiu mógł poczuć, czym jest zło, poprzez wymykającą się jego woli reakcję własnego ciała – gniew.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – pyta doktor. – Bogu dzięki. Hans, jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował, zawsze znajdę dla ciebie czas.

Johann Heidemann daje mu jednoznaczną odpowiedź.

– Czas? – Wyjmuje z kieszeni spodni zwiniętą w pięść dłoń, rozprostowuje ją i wyciąga w kierunku lekarza.

– Mój zegarek! Skąd go masz?

– Ty to wiesz i ja to wiem. I wiem również, gdzie cię mogę znaleźć.

Zanim Albrecht Hofstätter odejdzie, w jego spojrzenie wkrada się niepewność. Nikt za nim nie idzie.

Niemal opustoszały cmentarz sprawia wrażenie zadbanego ogrodu. Nad otwartym grobem Charlotte stoją już tylko Karl, jego ojciec, dziadkowie i Alois Daxberger.

– Dlaczego? – odzywa się cicho babcia Auböck. – Dlaczego nie ja?

– Jest jej teraz dobrze – mówi Heinrich Auböck, kładąc dłoń na ramieniu załamanej żony.

– Na pewno jest jej dobrze – wtrąca Alois Daxberger.

– Tak, na pewno – dodaje Johann.

Te słowa pocieszenia i wiary potwierdzają to, co Karl i tak już wiedział, nie rozumie tylko, dlaczego te łzy, te opuszczone głowy, skoro jego matce jest teraz tak dobrze. Dlaczego nie radość i wdzięczność za ten akt wybawienia? Swoboda interpretacji zdarzeń jest jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem.

Kiedy Karl się nad tym zastanawiał, widząc, jak babcia i dziadek Auböckowie idą w stronę gospody Przy Poczcie, z której wystawiało głowy kilku uczestników pogrzebu, poczuł w uszach hałas; mieszkańcy Jettenbrunn przerwali milczenie. Wyglądające z gospody głowy sądziły, że są wystarczająco daleko, a więc gadały do siebie.

– Widzieliście tego chłopca?

– Przeróżający, prawda?

– Co?

– Tłusty jak tuczniki Oberwaldnera.

– Nie mów tak! Biedny chłopiec, ledwie może się poruszać.

– Ale Hans też jest biedny. Został sam z tym dzieciakiem.

- Cicho! Ten chłopak na nas patrzy!
- I co z tego? Myślisz, że umie czytać z ruchu warg?
- Nie patrzy przyjaźnie.
- Przecież wraca z pogrzebu własnej matki, więc wyobrażasz sobie, że może się uśmiechać?
- A wyobrażasz sobie, że z tą swoją napuchniętą twarzą w ogóle potrafiłby się uśmiechnąć?

Chichot.

- Jak można dziecku zrobić coś takiego! To skaza na całe życie. To przez zaniedbanie rodziców takie dzieci czują się jak ciężarne maciory.
- Przestańcie. Nic nie wiecie, może ten dzieciak jest chory...
- To przywitajmy go.
- Może to nie tylko niemowa, ale jest jeszcze głuchy.
- No to mu pomachajmy.

Więc pomachano Karłowi.

On jednak się nie poruszył; pozostał z kamienną twarzą, bez żadnego uśmiechu, śmiertelnie poważną. Dopiero po chwili, wciąż patrząc na ludzi w gospodzie, lekko przechylił głowę, jakby ocenił i zbagatelizował, niczym obca istota przyglądająca się swojej łatwej zdobyczy.

- Cholera! Ciarki mnie przechodzą. Wejdzmy do środka.

Gadanie natychmiast się skończyło, ludzie zniknęli we wnętrzu gospody, w Jettenbrunn zapanował spokój. Ile może zdziałać nieznaczny ruch głowy! Ulice opustoszały, zrobiło się przyjemnie. Karłowi przypomniała się matka – jej wejście do stawu, zniknięcie i jej powrót, takiej pięknej i spokojnej.

„Na pewno jest jej dobrze”.

Śmierć... ten łaskawy dobry pasterz.

*Wszędzie, gdzie widzę miłość, jest tak,*

*jakbym znalazł się w niebie<sup>2</sup>.*

Co wydarzyło się w głębinie stawu? Jaką służbę musi przekroczyć człowiek, żeby dostać się stąd tam, z ziemi do nieba? Tego Karl nie wiedział. I tam, gdzie dotychczas spędzał życie, nigdy nie poznałby odpowiedzi na to pytanie.

- Chodź, synu. – Ojciec troskliwie położył dłoń na ramieniu chłopca.
- Ale nie tam! – wtrącił się stary Daxberger. – Jak myślisz, Karl? My dwaj chyba oszczędzimy sobie tego zgiełku w gospodzie, co? Chodź, zawieź mnie do domu. To był wystarczająco ciężki dzień.

U Heidemannów ten dzień był nie tylko dniem złożenia do ziemi, ale i dniem wyjścia na jej powierzchnię.



W dół. W górę. Śmierć i nowe narodziny.

## 15 NOC

Jeszcze tego dnia, późnym wieczorem, do emerytowanego nauczyciela Aloisa Daxbergera, dzięki aparatowi słuchowemu, dotarły z daleka dziwne, straszne dźwięki. Coś jakby zwierzę. Jak mu się to często zdarzało, zasnął przy książce, na swoim wózku inwalidzkim. A teraz całkiem rozbudzony siedział w otwartym oknie. Poniżej jego domu grasowało coś nieznanego.

Wokół żywej duszy. Ponura ceremonia pogrzebowa, topielec, ciemność, pustka, wszystko to zaraz po tym, jak słońce skryło się za wieczorną szarówką, zagnało mieszkańców wioski do kryjówek, które znaleźli w swoich domach, w otoczeniu bliskich, w świadomości tego, że oni wciąż żyją.

W domu Heidemannów było inaczej. Karl leżał w ciemności w swojej saunie i tak jak w poprzednie noce myślał tylko o jednym: o pięknym obliczu swojej matki. Co się jej przydarzyło?

Jaki to cud stał się jej udziałem?

W jego głowie nieustannie pojawiały się obrazy minionych zdarzeń. Zadziwiających zdarzeń, do których doszło wprawdzie nie tu, w jego piwnicy, ale mimo to wymagały zbadania. Koniecznie.

Z każdą mijającą godziną Karl czuł coraz większą potrzebę wyjścia ze swojej głębi, żeby poznać inne głębie. Dotąd nic tam, na górze, nie było na tyle interesujące, by pobudzić jego ciekawość. Raczej czuł się jak więzień, który w swojej celi znalazł dom, i odcięty od świata zewnętrznego z lękiem czeka na dzień, kiedy zostanie uwolniony. Ale teraz było inaczej. I nic nie stało już na przeszkodzie. Babcia i dziadek Auböckowie wyjechali, pozostały tylko pytania, na które trzeba było znaleźć odpowiedź.

Zniecierpliwiony leżał w łóżku, podczas gdy nad nim miotał się pogrążony w żałobie Johann Heidemann, chodząc w tę i w tę po salonie jak wielki kot po wybiegu. Karl słyszał, że ojciec mówi coś do siebie, kieruje czułe słowa do Charlotte, wciąż nalewa wina do kieliszka, wzdycha, a potem, schodząc do piwnicy, bełkotliwie obiecuje:

– Poradzimy sobie, synu. Dobranoc. Śpij dobrze.

Karl słyszy, jak dwa pokoje dalej ojciec, zataczając się, podchodzi do pustego małżeńskiego łóżka, kładzie się, jego oddech staje się miarowy. I w końcu Johann zapada w zbawienny sen.

Przyszedł czas.

W przeciwieństwie do ojca, Karl nie rozpaczał. Pochłonięty swoimi planami, czuł podniecenie.

Zagubiony jak kret, któremu zachciało się wyjść na światło dzienne, stał wśród swojego dobytku, uważnie się rozglądając. Co wziąć ze sobą poza okularami do nurkowania? Ale długo się nie wahał. Nagle doszła do głosu owa przewaga,

jaką ma dziecięca beztroska nad dojrzałym rozważaniem każdej rzeczy: gotowość do działania.

Karl Heidemann podjął więc decyzję, która w przyszłości miała mu zapewnić jak największą wolność; patrząc przed siebie, wyszedł właściwie z pustymi rękami, bo wszystko, czego potrzebował, miał w sobie – ciekawość i doświadczenie.

Cicho wymknął się z sauny; zdając sobie sprawę z ostateczności swoich kroków, wspiał się po schodach, przeciął przedpokój, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Dźwięki nocy spadły na niego jak lawina. Cykanie świerszczy brzmiało jak wiertarka. Nawoływanie puszczyka jak piłowanie. Z oddali dochodziło ostre jak skrzeczenie kuny, darcie się kota zagłuszone strasznym szczekaniem psa.

Usiane gwiazdami czyste niebo.

Dalej.

Drzewa rzucały długie cienie, jakby na łąkach i polach rozłożyło się stado gigantycznych jaszczurek. Pośród ich potężnych śpiących sylwetek przechodziła kulista postać, boso.

Żwawymi jak na jego nadmierną masę krokami Karl przedzierał się przez noc. Często pokonywał tę trasę na rękach ojca i nawet jeśli od tamtej pory minęło dużo czasu, wspomnienia powracały. Szedł i szedł. Po raz pierwszy nie po dywanie, nie po kafelkach, lecz po trawie i ziemi. Szedł bez końca, wolny, a jednak uwięziony. Uwięziony w swojej cielesnej, dotychczas niewykorzystywanej wielkiej łupinie. Napięta skóra, wybrzusząca się, całkowicie wypełniona balastem, słabe mięśnie i ścięgna. Trzeba było ogromnego wysiłku tylko do tego, by stawiać jedną stopę przed drugą. Ciało, które było przeszkodą. Ale Karl, niewzruszenie zmierzając do celu, nie ugiął się przed bólem. Znosząc kamyki i drzazgi wbijające się w miękkie podeszwy stóp, pieczenie klatki piersiowej, włókł się przed siebie. I w końcu, z trudem łapiąc oddech i drżąc, dotarł na miejsce. W nim szaleństwo, przed nim spokój.

Czekać... Musiał czekać, aż spokój zapanuje również w nim. Czekać tam, gdzie przed kilkoma dniami wypatrywał matki.

Życzliwy staw, nagrzany w ciągu upalnego dnia, gościnnie zapraszał swojego późnego gościa.

W końcu Karl Heidemann zrzucił piżamę, włożył okulary do nurkowania i zamoczył stopy w chłodnym mule. Kiedy poczuł, że woda sięga mu do ramion, zatrzymał się skoncentrowany tylko na swoim oddechu, który pozwoli mu zanurzyć się w ciemnym nieznanym świecie. Ostatni raz powoli wciągnął głęboko powietrze, odchylił się do tyłu i wzruszony oderwał stopy od dna. W świetle księżyca znajdującego się w pierwszej kwadrze jego blade pełne ciało połyskiwało na powierzchni wody jak jasna sylwetka topielca.

Zanurzał się inaczej niż w domu – nie ograniczała go wanna, nie było czego się przytrzymać. Karl opadał, mimowolnie obracając się, aż w końcu jego kolana i brzuch dotknęły mulistego dna, a ręce próbowały odbić się od grząskiego podłoża, żeby wydostać się na górę. Ale uniosły się tylko biodra. Wszystko było tu inne, wszystko stało na głowie. Karl zaczął wymachiwać rękami, lecz natrafił na pustkę. I zrozumiał, że ta pustka jest tym, czym dla ptaka powietrze. Ta pustka oznaczała ruch, przemieszczanie się. Spokojnie patrzył na swoje ręce, powoli się uniósł, wyprostował, spojrział na jasne, rozmazane światło księżyca i po raz pierwszy odgarnął ramionami wodę, posuwając się do przodu.

Wynurzył się na długo przed tym, nim zaczęły się tego domagać płuca, a wszystko w jego wnętrzu i wokół niego krzyczało z radości, tak że słyszało to każde stworzenie znajdujące się w pobliżu stawu. Wtedy Karl Heidemann się roześmiał, po raz pierwszy w życiu. Głośno, swobodnie, wprawdzie, z powodu braku treningu, nieco skrzekliwie, ale tak wyraźnie i głośno, że dźwięk ten dotarł do otwartego okna Aloisa Daxbergera jako niesamowite krakanie.

Kiedy nazajutrz rano Johann Heidemann, jak zwykle, chciał popatrzeć na śpiącego syna, po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl o nieuniknionym nieszczęściu, o tym, że jest zdany na łaskę diabła. Ile ciosów musi jeszcze znieść? Łóżko Karla było puste, w saunie i całej piwnicy ani śladu po chłopcu.

Zbyt zrozpaczony, by móc wydobyć z siebie słowo, wbiegł po schodach na górę. Kiedy zobaczył otwarte drzwi i słońce, które dopiero weszło nad Jettenbrunn, opadł na kolana.

Nie zniesie kolejnej straty.

– Dzień dobry, Johannie! – Alois Daxberger siedział przy otwartym oknie sąsiedniego domu.

– Nie ma go, Alois! Karl zniknął! Ja... ja...

– Na twoim miejscu, zanim zacząłbym panikować, zajrzałbym do salonu. Od czwartej rano świeci się tam światło.

Tak! Na stoliku album otwarty na stronie ze zdjęciem Charlotte puszczającej latawiec. Obok rzucająca żółtawe światło lampka, na dywanie mokra piżama, a na kanapie Karl z woskowymi zatyczkami w uszach, przykryty kapą, zwinięty w kłębek jak śpiący szczeniak. Mokre włosy, mokra piżama powinny przerazić troskliwego ojca, ale w Johannie Heidemannie obudziły nadzieję, że Karl opuści wreszcie piwnicę.

I tak też się stało.

## 16 W GÓRĘ

– Synu, zostaniesz tu ze mną trochę?

Skinienie głowy.

– Naprawdę?! Tak się cieszę. Jak myślisz, możemy się tu przeprowadzić?

Możemy spać na górze?

Kolejne skinienie głowy.

– Ale na kanapie nie możesz spać. Taki duży chłopiec jak ty potrzebuje swojego miejsca.

Obecność syna była dla jego ojca, w każdym razie w ciągu dnia, jak wschód słońca, pozwoliła nie patrzeć z przygnębieniem w przeszłość, lecz z wiarą myśleć o przyszłości. I tak od pogrzebu Charlotte nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a w domu Heidemannów rozpoczęło się nowe życie.

Pomieszczeniu do prasowania, które kiedyś było pomyślane jako pokój dziecięcy, przywrócono jego dawną funkcję. Na jednej z niebieskich ścian Johann namalował białe kontury rycerskiego zamku i z otoczenia odpowiedniego dla niemowlaka wyczarował prawdziwy raj dla chłopca. Przywrócił również do życia dawną sypialnię małżeńską. A wszystko to robił w przekonaniu, że będą z tego jeszcze długo korzystać.

Karl tymczasem skupił się na tym, żeby nie ugiąć się pod siłą natężenia dźwięków, które dotąd docierały do niego do piwnicy w przytłumionej postaci, na zapanowaniu nad różnorodnymi wrażeniami, obserwowaniu otoczenia i poznawaniu tego, co nieznanne. Zupełnie nowymi oczami patrzył teraz na codzienne czynności. Czynności, które nie miały początku ani końca. Ręce nigdy nie odpoczywały. A więc życie polega na tworzeniu rękami, na działaniu. Ludzka ręka – królowa wszystkich narzędzi, uniwersalna, precyzyjna, kreatywna.

Wieczorami, leżąc w łóżku, widział przez szparę w drzwiach, jak ojciec zakłada słuchawki, i ze zdumieniem obserwował działanie telewizora. Hipnotyzująca siła. Szczurołap wzroku. Ruchome czarno-białe obrazy. Stare filmy. Udręka serca. Cichy szloch ojca, szum odtwarzacza wideo. Cofanie. Przewijanie. Cofanie. Zawsze do tego samego miejsca. Dwoje ludzi – Johann i Charlotte – młodzi i szczęśliwi. Koc rozłożony na bujnej trawie. Charlotte, dziewczęca, wyprostowana, ze sznurkiem w ręce i wzrokiem skupionym na papierowym ptaku wysoko w górze, przyczepionym do drugiego końca sznurka. Latawiec unosi się i szybuje.

Tym, czego Karl po tych wszystkich latach spędzonych w piwnicy zupełnie nie potrafił, było poddawanie się pośpiechowi, potrzebie dostawania wszystkiego natychmiast. Skoro znalazł się tu, na górze, dlaczego nie miałby pójść dalej, do wsi? Ale dla Karla czas był czymś, czego nie może zabraknąć. Czas po prostu był, jak budynek z fundamentami, który będzie trwać, a nie jakaś tymczasowa kwatery.

Dlatego też Karl, nie śpiesząc się, stopniowo skradał się do kolejnych pomieszczeń w domu. Zatrzymywał się. Na długo. Rejestrował pierwsze wrażenia, podchodził do okna, otwierał je. Tylko siatka przeciw owadom dzieliła go od jego nowego świata. Wyglądał na zewnątrz, patrzył w dal na lasy i łańcuch wzgórz, cierpliwie jak wartownik na blankach twierdzy. Pozwalał, by ślizgały się po nim promienie słońca, czuł ich nieznany dotąd żar na swojej bladej skórze. Cofał się od okna, dopiero gdy pokrywał się kroplami potu. Przechodził do drugiego pomieszczenia. I do następnego. I do kolejnego. Aż w końcu znalazł się w tych, których okna wychodziły na Jettenbrunn.

Wreszcie widzisz, jaki świat jest piękny, pomyślał Alois Daxberger, obserwując chłopca. Johann już dawno musiał wrócić do pracy w hucie, więc stary nauczyciel, z własnej woli, stał się w ciągu dnia u Heidemannów domownikiem. Przyjaciel...

Tylko że Karl nie patrzył na pyszniące się barwami kwiatów Jettenbrunn. Tego pięknego letniego dnia patrzył na mieszkańców wioski, a ściślej mówiąc, słuchał ich. To na nich skupiła się cała uwaga chłopca. Na nich i ich gadaniu o oraniu ziemi, zwalczaniu ślimaków winniczków i stonki, o marynowaniu mięsa na grill, o długościach spódnic, krzakach pomidorów, świniach i sąsiadach.

Bo z wyrzutami sumienia mieszkańców Jettenbrunn było tak jak z wieńcami na grobie Charlotte – więdły, traciły soki, a zamiast kwiatów pozostawały tylko suche badyle i kolce. Byli tacy, którzy cierpienie Johanna Heidemanna pozostawiali bez komentarza, ale niektórzy zastanawiali się, kto poza tym opętany przez diabła dzieciakiem mógł doprowadzić taką młodą kobietę do grobu. Kto, jeśli nie mąż?

Bo jakimż trzeba być zimnym człowiekiem, żeby latami biernie się przyglądać, jak marnieje własna żona?

Mówili o tym i o wielu innych rzeczach.

Karl stał w oknie; promienie słońca ogrzewały mu twarz, lecz go nie oślepiały, a słowa, które do niego docierały, brzmiały zbyt wyraźnie. Ale dokąd miał przed nimi uciec? Z powrotem do piwnicy?

Wtedy nie będzie powrotu. Nigdy. A więc musiał wyjść na zewnątrz.

Zaledwie kilka metrów od drzwi. Tyle tylko, żeby jego postać odcinała się od fasady domu, żeby go widzieli. A potem zrobił to, co poprzedniego dnia po pogrzebie: stał bez ruchu, z opuszczonymi ramionami i z kamienną twarzą obserwował mieszkańców wioski.

## 17 OBSERWACJA

– Spójrz tylko na dom Heidemannów! Chłopak jest na zewnątrz!  
– Teraz, kiedy jego matka nie żyje, wyszedł wreszcie z piwnicy.  
– Nigdy się nie pokazywał, a tu nagle, ledwie Charlotte spoczęła w grobie, a on myk, i już jest na dworze.

– I dlaczego tak się na nas ciągle gapi?

Karl wytrzymuje bez ruchu, nie pozwala wyprowadzić się z równowagi, aż w końcu sama jego obecność zaczyna działać: plotkarze milkną i znikają. To, co dla matki Karla było – niezamierzoną z jego strony – ciężką zniewagą, dla niego jest darem, i teraz korzysta z tego celowo. Jazgot, straszliwy hałas, lekceważące słowa – wszystko to cichnie za sprawą jego milczącej, upartej obecności, jakby uniósł laskę niczym Mojżesz przechodzący ze swoim ludem przez Morze Trzciny.

Kto zatem był silniejszy, on czy oni?

Karl Heidemann zdobył kolejne ważne doświadczenie, chociaż o mieszkańcach Jettenbrunn nie dowiedział się niczego nowego, o żadnym z nich.

Oni natomiast byli przekonani, że ten dziwny chłopiec wychodzi codziennie z domu tylko po to, żeby pooddychać świeżym powietrzem i pogapić się na to, co dzieje się dookoła. I szybko się do tego przyzwyczaili. Bo z jakiego innego powodu miałby to robić?

Mylili się. Bardzo się mylili.

Bo to, co dla nich jest nocą, dla niego jest dniem. Kiedy wszystko w Jettenbrunn pogrąża się we śnie, Karl, z okularami do nurkowania w ręce, wychodzi w mrok przez okno swojego dziecięcego pokoju. Chociaż nabrał już wprawy, to przy jego masie dotarcie przez pola i las do stawu wciąż wymaga wielkiego wysiłku. Ale ledwie zanurza się w wabiącej go atramentowoczarnej, dającej poczucie bezpieczeństwa wodzie o gładkiej jak lustro powierzchni, jego ciało nabiera niezwyklej zwinności. To samo ciało, a tak inne: ociężałe na ziemi, zręczne w wodzie. Pingwin. Karl niezmordowanie szuka miejsca, ducha, tej tajemnej sztuczki, która zaczarowała jego matkę, obdarzając ją spokojem i pięknem – śmierci.

Jego ruchy są coraz bardziej naturalne; głębia – coraz bardziej swojska. Podobnie jak ciemność, która nie może wyrządzić mu krzywdy, bo u siebie, w piwnicy, dobrze sobie z nią radził.

Ale Karl niczego nie znajduje.

Nawet wtedy, kiedy w ciemność wprowadza trochę światła, zabierając ze sobą latarkę z pozaklejanymi szczelinami, przez które mogłaby się przedostać woda. Ani śladu jakiegokolwiek przejścia, żadnej bramy. Nic. Tylko zatopiona, uwięziona w mule łódź na dnie; musi być stara, bardzo stara, pokryta algami, zrobiona z przesiąkniętego wodą, ciężkiego drewna, z przyczepioną do burty długą

liną, z wiosłami wciąż tkwiącymi w dulkach, ze zdobnymi okuciami na rufie i z dziobem zwróconym w górę. Między łodzią a dnem jest wąska szpara, a w niej nic, tylko ciemność.

I Karl, kiedy jest już zmęczony szukaniem, wciska w tę ciemność swoje obfite ciało zwrócone plecami do dna, jak murena chowająca się w szczelinie rafy, i pozostaje tam tak długo, jak może. Tylko głowę wystawia na zewnątrz ze wzrokiem skierowanym ku połyskującej powierzchni wody. Żadnego ruchu, żadnego hałasu, poza cichym szumem, pulsowaniem krwi, coraz rzadszymi uderzeniami serca; nie słysząc nawet najbliższego świstu powietrza, normalnie wdychanego i wydychanego z płuc. Najwyższy poziom ciszy, jakiej dotąd doświadczył. Aż ciało zaczyna się domagać tlenu.

Wtedy Karl wychodzi na powierzchnię. I ponownie się zanurza. Czekając. I znów w górę.

Wkrótce znał już nie tylko każdy skrawek stawu, ale i wszystkich mieszkańców Jettenbrunn. Coraz częściej bowiem zdarzały się dni, kiedy ojciec po położeniu syna do łóżka przegrywał walkę z samotnością i wciąż powracającym bólem i szedł tam, gdzie zarówno wino, jak i ludzie pozwalali mu się oderwać od przygnębiających myśli – do gospody Oberwaldnera.

W takie wieczory okno dziecięcego pokoju było otwierane wcześniej niż w inne dni i kiedy mieszkańcy wioski siedzieli w swoich izbach, rozmawiając o tym, co zdarzyło się w ciągu dnia, kochając się albo wyzywając się przy ryczących telewizorach, Karl Heidemann przemykał się obok ich domów w wystarczającej odległości, by nie być widzianym i samemu nie widzieć, ale słyszał ich, tak jakby był między nimi. Szybko się zorientował, jak bardzo to, co mówią w dzień na ulicy, różni się od tego, co opowiadają sobie wieczorem za zamkniętymi drzwiami.

Poznał bliźnich do głębi, ich udawaną uprzejmość i prawdziwą bezduszość, jawną obojętność i skrywaną miłość, świętych, którzy w domu stawali się tyranami.

Taka Adele Konrad, właścicielka wiejskiego sklepiku, na przykład. Rozmawiała ze swoim kotem tak, jakby mógł jej odpowiedzieć; mówiła mu o swoim utrzymanym w tajemnicy uczuciu, o którym pewnie chętniej usłyszałby Alois Daxberger.

Albo Hubert Oberwaldner, właściciel gospody i myśliwy, który oficjalnie podawał się za ateistę. W środowe wieczory, kiedy knajpa była zamknięta, nie przychodził do doktora Albrechta Hofstättera na partię taroka wcale nie dlatego, że – jak sądzili wszyscy we wsi – był do tej gry za głupi. Nie, Hubert Oberwaldner w środę wieczorem oddawał się malowaniu na szkle motywów biblijnych. A w tym czasie jego żona Hedwig odwiedzała warsztat mechanika Gerwalda Lamprechta.

A Veronika, żona mechanika Lamprechta, wcale nie kochała męża. Veronika



kochała zbieranie w lesie grzybów, malin, jagód. Po prostu kochała las, zwłaszcza w nocy, kiedy pojawiał się tam doktor Hofstätter... Znowu ten doktor Hofstätter. I znowu kochanie.

No i o tym, że tych dwoje regularnie brało kąpiel w stawie, podczas gdy mąż Veroniki, który lubił wypić, bawił się w najlepsze w gospodzie, Karl wiedział również.

Znał godzinę, na którą się umawiali, miejsce i przebieg ich spotkania. Bo niemymi świadkami ich schadzek były nie tylko leśne bożki, nimfy i księżyc, lecz także siedzący bez ruchu w zaroślach Karl Heidemann, na razie jeszcze niewinne dziecko, tylko z ciekawością przyglądające się tej dziwnej bliskości, która była także udziałem jego matki. Dwa zjednoczone ciała, nagie, złączone – aż do bólu, tak mu się przynajmniej wydawało – walczące o powietrze, kurczące się, miotające, wyprężające się. A potem ostatni urywany oddech... I wyzwolenie. Gra przeciwieństw, krótka i intensywna. Wznoszenie się i opadanie. Napięcie i spokój. Dzikość i delikatność. Wszystko w krótkiej chwili, w jednym cieple.

Kłamstwo i prawda, miłość i pogarda, przyjęcie w posiadanie i odrzucenie, szczerłość i zdrada.

Im dłużej przyglądał się ludziom, tym bardziej wydawali mu się dziwni i nieobliczalni; byli jak owoce z pestką – z zewnątrz miękkie, w środku twarde. Albo odwrotnie, jak świeży chleb Adele Konrad.

Ale nawet jeśli Karl Heidemann dowiedział się tego wszystkiego, to nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie.

Śmierć...

Gdzie jest śmierć?!

Jak wygląda?

Kto daje ten dar?

Któregoś dnia Karl uzyska odpowiedź. Inaczej, niż przypuszczał.

Dowie się dzięki ojcu.

## 18 LUDZKA RĘKA

Niespodziewanie przyszła potężna burza; wszystko się chwiało – drzewa, drewniane słupy energetyczne, szopa, w której mieścił się warsztat mechanika Lamprechta. Bramy garażów ze zgrzytem wyskakiwały z prowadnic, okiennice waliły w fasady domów, wichura wyrywała z ram także stare drewniane okna.

Johann Heidemann, który był w tym czasie w pracy, stojąc przy huczącym wielkim piecu hutniczym, nie miał o tym wszystkim pojęcia. O świcie, tak jak robił to często, zostawił Karła u Aloisa Daxbergera. Johann i Alois zgadzali się co do tego, że chłopiec musi poznawać świat, przyzwyczajając się do przestrzeni i nabierać odwagi. I tak w domu emerytowanego nauczyciela Karl stawał się odważny, czytał, słuchał i przyglądał się. Jego ulubioną lekturą był leksykon, wszystkie tomy, od A do Z. Uśmiechał się, czytając dziwaczne słowa.

*Kakadu: ptak z podrodziny o tej samej nazwie, z rzędu papug.*

*Kakao: nasiona owoców kakaowca.*

*Kakemono: w sztuce japońskiej rolka jedwabiu lub papieru.*

Wczesnym wieczorem Johann wrócił do domu zmęczony i spięty po całym dniu wypełnionym szalejącym wiatrem. A tu takie przyjęcie!

– Niech to szlag! – zaklął, ledwie wszedł do domu.

Szyba w pozostawionym rano otwartym oknie potłuczona, siatka przeciw owadom wyrwana, a ściany, sufit, blat stołu i kapa na łóżku usiane czarnymi plamkami. I to okropne bzyczenie.

Przerażające, irytujące. Karla, który i bez tego był podenerwowany, ogarnął dziwny stan, w którym wahał się między ucieczką a atakiem, jak wtedy nad grobem matki, kiedy stał przed nim doktor Hofstätter. Ciało chłopca napięło się do granic możliwości, czuł nieodpartą potrzebę ściśnięcia dłoni w pięść i uderzenia w coś.

Myśli o niszczeniu były zupełnie obce chłopcu, który zawsze był tak spokojny.

I w końcu nastąpiło uderzenie. Nie Karla. Ojciec walnął otwartą dłonią w stół.

– Nie lubię tego robić, ale dzisiaj inaczej się nie da – wyjaśnił Johann.

Karl patrzył jak urzeczony. W swoich piwnicznych czasach znajdował oczywiście martwe, często zasuszone stworzenia – stonogi, kosarze i inne pająki –

ale kiedy je obserwował, nie dostrzegał w ich obliczach niczego wzruszającego. Także kiedy jeszcze żyły, nie widział w nich życia. Były jak towarzysze jego nakręcanych zabawek. Mechaniczne zabawki, które przestawały się poruszać, gdy się popsuły.

I nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zrobić coś takiego, co teraz zrobił ojciec.

Karl ostrożnie wziął między dwa palce wciąż jeszcze poruszającego się owada, którego nóżki przez chwilę drżały jak pęknięte druciki w żarówce, a potem zamarły.

– Bez siatki w oknach będziemy biedni. Zobacz tylko, wszędzie czarno. Mamy co robić.

Nagle dziecięca ręka się porusza, jakby rzucała papierowy samolocik, ale ląduje na podłodze, wywołując śmiech ojca.

– Ta już nie żyje. Zobacz, nie lata. A teraz popatrz. – Johann znów uderza. – Ta też już nie. Druga.

Śmierć?

Karl czuje tylko zdziwienie, ale ojciec jest ożywiony, niemal radosny.

– Pac! Trzecia! Wspaniale!

Johann Heidemann bierze dwa talerzyki i jeden daje synowi.

– Kładź je tutaj. Potem wyrzucimy do śmieci. No, Karl, teraz twoja kolej. Musimy się postarać, żeby zapanował spokój.

Postarać się, żeby zapanował spokój? Zadać śmierć? Raz na zawsze?

– No, dalej, synu. Bo inaczej nie zmrzemy w nocy oka. Uwaga! Tę tutaj!

Karl uderza w blat stołu, z wahaniem.

– Musisz walić pewniej, synu. Szybciej, znacznie szybciej. Popatrz! Czwarta! – W głosie Johanna słychać zadowolenie. – Albo tak: zbliżasz od tyłu rękę, powoli, bardzo, bardzo powoli, a potem cap! I już ją masz.

Ścisną palce, po chwili rozprostowuje dłoń i na talerzyk spada mucha. Piąta.

Teraz działają już obaj. Szósta, siódma, ósma...

W oczach Johanna Heidemanna widać szczęście. Zabawa w polowanie jednoczy ojca i syna. Oczy chłopca są skoncentrowane. I poważne. Przygląda się. Obserwuje. Porównuje to, co żywe, z tym, co martwe.

Wkrótce pokój jest pusty, a talerzyki pełne czarnych zwłok.

– Ja mam dwieście czterdzieści trzy. A ty?

Karl nie odpowiada.

– No, dosyć już, synu, dosyć – mówi Johann, ściskając jego ramię.

Robi się spokojnie. Zapada przyjemna cisza, żadnego bzyczenia. Tylko dziesiątki pytań w głowie Karla.

– Miło, kiedy jest tak spokojnie, prawda? Sprawiało ci to przyjemność? Ale teraz idziemy umyć ręce, coś sobie ugotujemy, potem trochę poczytamy i do łóżka.

Strasznie jestem dzisiaj zmęczony.

Karl nawet nie myślał o śnie.

To prawda, że ten spokój był przyjemny. Spokój, o który sam się postarał. Cisza, którą sam sobie zapewnił.

Własną ręką.

– A jeśli jutro znowu będzie wiał taki wiatr, to wiesz, co zrobimy? Wiesz, synu?

Ludzka ręka. Królowa wszystkich narzędzi. Uniwersalna, precyzyjna, kreatywna.

– Pójdziemy puszczać latawiec. – Na twarzy Johanna maluje się radość, ożywienie, szczęście.

Puszczać latawiec... Teraz również twarz Karla się ożywiła. Obraz wznoszącego się latawca przywołał wspomnienie czarno-białego filmu, który ojciec na okrągło oglądał – z uśmiechającą się do kamery, stojącą na łące Charlotte ze sznurkiem w ręce i wzrokiem skierowanym do nieba, na ptaka z papieru, którego trzymała na uwięzi. Karl Heidemann widział w tym obrazie nie tylko wznoszenie się, lecz kierunek, który mu wskazywała matka, znak. Jakby mu chciała powiedzieć: „Przyślij ją do mnie. Pomóż jej. Obdarz ją pokojem. Obdarz pokojem nas obie, ją i mnie”.

Szczęście... To, co poczuł, było szczęściem. Bo za tym, co się wznosi, trzeba podążać.

Trzeba sprawiać dobro, służyć, spełniać pragnienia.

Pragnienie wyrażone nad grobem matki: „Tak bym chciała jeszcze raz się z nią spotkać... porozmawiać. Chciałabym... chciałabym jej tyle wyjaśnić...”.

Veronika.

„...jeszcze raz się z nią spotkać...”

Ludzka ręka.

## 19 WCIELENIENIE W ŻYCIE

Uczyć się. Najpierw musi się uczyć. Karlowi się nie śpieszy.

Niesie okulary do nurkowania, małą latarkę, cienką plastikową rurkę izolacyjną, jakich ojciec ma dziesiątki w swoim warsztacie do napraw instalacji elektrycznej, i wreszcie linkę do wieszania prania, na jednym końcu zakończoną pętlą. Wyznaczony cel: łódź na dnie stawu.

Karl zakłada pętlę na nogę, a drugi koniec linki przeciąga przez okrągły uchwyt na wiosło i trzymając luźny koniec, odbija się od dna. Mocna plastikowa linka przesuwa się wulce jak nitka w uchu igły. Im bliżej powierzchni, tym bardziej Karl popuszcza linkę. Z nogą w pętli panuje nad swoim ciałem.

Nie musi się wysilać, wystarczy, że trzyma linkę. I szybuje jak latawiec, tyle że pod wodą. Jest jednocześnie latawcem i chłopcem, który puszcza latawiec, wystarczająco blisko powierzchni, by włożyć do ust rurkę i oddychać bez wynurzania się.

Prawie całkowity bezruch. Tylko lekkie kołysanie, w tę i we w tę. Dokoła czerń wody, w górze połyskujące gwiazdy i księżyc. Przed nim – poznanie. Już niedługo.

I wkrótce był gotowy.

Wyruszył szybciej niż zwykle. Tego dnia chciał być na miejscu pierwszy. Poza tym wszystko jak zawsze: okulary do nurkowania, rurka, linka.

Nasłuchując z zamkniętymi oczami, szybuje w głębi. Jak żerująca drapieżna ryba. Spokojnie oddychając, skupia się na przytłumionych, niewyraźnych dźwiękach dochodzących z brzegu stawu. Nie zdaje sobie sprawy z upływającego czasu, nie ma żadnych wątpliwości. Wreszcie słyszy. Mężczyznę i kobietę. Chichotanie, najpierw głośne, potem coraz cichsze. Głosy namiętne, po chwili wyczerpane i w końcu ożywione:

- Ja wskakuję do wody! Idziesz ze mną?
- Za chwilę. Idź sama. Muszę się wysikać.
- Nie możesz się wysikać w wodzie?

Śmieją się i każde idzie w inną stronę. Słyszą kroki na żwirku, wchodzenie do wody, coraz głębiej, odbicie się od dna i pierwsze ruchy ramion i nóg, bijące serce, rytmiczny, szybki oddech.

- Jest tak cudownie! Pośpiesz się, Albrecht!

Karl otwiera oczy. Rozgląda się. Po raz ostatni nabiera przez rurkę powietrza i wtyka ją z tyłu w kąpielówkę. Widzi nad sobą wolno przesuujące się ciało. Uwalnia nogę z pętli, a potem bez żadnego wysiłku wciela swój plan w życie.

Nogi Veroniki poruszają się na tyle wolno i w tak stałym rytmie, że udaje się za pierwszym razem. Karl bez problemu zakłada pętlę na jej kostkę i lekko zaciska linkę. Veronika najpierw jest tylko lekko zirytowana, potem wystraszona.

– Algi! – krzyczy. – Albrecht, czy w tym stawie są algi albo trawa?

– Na pewno nie ma syren! – odpowiada jej rozbawiony głos.

Karl tymczasem schodzi na dno i opierając się nogami o łódź, napręża linkę i ciągnie, gwałtownie, najmocniej, jak potrafi. Nie słyhać już żadnego krzyku. Veronika Lamprecht znika, nie wydając żadnego dźwięku; nie ma czasu, by zawołać o pomoc.

Pod wodą jednak ogarnia ją czyste przerażenie. Gulgocze, chcąc krzyczeć. Wierzga nogami, próbuje sięgnąć do kostki, macha rękami, nie mając pojęcia, co się dzieje.

– Nika! – dochodzi z oddali. – Gdzie jesteś, Nika?! Bawisz się w chowanego? Nika! Daj spokój!

Ale Veronika Lamprecht tego nie słyszy. Nie może się uwolnić. A Karl, spokojnie i z ciekawością przygląda się jej beznadziejnej walce i unoszącym się nad kobietą coraz mniejszym pęcherzykom powietrza.

I nastąpiło światło.

I nastał czas. Bo zapasy powietrza w płucach Veroniki Lamprecht się kończą, a Karl nie chce przegapić nic z tego, co się ma wydarzyć. Kieruje w górę błądy snop światła latarki, wysuwa koniec plastikowej rurki nad powierzchnię i nabiera powietrza, ile tylko się da. Widzi przez krótką chwilę błysk nadziei w oczach Veroniki, jej wyciągnięte ręce błagające o uwolnienie. I chociaż ciężko mu patrzeć na tę rozgrywającą się przed nim walkę, nie może zrobić nic, jeśli ma darować miłość i wybawienie. Już wkrótce Veronika Lamprecht będzie z jego matką. Już bardzo niedługo.

– Nika, co się dzieje! Widzisz to światło? Czy to ty? Nika! – woła coraz głośniejszym głosem doktor Hofstätter.

Veronika wydaje swój ostatni zduszony krzyk, niemal wściekły; z twarzą wykrzywioną w rozpacz. Coraz bliższa nieuchronnego zachłyśnięcia się wodą. W szeroko otwartych oczach maluje się jeszcze woła walki, ale po chwili zastępuje ją bezradność, poczucie beznadziei i wreszcie rezygnacja. Jej ruchy są już spokojne, ciało traci blask, powoli rozkłada szczupłe ramiona, niemal z gracją tancerki. Tancerki, która wykonuje swój ostatni taniec. Otwiera usta, ale jej serce krzyczy. Wszystko w niej krzyczy, sprawiając Karlowi potworny ból, aż w ostatnim momencie życia bezbronnej Veroniki Lamprecht wyciąga do niej rękę. Przez jej ciało przebiegają drgawki, twarz tężeje, spojrzenie traci wolę życia, z rysów twarzy znika napięcie. Linka się rozluźnia i zapada cisza. Śmiertelna cisza.

Karl nie potrafiłby opisać tego, co czuje. Jakby coś trzymało go przez chwilę w ramionach, a potem zniknęło, pozostawiając szczęśliwość i wdzięczność.

Więc to jest to, co nazywają śmiercią.

Przejście, które nie trwa nawet minuty, które przez chwilę sprawia wrażenie, jakby było bolesne, niemal jak to, co Veronika i doktor Hofstätter robili na brzegu

stawu: rozpaczliwe łapanie powietrza, wicie się, wyprężanie, ostatni głęboki oddech... Śmierć to akt miłosny.

Przemiana, która kończy się ogarniającym wszystko spokojem, takim, jaki widział na obliczu matki. I głęboko poruszony Karl coś sobie uświadomił: matka zgodziła się na ten ból dobrowolnie, oddała się w ramiona śmierci nie tylko po to, by znaleźć wybawienie, ale także dlatego, że chciała dać swojemu dziecku dar – miłość.

Veronika Lamprecht wolno opada na dno, a Karl podąża za nią, kierując snop światła latarki na jej twarz, uważnie się rozglądając.

Czy coś wydostało się z jej ciała? A jeśli tak, to co się z tym stało, dokąd poszło?

Nie widział, żeby coś się nad nią unosiło. Nie widział też żadnej bramy.

Bo może nic z niej nie uszło. A może coś w nią weszło? Może to, co nazywają śmiercią, nie jest pożegnaniem, tylko powitaniem, przyjęciem czegoś?

Rozluźnił linkę i ostrożnie zdjął pętlę z kostki Veroniki, i zniknął.

Doktor Albrecht Hofstätter stał na brzegu i patrzył na światło pod powierzchnią wody; na początku jasne, pojawiło się znikąd jak błyskawica i stopniowo słabło, opadając w dół, aż w końcu całkiem zniknęło. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym zatonąła Charlotte Heidemann.

– Nika, przestań. To już nie jest zabawne – powiedział, z trudem wydobywając głos, i szeptem dodał: – Charlotte... Czy to ty? Czy to ty, Charlotte?

Oślupiał stał na żwirku, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Nie był w stanie zrobić kroku – ani w stronę stawu, ani w stronę Jettenbrunn. No bo jak? Miał pobiec do wsi i powiedzieć: „Veronika zniknęła”? Albo jeszcze lepiej: „Veronika się utopiła”. Albo: „Veronika i ja poszliśmy popływać w stawie, w środku nocy, nadzy, i... i...”.

Więc doktor nigdzie nie pobiegł, tylko stał, patrzył i czekał. Bardzo długo. Chociaż w oderwaniu od czasu. W końcu zniknął, też w oderwaniu od czasu.

## **Część 2MIŁOŚĆ**

*Grą nazywamy podejmowanie optymalnych decyzji w sytuacji, gdy sukces jednego uczestnika zależy nie tylko od jego działania, ale i od działania innych uczestników.*

(Teoria gier, matematyka)



## 20 MIEJSCE ZDARZENIA

Horst Schubert, jak zawsze w wolnym czasie, stał z pędzlem w ręce przy skośnej ścianie, patrząc na swoje królestwo. Zapachu kleju i farb – dziwnej chemicznej mieszanki z lekką nutą spalenizny – w ogóle już nie czuł, tak jak hodowca karpia nie czuje zapachu ryb. Bo Horst Schubert był tutaj w swoim żywiole. Lekko pochylony, skoncentrowany na najmniejszym okruszku, każdym pyłku, przesuwał ostrożnie miękkim włosiem pędzla po szynach, które zaczął budować w czasach, gdy miał jeszcze delikatne chłopięce dłonie z palcami bez odcisków. Prawie całe pomieszczenie zajmowały połączone za pomocą śrub płyty – kiedyś blaty starych drewnianych stołów – a na nich górski krajobraz poprzecinany szynami, po których jeździła kolejka. Każde drzewko, każdy tunel i most, wszystkie te miniaturki Horst Schubert zrobił własnoręcznie. To tu, na poddaszu, od dziecka budował i oddawał się swoim fantazjom. Tu był twórcą, podczas gdy na dwóch niższych kondygnacjach rodzice przerzucali się słowami, które mogły wszystko zniszczyć. Wszystko poza dziecięcą nadzieją, że pewnego dnia na polu bitwy tam, na dole, utworzy się z gruzów tak wysoki mur, że żadna z walczących stron nie będzie mogła go przekroczyć ani nawet zobaczyć, co za nim jest. A wtedy pozostanie tylko kapitulacja. Wycofanie się, każde w innym kierunku, jak najdalej od siebie. I wreszcie spokój. Ale nie. Ledwie trzymali się na nogach, jednak zamiast pójść każde w swoją stronę, matka i ojciec przypuszczali atak na siebie nawzajem. Dopiero śmierć ich rozdzieliła. Zrobiła to, o czym życie zadecydowało już dawno temu, a co sami powinni zrobić o wiele wcześniej.

Małżeńska wierność, dopóki śmierć nas nie rozłączy, nie była więc modelem, którym Horst Schubert mógł się kierować w życiu. Jeśli miał jakiś model, to była nim raczej cicho szumiąca, pachnąca rozgrzany plastikiem, sunąca po szynach na poddaszu kolejka.

Jeśli był z kimś ożeniony, to tylko ze swoją pracą.

– Gdzie – rzucił do słuchawki po tym, jak dzwonek telefonu ściągnął go na dół do pokoju.

Zły i uradowany jednocześnie, stał, patrząc przez okno na ruchliwy plac w centrum miasta. Zły, bo mu przeszkodzono w jego wolnym czasie, uradowany powodem, dla którego to zrobiono.

– I nie mamy tam nikogo, kto mógłby się temu przyjrzeć? – spytał? – Jasne. Ale potrzebuję trochę czasu.

Niesłychane, że tego dnia, w lecie 1992 roku, po takim telefonie Horst Schubert nie wyruszył w drogę od razu.

Bo co on miał w życiu innego? Co?

Veronika Lamprecht zniknęła; zostawiła męża rogowca i mieszkańców wioski snujących różne domysły. I chociaż nikt nie wiedział, co kryło się za jej

zaginięciem, to w żonach z Jettenbrunn zaczęły się budzić nieznane im dotąd tęsknoty. Podczas gdy – tak dla pewności – ich mężowie przeczesywali okolicę, one przy praniu i deskach do prasowania podśpiewywały radosne lub melancholijne przeboje o dalekich podróżach, morskich rejsach i nowych początkach. Tylko że akurat w przypadku Veroniki Lamprecht nic nie wskazywało, aby spotkało ją coś takiego, ponieważ niczego ze sobą nie wzięła – ani ubrań, ani pieniędzy – i nawet nie zostawiła pożegnalnego listu.

No, tak... zniknął wprawdzie także doktor Hofstätter. Dwa dni po tym, jak zaginęła Veronika, wybrał się na urlop z nadzieją, że cała ta spędzająca mu sen z powiek sytuacja się uspokoi. Nic z tego. Prawda jest żarłoczna, nie jest w stanie nasycić się tajemnicą, aż wreszcie, jak spasiony robak przegryza sobie drogę na światło dzienne, spada z plaśnięciem na ziemię i leży sobie na oczach wszystkich.

W tym wypadku były to oczy Johanna Heidemanna. Któregoś popołudnia poszedł nad staw, żeby powspominać swoją Charlotte. Stojąc na brzegu, jego zamglone spojrzenie wychwyciło jakiś błysk. Złoty błysk czegoś, co przez chwilę trzymał kiedyś w ręce, nad otwartym grobem żony.

Johanna ogarnęło dziwne uczucie; nie potrafił go nazwać, ale go zaniepokoiło.

I w obecności mechanika Lamprechta wyraził je w następujący sposób:

– Powiedz, Gerwald, jeśli zastanawiasz się nad zniknięciem Veroniki, nie przychodzi ci czasem na myśl staw?

Żaden z mieszkańców Jettenbrunn nie pamiętał, żeby kiedykolwiek naprawdę widział to, co normalnie oglądał tylko wieczorami w telewizji w kolorze. Bo teraz rzeczywistość wydawała się czarno-biała, jakby zostały z niej splukane wszystkie barwy – błękit nieba, szmaragdowa zieleń stawu, zieleń drzew; wszystko jawiło się szare, nawet białe-czerwone taśmy odgradzające miejsce zdarzenia.

Wreszcie się wyjaśniło, dlaczego Gerwald Lamprecht od czasu, gdy przemoczony do suchej nitki wrócił z lasu, unikał ludzi. Wszystkich mieszkańców wioski zaskoczyło to nietypowe dla niego zachowanie. Ale i inni nagle też zaczęli się zachowywać tak, jakby nie znali i nie chcieli znać sąsiadów – zdezorientowani, zdumieni i niepewni swoich współobywateli. Tym razem bowiem nikt nie utopił się w stawie z własnej woli.

Krwawy ślad po pętli na nodze Veroniki, jej nagie ciało, ubranie pozostawione w krzakach, bezpański męski zegarek znaleziony przez Johanna Heidemanna w żwirku na brzegu – wszystko to nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Poważne wątpliwości budziło natomiast coś innego:

Może to nie była pierwsza ofiara.

Morderstwo. A skoro morderstwo, to jest i sprawca. Gdzieś.

Może daleko stąd, ale możliwe też, że blisko, bardzo blisko, bliżej, niż życzyliby sobie tego mieszkańcy Jettenbrunn – takie myśli chodziły po głowie

niejakemu Horstowi Schubertowi.

A taki człowiek jak on nigdy dotąd nie zawitał w tej okolicy. Wysoki, smukły jak topola, dobrze ubrany, ale nic w nim nie mogło odwrócić uwagi od jego niezwykle lśniącej głowy. Lśniła tak, jakby wysiadł z niezidentyfikowanego obiektu latającego. Miał nie tylko zupełnie łysą czaszkę, brakowało mu też brwi i rzęs oraz zarostu na twarzy, nawet meszku. Jednym słowem, na Horście Schubercie nie rósł choćby jeden włos. Spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu bez oprawy było tak zimne i nagie – a przez to wszystko obnażające – że wkrótce mieszkańcy wioski nie wiedzieli już, co ich bardziej przeraża: czyn bezlitosnego przestępcy czy ta nie mniej bezlitosna istota, która pojawiła się w Jettenbrunn w następstwie tego czynu.

Tak-tok-tak-tok. Stąpnięcie lewej nogi, kontuzjowanej, dłuższe i delikatne, prawej krótkie i mocne. Wyprostowany kroczył niczym generał dokonujący przeglądu swojego wojska, a jego postawa wyraźnie wskazywała, że nie ma zamiaru z którąkolwiek z zebranych osób nawiązać inny kontakt niż zawodowy. Ale w końcu to zrobił – gdy urlop doktora Hofstättera dobiegł końca i znaleziony nad stawem zegarek przestał być bezpieczny.

Aresztowany lekarz uczciwie wyznawał – tak, to jest mój zegarek, i owszem, nad brzegiem stawu Veronika Lamprecht zdradziła z nim męża, a z Charlotte Heidemann, która utonęła, także łączyło go coś, czego Kościół by nie pochwalał. Nie wykluczał nawet, że to z jego powodu Charlotte popełniła samobójstwo, bo właśnie w dniu jej urodzin w związku z nowym romansem z nią zerwał. Do każdej z tych rzeczy się przyznawał, profesjonalnie tłumacząc się swoim rozwiniętym popędem płciowym. Uparcie jednak zaprzeczał, że popełnił zbrodnię, powołując się przy tym na złożoną przysięgę Hipokratesa, na swój obowiązek uzdrawiania, a nie niszczenia ludzkiego ciała. Nigdy nie byłby zdolny do takiego czynu. Czynu, którego, nawiasem mówiąc, był świadkiem.

Kiedy już zaczął opowiadać, nie mógł przestać.

Nie żeby mieszkańcy Jettenbrunn zupełnie nie wierzyli w historie o duchach i demonach, co to, to nie. Ale podobne bzdury padające z ust tak wykształconego człowieka jak doktor Hofstätter, cieszącego się dobrą opinią lekarza, który dotąd odrzucał wszystko co nadprzyrodzone, mogły mieć tylko dwa wyjaśnienia.

Pierwsze: mówił prawdę, co wydawało się równie prawdopodobne jak to, że wielkie płatki śniegu spadną na usiane letnim kwieciami łąki.

Drugie: czując, że pali mu się grunt pod nogami, zapierał się i kłamał jak najęty, wymyślając niestworzone historie, jak te biblijne. Mówił zresztą, że na początku było światło, jasne, świecące z głębi.

Charlotte Heidemann, która na oczach swojego dziecka weszła do stawu, w miejscu, gdzie się utopiła, zmartwychwstała – tak niezmordowanie powtarzał doktor Hofstätter – niczym mitologiczna bogini mórza, Sedna, ogarnięta słusznym

gniewem wzniosła się z jaśniejącymi oczami do powierzchni i pociągnęła za sobą na dno Veronikę Lamprecht.

Przepełniony goryczą mąż rogacz odpowiedział mu szyderstwami i uniesionymi pięściami. Ale za bastionem szyderstwa na ziemię użyźnioną bezsennymi nocami spadło ziarenko niepewności i zakiełkowało przelotną myślą:

A jeśli to prawda? Jeśli Charlotte w swojej wendecie pójdzie o krok dalej i wyjdzie ze stawu? Kto z nich był bez winy?

Nikt. Każdy był podejrzany.

## 21 PRZESŁUCHANIE

– Dzień dobry!

Karl słyszał ten głos na długo przed tym, nim Horst Schubert ich odwiedził. Rozpoznawał wyraźne tak-tok-tak-tok: dłuższe i delikatniejsze stąpięcie lewej nogi, krótkie i mocne prawej.

– Przypuszczam, że pan wie, dlaczego przyszedłem.

Spokojny, bez cienia irytacji, dlatego taki trudny do ocenienia i przez to niebezpieczny, myślał Karl, słysząc przez okno ten głos, kiedy mieszkańcom Jettenbrunn zadawano dociekliwe, oburzające pytania. Tak jak teraz. Tyle że teraz były zadawane z większym naciskiem, agresywniej.

W przedpokoju.

– Mogę wejść?

Potem w pokoju dziennym.

– No, ktoś tu wczoraj chyba trochę przesadził...

– Nie rozumiem.

– Naprawdę? Te butelki na stole to wystrój wnętrza? To nie wyjdzie panu na dobre, panie Heidemann. Topienie smutku w butelce naprawdę nie jest dobre dla zdrowia.

– Nie przyszedł pan tu przecież z troski o moje zdrowie.

– Ma pan rację. Więc nie owijajmy w bawełnę. Doktor Hofstätter miał od dłuższego czasu romans z pańską żoną. Równocześnie utrzymywał bliskie stosunki z Veroniką Lamprecht, co prawdopodobnie stało się przyczyną samobójstwa pana żony. Panie Heidemann, gdybym był na pana miejscu, gość trafiłby do szpitala albo gryzłby ziemię.

– Ale nie jest pan na moim miejscu.

– No tak, należy pan do tych miłych ludzi. Tych spokojnych. Cicha woda... Zlikwidowanie kochanki doktora Hofstättera i zrzućenie na niego podejrzeń mogłoby być, oczywiście, sposobem na zemstę.

– Przecież już to omówiliśmy. Tego wieczoru, kiedy zniknęła Veronika, byłem w gospodzie.

– Owszem. Tylko że wyszedł pan stamtąd wcześniej niż zwykle. Dokąd pan poszedł? Może popływać?

– Wydaje mi się, że coś się panu przyśniło. Może pan kiepsko sypia?

– Tak, ma pan rację, kiepsko sypiam, zwłaszcza kiedy mam do czynienia z dwiema martwymi kobietami w podobnym wieku. W dniu śmierci żony... Czy przez cały czas był pan w hucie?

– O co panu chodzi?

– Pytam, czy przez cały dzień nie opuszczał pan wtedy huty. Tak czy nie?

– Tak.

– Więc dlaczego pana koledzy mówią mi coś innego? Między dwunastą a czternastą nie było pana, tak jak zwykle, w stołówce pracowniczej. Przedłużył pan do dwóch godzin przysługującą pracownikom przerwę, nie sądzi pan? Gdzie pan był w tym czasie?

– W Siegenshart, żeby kupić żonie prezent.

– W dzień jej urodzin? Trochę późno. Jazda z Jettenbrunn do Siegenshart zajmuje czterdzieści minut. Tam i z powrotem godzinę i dwadzieścia minut.

– Do czego pan zmierza?

– Dwie godziny minus godzina i dwadzieścia minut daje czterdzieści minut.

– No nie! To jakiś obłąd.

– Tak, panie Heidemann, obłąd. Szukamy mordercy. Mordercy, który w czterdzieści minut mógł zabić żonę w dniu jej urodzin, który w czterdzieści minut mógł zrobić Bóg wie co. I powiem panu coś jeszcze: czterdzieści minut wystarczy, by ekshumować zwłoki pana żony i sprawdzić, czy na kostce jej nogi nie ma śladów po pętli, która pozwoliła pociągnąć ją na dno.

– I właśnie to chce pan zrobić.

– Jutro.

Karl, zgarbiony, wchodzi do pokoju. Chce słyszeć. Musi to słyszeć.

Morderca? Czy to on jest mordercą? Obce słowo. Policzki ma zapadnięte, pod oczami sińce, na bladej twarzy widać zmęczenie.

– To pański syn?

Johann Heidemann kiwa głową.

Horst Schubert podnosi się powoli, jakby chciał swoją przewagę okazywać stopniowo.

– Witaj, Karl. Cieszę się, że cię widzę.

Co za kontrast!

Tu smukłe, wyprostowane czujne ciało.

Tam niskie, masywne, zgarbione i zmęczone.

Karl ma za sobą bezsenne noce spędzone w swoim pokoju, podczas których wciąż miał przed oczami twarz walczącej o życie Veroniki Lamprecht, jej piękno nieliczące ze strachem.

Strachem przed utratą tego, co znane – należącym do życia.

Strachem przed tym, co nieznanie – towarzyszącym śmierci.

Jakby trzeba było zobaczyć całe życie, z całym jego bólem, na filmie nagrywanym przez kamerę o przyspieszonych obrotach, żeby pojąć, co ono oznacza, ono – to życie, i z wdzięcznością przyjąć dar śmierci.

Tylko właściwie po co? Co za marnotrawstwo! Jakby bez tego życie nie było wystarczająco ciężkie.

Jakże prosta jest śmierć muchy. Beztroska egzystencja aż do ostatniej sekundy, a wybawienie niespodziewane i szybkie. Zaledwie chwila, która wszystko

zmienia. Pac, ściśnięcie palców, i po wszystkim.

Czy śmierć przychodzi równie szybko, lekko i przyjemnie?

– Usiądź z nami.

Chłopiec patrzy prosto przed siebie, jakby w pomieszczeniu poza nim był tylko ojciec.

– Ja nie gryzę. – Na twarzy śledczego pojawia się wymuszony uśmiech.

Karl nie reaguje jednak, przechodzi obok gościa, maszeruje prosto do kuchni, wlewa do szklanki wodę i wypija jednym haustem. Potem wypija kolejne. W głowie czuje pulsujący ból, jak walenie młotem.

– Widzę, że chłopiec jest spragniony.

Woda przelewa się w ustach jak fale uderzające w burtę łodzi, jakby pękła tama. Karl słyszy, jak przepływa przez suchą krtani, słyszy też równie suche słowa dobiegające z pokoju.

– Jest potężny jak na swój wiek.

– Potężny? To jeszcze dziecko.

– Przecież pan wie, o czym mówię.

– Nie, nie wiem.

– Trudno tego nie zauważyć.

– Oszem, Karl jest silnym chłopcem. Musiał w swoim życiu dużo znosić.

– W trudnych sytuacjach siła się przydaje.

– I dopóki żyję, będę się starał, żeby już więcej nie przytrafiło mu się nic złego. Rozumie pan?

Jeszcze nigdy Karl nie słyszał, żeby z ust ojca padło naraz tyle słów, a już na pewno nie tak groźnie brzmiących.

– Chyba nie będzie pan mógł robić tego zawsze, panie Heidemann.

Czas wyjść z kuchni.

Ze szklanką w ręce Karl dowlókł się do kanapy, zajął miejsce obok ojca i patrzył na wypielęgnowane dłonie leżące spokojnie na udach siedzącego naprzeciwko mężczyzny; paznokcie były starannie przycięte, wszystkie tej samej długości. Żaden nie był złamany ani brudny, w przeciwieństwie do paznokci Karla.

– Dobrze spałeś?

Chłopiec napił się wody.

– Na pewno wiesz, że ostatnio dzieją się tutaj bardzo dziwne rzeczy... może nawet od dłuższego czasu. Potrzebuję twojej pomocy, Karl. Moglibyśmy pobawić się w detektywów, ty i ja. Ale musielibyśmy cofnąć się trochę w czasie. Zaczniemy od tego, że twoja mama poszła z tobą wykąpać się w stawie. Opowiedz mi, jak to było.

– On nie mówi – wtrącił ojciec.

– Wspominano mi już o tym we wsi. Ale przecież rozumiesz, co się do ciebie mówi. Prawda?

Karl postawił szklanę na stole. Wszystko w nim było obolałe – głowa, całe ciało, nawet umysł.

Ręka siedzącego naprzeciwko niego mężczyzny lekko się poruszyła. Wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę i zapalił papierosa, po czym sam sobie odpowiedział na pytanie:

– Rozumiesz mnie, jestem tego pewny. A zatem, chłopcze, nie musisz mówić, wystarczy, że skiniesz albo pokręcisz głową. Czy tamtego dnia byłeś z mamą sam, czy był z wami ktoś jeszcze?

Opresja. Dla Karla nic nowego; tak czuł się zawsze, kiedy ktoś chciał go zmusić do mówienia.

– Lubisz się bawić na dworze, prawda? Robić babki z piasku, sadzić roślinki... Mam rację, prawda? – Horst Schubert patrzył na ubrudzone dziecięce palce.

Palce dłoni, które potrafiły tyle zdziałać, ale teraz w obliczu potoku oskarżeń i ataków skierowanych przeciwko Johannowi Heidemannowi mogły zareagować tylko w jeden sposób: pozostać bezczynne, być jak skała, która wszystko odeprze.

– Przecież panu mówiłem, że on nie mówi. – Karl słyszał w głosie ojca narastający sprzeciw. – Więc skończmy z tym.

– Od kiedy milczy? Od śmierci matki?

– Właściwie od urodzenia.

– Właściwie... To znaczy, że kiedyś wydawał jakieś dźwięki. Więc dlaczego przestał?

– Może dlatego, że tak mu się podobało.

– Tak mu się podobało! A dlaczego tak długo zamykał pan dziecko w piwnicy? Też dlatego, że tak mu się podobało?

– Nigdy go nie zamykałem. Nie chciał stamtąd wyjść. Nie...

– Cóż za pomysłowość! Jakie zaangażowanie i zainteresowanie własnym synem! Od jedenastu lat on tak woli, a pan nic z tym nie robi.

– A co miałem zrobić, żeby go zmusić do wydania kilku dźwięków? Zresztą po co? Miałem go bić? Wyciągnąć z piwnicy jak krowę z obory?

– Panie Heidemann, nie jest pan aż tak prosty, jak próbuje pan przede mną udawać.

– Więc co mogłem zrobić?

– Skonsultować się z lekarzami, może zwrócić się do psychologa. Pokaż mi swoje dziecko, a powiem ci, kim jesteś.

– Pan nie ma dzieci, co?

– Tutaj ja zadaję pytania.

– W takim razie proponowałbym, żeby zaczął je pan zadawać gdzie indziej.

Śledczy podniósł się i ruszył do drzwi.

– Jeszcze się zobaczymy, Karl, prawda?



Zobaczmy... Karl w tym momencie zrozumiał, że nie wystarczy słuchać, żeby znaleźć odpowiedzi.

– Dobrze, pana syn nie mówi, ale pan, panie Heidemann, zacznij mówić. Zapewniam pana.

Horst Schubert opuścił dom. Nie pożegnał się. Bo i po co?

Wyszedł, ale pozostał – z Karlem. Na resztę jego życia.

## 22 OBECNOŚĆ

Reszta życia.

Wielka niewiadoma.

Śmierć nie zakreśla na czerwono daty na kartce kalendarza, lecz niewidoczna niezmiennie spaceruje sobie obok człowieka, pozwalając mu wierzyć, że to się będzie ciągnąć i ciągnąć...

Tylko nie w Jettenbrunn. Mieszkańcy wioski mieli wrażenie, że każdy następny dzień może być tym zakreślonym na czerwono. Dni jednak mijały i nic się nie działo.

Na ciele Charlotte Heidemann nie znaleziono żadnych śladów przemocy, a doktora Hofstättera, z powodu braku dowodów, zwolniono z aresztu. Wrócił do domu skazany na życie wśród swoich współobywateli, którzy również byli skazani – na życie w strachu. Bo poszukiwania sprawcy – tego z krwi i kości – niczego nie przyniosły.

Śledczy Horst Schubert coraz częściej znikał z Jettenbrunn, co nie sprzyjało odzyskiwaniu poczucia bezpieczeństwa, ponieważ tam, gdzie coś znika, zawsze pojawia się coś nowego. W tym wypadku była to eksplozja ludzkiej wyobraźni. No bo skoro skrytobójcy nie można znaleźć wśród żywych, to może jest pośród umarłych. I tak wiatr stał się nadciągającym od stawu podmuchem śmierci, stukanie okiennic albo gałęzi było krokami intruza, miauczenie kota – płaczem nieumarłych; a i bez tego dość niesamowite pohukiwanie puszczyka było nawoływaniem Charlotte: „Chodź do mnie, chodź!”.

I ktoś naprawdę poszedł.

– Dokąd idziesz! – zawołał zaniepokojonym głosem Alois Daxberger ze swojego wózka, widząc chłopca w drzwiach.

Karl wiedział, dokąd zmierza i co powinien zrobić. Nie wystarczało mu, że słuchał. Musiał jeszcze widzieć, zacząć się rozglądać. W dzień. Zbliżyć się do ludzi, też za dnia. Przemóc się, wystawić na spojrzenia innych, na ludzkie gadanie, hałas, na własny ból. Musiał być aktywny, bo życie to działanie.

– Gdzie się wybierasz?

Rozejrzeć można się również we dwójkę.

– Alois! Co za niespodzianka!

– Jak to miło, że wybraliście się na spacer i zeszliście ze wzgórza do wsi!

Ludzie pozdrawiają ich życzliwie, ale są wyraźnie zaskoczeni, niepewni, bo choć Aloisa Daxbergera wszyscy w Jettenbrunn chętnie widzą i wyciągają do niego ręce na powitanie, to jego wózek inwalidzki pcha blade, sztywne monstrum z zatkanymi uszami.

– Mój Boże, Alois, cieszę się, że cię widzę. Tak dawno cię tu nie było. Może zjecie obiad? Wejdźcie do środka – zaprasza gościnnie właściciel gospody, Hubert

Oberwaldner. – Jest świeży tort orzechowy, domowej roboty.

Stary nauczyciel z błyskiem w oczach patrzy pytająco na chłopca. Nic z tego; Karl ma inny cel: kilka domów dalej.

– Dokąd mnie wiesz? – protestuje Alois Daxberger. – Co ty robisz? – W jego głosie słychać zdenerwowanie. – Przecież nie potrzebujemy... Karl!

Szklane drzwi się otwierają. W powietrzu unosi się zapach warzyw i owoców. W środku nie ma żadnego klienta. Lekkie pchnięcie wózka, dźwięk dzwoneczków i stary nauczyciel jest już wewnątrz.

– Alois... Co ty tutaj robisz? To znaczy cieszę się...

– Adele... ja... ja...

– Właśnie upiekłam ciasto z malinami.

Dalej Karl musi sam.

Sam w środku wsi. Po raz pierwszy.

O tej godzinie na dworze nie ma nikogo. Zupełna pustka, w powietrzu unoszą się zapachy gulaszu z puszki, kostki rosółowej, potrawek, rozgrzanego tłuszczu. Pracujących mężczyzn i kobiet nie ma teraz w Jettenbrunn, nieliczne dzieci są jeszcze w szkole, ich matki krzątają się w domach, starcy siedzą na ławkach w ogrodach. Jeden z nich próbuje zagadnąć Karla:

– Dobrze, że przyszedłeś do wsi.

Chłopiec nie reaguje.

Cała jego uwaga jest skupiona na pustce, na tym wyludnionym miejscu, które dla niego wcale takie nie jest. Znalazł się sam, bliżej ludzi niż kiedykolwiek dotąd, dlatego wszystko jest silniejsze – hałas, ból, ostre uderzenia w zatłoczonych woskiem uszach, w głowie – wszystkiego jest więcej: informacji, stukotu, dywanów, mięsa, pił, drewna, chleba, kołatania, garnków, blachy, szczekania, gdakania, skrobienia, ryczenia, głosów z radia, cichych głosów ludzi gawędzących ze sobą przez płot, głośnych rozmów przez telefon.

Karl zachowuje się tak jak zwykle: stoi pośród zgiełku Jettenbrunn niczym postać z obrazu, jak wykuty z kamienia posąg. Cały zamienia się w słuch. Tylko co jakiś czas robi jeden krok, dwa, w ogóle się nie śpieszy, nie chce spłoszyć ludzi – chce, żeby mówili.

– Nie wygląda na zbyt rozgarniętego, trochę jak... Przenajświętsza Panienko. Co tam w nim się dzieje?

– Hm... raczej jak święty Franciszek.

Kot starej Adele Konrad, tak jak na pogrzebie Charlotte, przybiegł do Karla, wskoczył na niego i mruczając, dał się głaskać po głowie. A potem przyszedł pies myśliwski Huberta Oberwaldnera i też pozwolił się głaskać. Nawet gęsi żony właściciela gospody zbliżyły się do chłopca. W Jettenbrunn bowiem nie było dotąd tak spokojnego i życzliwie nastawionego do świata człowieka, tak wolnego od wszelkich złych myśli jak Karl. I czy to przypadkiem nie uśmiech pojawił się na

jego twarzy? Taki drobiazg mógłby wzbudzić w mieszkańcach wioski sympatię – do niemego dziecka, miłego, lubiącego zwierzęta. Och, jakie by to było wzruszające!

Nic podobnego jednak się nie stało. Tylko nabrzmiała twarz bez wyrazu z czarnymi, jakby zmęczonymi, wpatrzonymi w pustkę czarnymi oczami, które kryły się nad tłustymi policzkami.

– Coś z nim jest nie tak.

– Ostatnio w ogóle wszystko jest nie tak, więc dlaczego z nim miałoby być w porządku?

– A jak pomyślę, że to jego ojciec może być mordercą... Straszne!

Karl już dawno temu w leksykonie Aloisa Daxbergera między *mordent* – ozdobnik w muzyce; szybkie przejście z dźwięku na jego górną lub dolną sekundę, a następnie powrót do dźwięku wyjściowego.

a

*morena* – w geologii przemieszany, nieuwarstwiony materiał skalny; odłamy skalne, żwir, piasek i pył naniesione i osadzone przez lodowiec.

znalazł:

*morderstwo* – celowe zabicie człowieka.

*Pochodzenie*      *słowa:*      *średnio-wysoko-niemieckie*      *mort;*  
*staro-wysoko-niemieckie* *mord* wywodzą się z *germańskiego* *murpha*, a także z *indogermańskiego* *mer*. *Pierwotne znaczenie: środek do zadawania śmierci. Porównywalne z łacińskim* *mori* (*umierać*).

To wyjaśnienie nie wywołało w Karlu ani złego samopoczucia, ani wrażenia, że zrobił coś niewłaściwego. Przeciwnie. Dlaczego nie być mordercą, środkiem, który przynosi śmierć? Jak posłaniec z cudownym darem przynoszącym wybawienie. Dar życia. Pięknie zapakowany, godny, bez cierpienia, bez walki.

Bez bolesnego zachłystywania się wodą, duszenia się, jak w przypadku Veroniki Lamprecht.

Nigdy więcej w ten sposób.

## 23 POSZUKIWANIA

– Świetnie, że wreszcie wychodzisz na dwór. Może mi coś opowiesz? – Horst Schubert zjawił się w okamgnieniu, żeby się przyjrzeć znękanemu chłopcu. – Proszę. To na wypadek, gdybyś poczuł potrzebę.

Na wyciągniętej wizytówce był numer telefonu, adres miejsca pracy i nazwa miasta.

– A jeślibyś się nie odezwał, to się nie przejmuj. Przyjdę do ciebie. Kiedyś.

Śledczy jednak nie pojawiał się często. Karl natomiast codziennie chodził do wsi. Pomógł Aloisowi Daxbergerowi i Adele Konrad przeżyć coś w rodzaju nowych narodzin, a sobie zyskał – już nieodwołalnie – opinię niedorozwiniętego. Debila. Opinię, która była jego bramą do wolności. W którymś momencie ludzie w ogóle przestaną się nim interesować.

Stopniowo Karl, którego mieszkańcy Jettenbrunn – nawet o tym nie wiedząc – tropili, stał się nieodłączną częścią społeczności. Na początku śledzili jego spacer po wsi, ale z czasem, wciąż obecny, zaczął się zlewać z otoczeniem i w końcu wtopił się w krajobraz jak stary dąb koło miejscowego sklepu. Każdy od urodzenia znał to drzewo, jego cień, listowie, wysokość i grubość pnia, a mimo to dzieciaki i pijacy na nie wpadali, drzewo wyginało karoserie, rozbijało szyby samochodowe, niszczyło felgi, łamało kości. To, że coś jest niewidzialne, nie znaczy, że tego nie ma. Wiedzą o tym wierni służący, nieśmiali adoratorzy, kochające matki. Laska Mojżesza nie jest wyjątkiem.

Ale Karl widział wszystko.

W dzień świętego Marcina, kiedy dziecięce głosy i światła latarni rozjaśniały zapadający zmrok, patrzył z przerażeniem, jak Hedwig Oberwaldner, żona właściciela gospody, naostrzoną siekierą obcinała głowy gęsi. To samo widział przed Bożym Narodzeniem. Widział też – bez specjalnej okazji – spadające z pnia łebki i uciekające zygzakami kury... trzy... cztery... pięć kroków.

Widział, jak Hubert Oberwaldner otwierał okratowane drzwiczki klatek, chwycił królika za futrzaste uszy i na oczach innych zwierząt podrzynał drgające gardło, a robił to z taką obojętnością, jakby kroił świeży chleb.

Na zasypanym śniegiem podwórzu widział krew wyciekającą z rozciętej świni z opuszczonym łbem, a potem patrzył, jak świętowali świniobicie. Przyglądał się zabawie na dożynkowym festynie.

A wiosną zobaczył właścicielkę sklepu, Adele Konrad, wkładającą cały miot kociąt do jutowego worka i wrzucającą go do beczki z deszczówką.

Patrzył, jak pies myśliwski Lamprechta atakuje jadącego ulicą chłopca, widział rozerwane spodnie, krew, a potem Lamprechta rozprawiającego się na podwórku z psem – jeden strzał, skomlenie, drugi, skomlenie, trzeci.

Nie, śmierć nigdy nie przychodzi łagodnie. Śmierć jest bandziorem.

Wyglądało na to, że Karl nadaremnie poszukiwał odpowiedzi.

Im dłużej chłopiec oddawał się obserwacjom, tym bardziej śmierć traciła swoją grozę, stawała się czymś powszednim, niezależnie od tego, czy świeciło słońce, wiał wiatr, czy padał deszcz albo śnieg. Właśnie, śnieg. Przyroda bowiem dalej robiła swoje, nie dała się zwieść śmierci; sprawiała, że z nasion, które spadły na groby, wyrastały kwiaty i trawa, a potem pokrywała je białymi kopcami. A Karl Heidemann był przy tym wszystkim obecny. Tak jak kiedyś siedział w piwnicy, tak teraz siedział przed olbrzymim ekranem, oglądając ludzi i ich życie, podczas gdy sam żył niczym w uśpieniu. Zagrzebany na dnie własnych myśli słyszał, jak ludzie się kłócą, jak wołają do siebie: „Daj mi wreszcie spokój!”. I zrozumiał, że „dać spokój” znaczy „być cicho”.

Śmierć, spokój, cisza – to jedno.

Widział też, jak ludzie się zakochiwali. Widział rodzące się szczęście Aloisa i Adele. Widział również zdradę: Hedwig Oberwaldner odwiedzając wdowca Lamprechta w jego warsztacie – tak wyglądała wierność małżeńska. Ale były też trwałe związki. Jak jego wciąż cierpiących z powodu utraty córki dziadków. Dwudziestego czerwca przyjechali do Jettenbrunn i po krótkich odwiedzinach u zięcia i wnuka poszli na grób córki i zapaliwszy znicze, stali, podtrzymując się nawzajem.

– Dlaczego, Heinrich? Dlaczego nie my pierwsi? Jakie to niesprawiedliwe...

Z bukietem białych tulipanów poszli nad staw, a kiedy wrócili, na ich twarzach malowała się tylko udręka.

Karl też cierpiał, z powodu własnej porażki, ponieważ wciąż nie udało mu się znaleźć właściwego sposobu na pomaganie, w łagodny, życzliwy sposób. A jednak dalej próbował. Próbował z twarzami ludzi, z ożywiającą je mimiką. Z ustami, które ledwie się poruszyły, a już

*mówiły, śmiały się, wrzeszczały, szalały,*

*chrząkały, kaszlały, charczały, rzeziły,*

*pluły, siorbały, mlaskały, krzyczały,*

*darły się, chrypiały, piszczały, beczały,*

*wzdychały, chrapały, lamentowały, jęczały,*

*chichotały, rechotały, chlipały, szlochały...*

Karl Heidemann zamykał oczy i w myślach zakładał na te napięte ludzkie twarze piękną maskę.

I już się nie poruszały. W jego głowie pojawiało się i pozostawało coraz więcej portretów mieszkańców Jettenbrunn spokojnych i cichych, aż pewnego dnia postanowił je przelać na papier.

– No, Karl! Wspaniale! Adele, chodź tutaj!

– Już idę, Alois!

– Przecież to jest doktor Hofstätter! Niesamowite!

– Jakby sobie spokojnie zasnął. Dobrze wygląda. Jesteś artystą, Karl. Słyszysz? Jesteś artystą!

Karl wiedział, że to nie on, tylko śmierć.

To śmierć jest artystą.

Rysunek ołówkiem, wiernie oddający podobieństwo, wykonany ręką dziecka. I inne przedstawiające mieszkańców Jettenbrunn, z których większość wprawdzie żyła, ale sportretowano je jako martwe osoby, jakby właśnie prowadziły rozmowę z ostatnim gościem w ich życiu – ze śmiercią.

Z gościem, który przychodził sam, przez nikogo nie widziany, ale Karl znał skutki tych wizyt. Przyglądał się ludziom kopiącym niewielkie doły, żeby pochować w nich świnkę morską albo kanarka.

Widział też te duże doły, na cmentarzu – w domu umarłych. Patrzył, jak opuszczano do nich trumny, które wcześniej stały otwarte – w pokojach dziennych, jadalniach, sypialniach albo w małej sali pogrzebowej – a w nich leżały odświętnie ubrane ciała z pięknie umalowanymi, wyglądającymi na spokojne twarzami.

Pewnego poranka zobaczył na drzwiach sklepu spożywczego tabliczkę informującą, że tego dnia sklep będzie nieczynny. Pozostał nieczynny na zawsze, a tabliczki nie zdjęto. Poprzedniego wieczoru Adele Konrad po powrocie od mężczyzny swojego życia, przepełniona wdzięcznością zasnęła i już się nie obudziła. Śmierć zabrała ją szczęśliwą i kochającą.

Alois Daxberger stracił jednak wszystko; pozostała mu jedynie pustka i miał tylko nadzieję, że ta pustka już niedługo wypełni górną część klepsydry odmierzającej czas jego życia.

Również Karl wiele stracił; i to nieodwracalnie.

Dzieciństwo, kiedy się kończy, nie mówi „No to cześć!”, lecz wymyka się niepostrzeżenie: zrzuca pieluchy, wyrasta ze śpioszków, wózka, dziecięcego krzeselka, pozostawia za sobą całe pudła za małych ubranek, nalepki ze zwierzątkami na drewnianych łóżkach, plakaty na wytapetowanych ścianach,

pokoje, w których zrobiło się za ciasno; zaczynają się roszczenia, sprzeczki, aż w końcu widać pierwsze pęknięcia, a najbliżsi ludzie stają się męczący i niepotrzebni.

Wiejski sklep zamknięto i Alois Daxberger, chociaż nadal przychodził do Heidemannów, nie miał już na nic siły ani ochoty.

– Czas się kończy – powiedział któregoś dnia. – I to, że jego zapas się wyczerpuje, wcale nie jest nieszczęściem. To łaska. Upływ czasu jest największym darem dla ludzi.

Dla Karla, nieustannie szukającego odpowiedzi, upływ czasu oznaczał jednak coś innego.

Koniec okresu ochronnego.



## 24 SERCE

Jest noc, ale wkrótce czerni zamieni się w szarość, a mgła zacznie się unosić. Karl wraca przez las do domu. Nie śpieszy się. Woda w stawie znowu była ciepła, wreszcie.

Nagle słyszy głosy; i to niedaleko. Szepty. Na skraju lasu jest drewniana zadaszona ambona, z balustradą dookoła, z drabiną i ławeczką. Właściciel gospody Oberwaldner, myśliwy, i mechanik Lamprecht, wdowiec, siedzą ramię przy ramieniu. Myśliwy ma gotową do strzału broń, opartą kolbą o klatkę piersiową.

– No, gdzie ty jesteś, dziewczynko? Nie wystawisz mnie dzisiaj do wiatru, co?

Potem następuje długa cisza. Karl nie ma pojęcia, o kogo może chodzić, kto wystawi kogo do wiatru, kto może się pojawić.

– Miło z twojej strony, że zaproponowałeś, żebym się do ciebie przyłączył.

– Chciałem to zrobić już dawno temu, ale po śmierci twojej żony jakoś nie miałem odwagi. Veronika... niech Bóg ma ją w swojej opiece. Tak czy owak, cieszę się, że wreszcie po tylu latach jesteś tu ze mną. Poza tym we dwóch raźniej.

– Zawsze przychodziłeś tu sam?

– Nie, z żoną.

– Co?! Z Hedwig? Chodźcie razem na polowania?

– Chodziliśmy, Gerwald, chodziliśmy. Kiedyś. Bo ostatnio jest rano okropnie zmęczona. Dlaczego? To akurat jest dla mnie zagadką. Może mnie zdradza. Albo co knuje. Tak między nami mężczyznami, może ty pomożesz mi rozwiązać tę zagadkę?

Karl czuje to. To napięcie. Dwoje ludzi siedzących tak blisko siebie, ale coś ich dzieli, jest zagrożenie; jeden z nich wie o zdradzie drugiego, o tym, że coś mu ukradł.

– Ja? Skąd! Dlaczego przyszło ci do głowy, że mogę coś wiedzieć?

– No, w końcu też kiedyś miałeś żonę. Znasz się chyba trochę na kobietach.

– Ale teraz jestem wdowcem.

Cisza.

– Wybacz mi. W każdym razie dobrze, że przyszedłeś tu ze mną. We dwóch jest lepiej niż samemu.

– Hm... to zależy. Nigdy nie wiadomo, co albo kto kręci się po lesie.

– Jeśli o to chodzi, to nie jest to najgorsze miejsce, zwłaszcza jeśli się ma w ręce broń.

– Ale też nie najprzyjemniejsze.

– Więc bądźmy cicho, bo inaczej nic się nie pojawi i będziemy musieli siedzieć tu jeszcze dłużej.

I znowu milczenie. Czekanie. Zaciekawiony Karl stoi; przemoczony,

zaczyna drzeć z zimna.

Nagle coś się pojawia.

– No, proszę... Jest moja dziewczynka.

Na końcu przecinki widać jakiś ruch. Wyłania się z ciemności, idzie powoli, z gracją; majestatyczna, szczupła szyja, długie nogi; ostrożnie zatrzymuje się, nasłuchuje, węszy.

Hubert Oberwaldner głęboko nabiera powietrza, Gerwald Lamprecht lekko sapie.

A potem już tylko ból. Potworny ból. W Karlu i na środku przecinki. Huk jest tak straszny, że Karl musi złapać się pnia najbliższego drzewa. Jest mu słabo, chce wymiotować. Odgłos wystrzału wciąż przeszywa uszy i całe jego wnętrze.

– Szlag! Niech to szlag! – Hubert Oberwaldner, który ma przed oczami konające, kręcące się wokół własnej osi zwierzę, jest zrozpaczony. Łania pada na ziemię i nie podnosi się, ale jej kończyny poruszają się, jakby uciekała, lecz kopyta trafiają tylko na powietrze. Część potylicy jest roztrzaskana.

– Podniosła łeb, prawda? Dokładnie w tym momencie, kiedy strzelałeś.

– Tak. A wiesz dlaczego? Bo ty akurat musiałeś zacząć sapać jak stara szkapa. Gdyby nie podniosła, dostałaby prosto w serce. Złóż na dół, i to już!

– Co teraz zrobimy?

– Pomożemy jej.

Z nożem w ręce Hubert Oberwaldner biegnie do wijącej się, wierzgającej kopytami łani, wskakuje na nią od tyłu, jak jeździec na konia, i unieruchamiając zwierzę swoimi nogami, wolną ręką chwyta je za uszy i wbija mu ostrze noża w klatkę piersiową. Jedno drgnienie i przychodzi spokój, natychmiast. Wybawienie. Jak pacnięcie ręką muchy. Skupiony, przejęty Karl Heidemann siedzi w krzakach ze wzrokiem utkwionym w przecince. Czy naprawdę znalazł to, czego szukał?

– Jezu, Gerwald! Następnym razem masz siedzieć cicho. Jasne?

– Jasne. Naprawdę jest mi przykro. Ale czapki z głów. Załatwiłeś to piorunem.

– Nie ma szybszej śmierci niż trafienie prosto w serce, kulą, nożem, obojętnie czym.

– Kula jest pewnie przyjemniejsza.

– Dla kogo?

– Dla strzelca. Nie ma babrania się we krwi.

– Zaczekaj, coś ci pokażę. Klękaj.

– Co proszę?

– Uklęknij.

– Chcesz mnie pasować na rycerza?

– Zaufaj mi. No, już.

Gerwald Lamprecht z wahaniem opadł na kolana, a Hubert Oberwaldner przyłożył mu ostrze noża do umięśnionego miejsca między obojczykiem a karkiem.

– Wyobraź sobie, że to jest miecz, wystarczająco długi, wystarczająco ostry. Trzeba pchnąć właśnie w tym miejscu, szybko, głęboko i natychmiast wyciągnąć ostrze.

Gerwald klęczy jak skamieniały.

– Tak wygląda honorowa i ludzka egzekucja. Płuca, serce, tętnica... raz-dwa i po wszystkim. Żadnego babrania się we krwi, bo nie wypływa na zewnątrz, tylko do jamy brzusznej. Żadnej wielkiej rany, tylko niewielkie rozcięcie przy obojczyku, które zamyka się zaraz po tym, jak się wyjmie ostrze. Delikwent nie ma nawet czasu, żeby się zorientować, co się dzieje. Błyskawiczne przerwanie krwioobiegu i koniec. Bezbolesny.

– Czego nie można powiedzieć o moich kolanach. Ta ziemia jest twarda jak cholera, mówię ci, Hubert.

– A ja ci mówię, że nie wierzę w tę historię o żołnierzu, który przebił lancą serce Chrystusa dopiero po jego śmierci. Po śmierci? Niby po co? To jakieś banialuki. Zrobił to przed jego śmiercią, mówię ci. Żeby wreszcie skończyć męki umierającego na krzyżu Pana. Musiał być dobrym człowiekiem, ten żołnierz.

– A ty? Też jesteś dobrym człowiekiem?

– No, taką mam nadzieję.

– Więc mogę już wstać?

– Możesz. I możesz też ściągnąć kurtkę i zakasać rękawy koszuli. Bo mamy robotę.

Karl Heidemann znalazł się u celu swych poszukiwań. Poruszony szczęściem, jakie go spotkało, obserwując dokładnie każdy ruch ręki Oberwaldnera, patrzył, jak łania jest patroszona, a następnie przyglądał się, jak dwaj mężczyźni – najpierw z dumą, potem z coraz większym zmęczeniem – niosą swoją zdobycz do Jettenbrunn.

– Ciężka jak cholera!

– Ciesz się, że to była łania, a nie jelen.

Następnej nocy Karl Heidemann zobaczył znacznie więcej.

Najpierw stał w ukryciu między stertą porąbanego drewna a klatkami dla królików. Jasno oświetlona szopa Oberwaldnera tak go jednak pociągała, tak go przyciągała, że wkrótce stanął przy samym oknie i patrzył z zaciekawieniem na wiszącą na hakach drobną zwierzynę łowną. Bez przerażenia i zdziwienia śledził i zapamiętywał każdy ruch ręki Oberwaldnera, każde cięcie, w milczeniu naśladowując je ruchami własnych rąk, w identycznej kolejności. Ściąganie skóry, wyjmowanie wnętrzości, odcinanie poszczególnych części, głównie zajęcy, bażantów, dzikich kaczek. Było już późno, gdy właściciel gospody skończył pracę, w pomieszczeniach jego domu zrobiło się ciemno i z okna małżeńskiej sypialni

popłynęły w noc szelest pościeli, skrzypienie ramy łóżka i wreszcie regularny oddech śpiących obok siebie męża i żony. Tylko Karl mógł to usłyszeć.

Którejś nocy podszedł do drzwi szopy, odsunął rygiel i wszedł do środka.

Bez trudu zdjął z haka jeszcze ciepłe ciało w różnych odcieniach czerwieni, od całkiem jasnej do niemal czarnej. Chciał tylko na chwilę sięgnąć w głąb jego wypatroszonego wnętrza, do miejsca, w którym powinien się znajdować silnik wprawiający w ruch życie – serce.

Do tego miejsca, które w jego własnym ciele, od dnia jego narodzin, hałaśliwie nie dawało mu spokoju, znęcało się nad nim, dopóki udręczony nie zapadał w krótki sen; miejsca, w którym mieszka to, czego ludzie szukają nieraz przez całe życie.

Potem przychodził tu już zawsze.

## 25 PIĘĆ

Odrażające ślady. Zniknięcie noża do mięsa. Wszystkie królicze klatki otwarte i puste, a przed szopą dwa króliki, za tchórzliwe, za leniwe, żeby przynajmniej uciec przed kimś w kącie; przylegając do siebie futrem, leżały jak para przytulonych do siebie kochanków, każdy precyzyjnie ugodzony w serce. Hubert Oberwaldner chwycił za broń; wiedział, dokąd ma iść.

Po chwili rozległy się wrzaski dwóch gotowych na wszystko mężczyzn. Wyrwany ze snu Gerwald Lamprecht również miał broń – napięte jak łuk nerwy. Z jednej strony oskarżenia, z drugiej żadnej gotowości do kapitulacji czy kompromisu, tylko protesty i wściekłość. Skąd! On nigdy... to nie on...

– Co mnie obchodzą twoje króliki! I przestań się wreszcie czepiać Hedwig! Idź do diabła!

Obudzeni hałasami mieszkańcy Jettenbrunn wyszli z domów i rozładowali napięcie. Ale na krótko. Kilka dni później krwawe ślady pojawiły się na ulicach wioski. Kundel bez jednej nogi, parchata kotka. Ciosy precyzyjne, czysta robota; troskliwie ułożone truchła, przystrojone kwiatami, ziołami i trawą.

Wkrótce ślady zaczęto znajdować w lesie – kuropatwy, które z powodu uszkodzonych skrzydeł nie mogły latać, cherlawy lis – diagram śmierci. Zgroza, ale we wdzięcznej oprawie, niemal piękna. Ślady prowadziły do stawu, ale nikt nie potrafił tego wyjaśnić i określić kierunku. Czy ślady prowadziły ze wsi nad staw, czy odwrotnie? A może zaczynały się w stawie i tam też się kończyły?

Nadszedł czerwiec. Wieś podejrzenie opustoszała. Za to zapełniła się gospoda. I właśnie tam, całkiem przypadkiem, znaleziono możliwe wyjaśnienie.

– Niedługo minie pięć lat.

– Co?

– Od ich śmierci. Od śmierci Veroniki Lamprecht i Charlotte Heidemann.

– Charlotte utopiła się w stawie dwudziestego czerwca, prawda?

– Za pięć dni będzie piąta rocznica jej śmierci – powiedziała Hedwig Oberwaldner, która właśnie weszła do sali, i wraz z jej pojawieniem się nie było już mowy o jakimkolwiek przypadku, tak jak nie było już mowy o pozornym spokoju ostatnich lat. – Pięć... – przypomniała sobie. – To była jej ulubiona liczba. Pamiętacie jej wisiołek? Tę gwiazdkę?

Pamiętali. I nie tylko pamiętali. Dzięki rozjaśniającemu umysł działaniu alkoholu znaleźli wytłumaczenie: pentagram, pięcioramienna gwiazda, symbol chroniący bezbożników, wykorzystywany przez druidów przeciwko zaklęciom i duchom, i demonom. A może to nawet znak satanistów? Co do tego nie mieli pewności. Pięć... Ale czego? Pięć żywiołów: woda, ogień, ziemia, drewno, metal... Pięć kontynentów... Czy może jest ich sześć? Pięć zmysłów... Nie ma więcej zmysłów? Na pewno przyda się więcej alkoholu, najlepiej sznapsa

jabłkowego. Zdrowie! Jabłko ma dokładnie pięć przegródek z nasionami, a z nasion, jeśli wsadzi się je do ziemi, wyrastają... Zdrowie! No właśnie, co z nich wyrasta? Może zło?

Im bardziej przeciągał się wieczór i im więcej lało się alkoholu, tym bardziej demoniczny stawał się przedmiot dyndający kiedyś między piersiami Charlotte, wisiołek, który dali jej rodzice z myślą o tym, że będzie ją chronił, jak łańcuszki z Aniołami Stróżami, jakie miał niemal każdy mieszkaniec Jettenbrunn. Jedno pytanie ściagało drugie. A może to, co opowiadał doktor Hofstätter, wcale nie było bujną? Może z dna jeziora naprawdę biło światło?

– Pamiętajcie o tym, że ludzkie myśli mają moc – powiedziała Hedwig Oberwaldner zmartwionym głosem.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, żeby nie przywoływać złego.

Za późno – ziarnko, które spadło na ziemię użyźnianą bezsennymi nocami, już wykiełkowało. Co będzie, jeśli pięć lat po swojej śmierci Charlotte Heidemann postanowi rozszerzyć teren swojego działania i wyjdzie ze stawu? Jeśli martwe zwierzęta są tylko zapowiedzią i nie skończy się na zabijaniu królików, lisów i gęsi?

To straszne podejrzenie natychmiast przetoczyło się przez gospodę Przy Poczcie i nie zniknęło, nawet kiedy klienci Oberwaldnera wytrzeźwieli, i stało się źródłem udręki mieszkańców wioski, udręki, której rozmiary można było przewidzieć tylko częściowo.

Bo to nie duch grasował po nocach w Jettenbrunn, lecz dziecko.

Przepełnione miłością dziecko bezgłośnie przemierzające po ciemku znane mu ścieżki, których nikt nie potrafił przewidzieć; mające nad innymi tę przewagę, że wiedziało o obecności ludzi na długo przed tym, nim samo zostawało zauważone. Z nożem w ręce, w ciemnym ubraniu, czując wewnętrzny spokój, węszyło i nasłuchiwało. Po wykonanej pracy szło nad staw i na krótko zanurzało się w wodzie, żeby zmyć krew z dłoni, ramion, twarzy i noża. Potem chowało nóż w lesie, w świetnej kryjówce, jaką był częściowo spróchniały pień jodły.

Żadne zwierzę przed nim nie uciekało. Dziecko cieszyło się pełnym zaufaniem. Żadnego gdakania, szczekania, syczenia, nawet przy dotyku. Karl Heidemann, patrząc w spokojne oczy, zadawał śmierć, uwalniał od cierpienia, dawał wybawienie. Morderca. Poślaniec. Tylko jedno bezbolesne ukłucie i szczęście. Serce, sprężyna życia przestaje się poruszać, a uwięziona w sercu miłość się uwalnia. Karl słyszał jego bicie, wszędzie. Jakby otrzymał ten dar właśnie po to, żeby uderzenia serc prowadziły jego rękę we właściwym kierunku, żeby ćwiczył, wciąż ćwiczył na ciałach z krwi i kości, napędzając się przy tym coraz większym spokojem i pamiętając słowa, które usłyszał nad grobem matki: „Dziecko pozostaje w sercu matki na zawsze. Miłość nie przemija”.

A potem nadszedł dzień piątej rocznicy śmierci.

## 26 AKT MIŁOSNY

Dwudziesty czerwca 1999 roku. Niedziela. Na niebie wiszą chmury. Powietrze stoi. Z samego rana telefon.

– Tak jak zawsze? To znaczy późnym popołudniem? No to jesteśmy umówieni.

Koło szesnastej pod dom zajechał samochód, z którego wysiedli babcia i dziadek Auböckowie. Zgorzkniali starzy ludzie. Podczas podwieczorku pada niewiele słów.

– Co tam w pracy?

– Jak to w hucie.

– A on... uczy się?

– Kto?

– Karl. Chodzi do szkoły, czy wciąż siedzi w domu?

– Uczy się w domu, z Aloisem.

– I czegoś się nauczył?

– Może jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

– A u was? Co słychać?

– Co u nas może być słychać, Johann? Jakoś żyjemy. Dzisiaj mija pięć lat.

– Jak ten czas szybko leci!

– Czasem nie dość szybko. Dziękuję za kawę.

W końcu dziadkowie ruszyli; babcia, jak zawsze, z bukietem białych tulipanów. Z nikim nie zamieniając słowa, szli w kierunku cmentarza, ale w pewnym momencie zobaczyli wiejskiego lekarza, więc musieli coś powiedzieć, i to na oczach wszystkich.

– Bądź przeklęty, Hofstätter! Bądź przeklęty na wieki!

Lepiej, żeby tego nie mówili.

Chwilę po tym Karl wychodzi przed dom, obecny, lecz tak, jakby go nie było. Przepelnia go potrzeba działania; i współzucie. Pola na wzgórzach znajdują się na tyle wysoko, że można tam uciec od ludzkich spojrzeń. Decyzja Karla o czynieniu dobra jest nieodwołalna, musi ją tylko wcielić w życie. Kiedy nadejdzie właściwy moment, a nadejdzie.

Dalej! Nad staw. Karl po raz pierwszy idzie tam w dzień, z dużym słoikiem po ogórkach w ręce i dwoma nożami za paskiem spodni. Musi dać wybawienie życiu, które szuka nadziei. Właśnie zostaje wybawione niebo – ulewny deszcz, tak jak tamtego dnia, pada tak mocno, jakby miał zmyć ostatnie wątpliwości.

– Wracaj do domu! – woła w kierunku wioski Johann Heidemann, który szuka syna. Będzie jednak musiał trochę poczekać.

Ale Karl nie może czekać. W chwili gdy zastanawia się, czy z powodu



deszczu nie zrezygnować i nie iść dalej, słyszy już ich kroki. Ociekając wodą, z opuszczonymi ramionami, wychodzą z lasu i kierują się do stawu, dokładnie do tego miejsca, w którym Charlotte kiedyś weszła do wody. Kładą kwiaty, jeden po drugim, na marszczącej się centrycznie powierzchni stawu.

– Tak nie powinno być, Heinrich... tak nie powinno być. Obiecuj mi, że nie odejdiesz pierwszy. Obiecuj mi to, proszę.

Białe tulipany, smagane ciężkimi strugami wody, odpływają od brzegu. Karl po tym, jak wychodzi zza krzaków, mógłby tupać, klaskać w dłonie, a i tak nikt by go nie usłyszał, tak głośno dudni deszcz. Niezdecydowany stanął za rogiem kaplicy i czekał na odpowiedni moment.

– Chodźmy już.

Babcia i dziadek Auböckowie odwracają się.

– Chodź, mój aniołku, wejdźmy do środka – mówi czule do żony dziadek.

Wchodzą do kaplicy i wypowiadają, oboje takim samym monotonnym tonem, słowa:

*Zdrowaś Maryjo,*

*łaski pełna, Pan z Tobą...*

Karl chwyta noże i wkracza do kaplicy.

*Błogosławionaś Ty między niewiastami*

*i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.*

Przed sobą ma odwróconych plecami dziadków; stoją ramię przy ramieniu z opuszczonymi głowami.

*Święta Maryjo, Matko Boża,*

*módl się za nami grzesznymi...*

Karl zamyka oczy i mimo dudniącego o dach deszczu pozwala, by obie jego dłonie poprowadziło bicie dwóch serc, uderzających prawie tak równocześnie, jak padają słowa:

*teraz i w godzinę śmierci naszej.*

*Amen*

Szczęśliwy dzień.

## 27 KRZYK

Posadzka kaplicy Świętej Marii, marmurowa o piaskowym odcieniu, jest skąpana w czerwieni. Fugi między płytami marmuru są niczym potoki, małe rynny, którymi purpurowy płyn wycieka na zewnątrz, barwi na różowo mokry od deszczu żwirek i znika. Na kamiennym obliczu Matki Bożej, jak zawsze, łagodny uśmiech. Przed nią niesamowicie piękny obraz wiecznej miłości – Gertraud i Heinrich Auböckowie trzymający się za ręce. Leżą na brzuchach, z twarzami zwróconymi do siebie, otoczeni mokrymi, białymi tulipanami. I nawet jeśli widok jest przerażający, to nikt, kto musiałby na to patrzeć, nie mógłby się oprzeć wrażeniu, że oto ma przed sobą to, co w ludzkich tęsknotach uchodzi za raj: dwoje ludzi stało się jednym.

Tyle tylko, że takie wrażenie nie mogło trwać długo, bo wkrótce każdy zadałby sobie pytanie o sprawcę, no i tych dwoje nie mogło tak leżeć wiecznie.

Tym musiała się już zająć policja. A kiedy to zrobiła, poznała prawdę, która swą grozą przekraczała wszelkie wyobrażenia. Kiedy policjanci przewrócili ciało Gertraud Auböck na plecy, zobaczyli w jej klatce piersiowej dziurę, jakiej nie miał jej mąż.

Gertraud brakowało tego, co każdej matce, która utraciła dziecko, zostaje wyrwane jeszcze za życia – serca.

– Dlaczego nikt nie zawiadomił mnie o tym wcześniej? – zapytał główny śledczy Horst Schubert po przybyciu do wsi, której groził wybuch hysterii. – Na przykład o zabijanych zwierzętach. Może moglibyśmy temu zapobiec. Tak czy inaczej, te idiotyczne historie o duchach nie pomogą nam rozwiązać sprawy. Przecież nie żyjemy w średniowieczu!

Słowa śledczego niczego jednak nie zmieniły. Już choćby z powodu wyglądu bardziej niż wybawcę mieszkańcy Jettenbrunn widzieli w Horście Schubercie wielkiego inkwizytora, ucieleśnienie okropności, do jakich dochodziło we wsi.

Było tak, jakby czas wypadł ze swoich torów i nawiedzony cofnął się do momentu, gdy ludzie jeszcze jawnie wierzyli w grasujące po nocach wilkołaki, wampiry i czarownice. Kiedy tylko zapadał zmrok, zamykano okna i okiennice, ryglowano drzwi, żeby ukryć się przed czającą się bestią – Charlotte Heidemann.

Wobec hysterii, jaka ogarnęła wioskę, Horst Schubert uznał za konieczne wsuwanie pod drzwi mieszkańców Jettenbrunn ulotek z informacjami o sytuacji, zważywszy bowiem na precyzyjne ciosy noża, nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, że sprawcą nie był duch, lecz ktoś, kto doskonale zna się na zabijaniu – myśliwy, rzeźnik, a może weterynarz, a tych w okolicy nie było zbyt wielu.

Jego akcja zadziałała, ludzie znów zaczęli zwracać uwagę na rzeczywistość, na to, co z krwi i kości, i żeby złapać sprawcę, zarzucili wędkę do prawdziwej wody. Bardzo mętnej, ale dobrze im znanej. Bo przecież już przed pięcioma laty

wiedzieli, kto jest sprawcą. Wina nie została wprawdzie udowodniona, ale podejrzenia, nawet te rzucone niesłusznie, przywierają niczym piętno.

Myśliwy, rzeźnik, weterynarz...? A czemu nie lekarz? Natychmiast przypomnieli sobie słowa zamordowanego Heinricha Aböcka, które zagrzmiały we wsi: „Bądź przeklęty, Hofstätter! Bądź przeklęty na wieki!”.

A więc doktor Hofstätter. Znowu Hofstätter.

Bardzo możliwe, że obmyślił sobie plan, jak obciążyć zmarłą winą za morderstwo. I jakby ostry cierń przekłuł napiętą skórę na pęcherzu po poparzeniu, idyllę Jettenbrunn załata fala dzikiego gniewu. Kiedy rozpaczliwie szuka się wyjaśnień i nie znajduje odpowiedzi, wrzód nabrzmiwa przez noc i napełnia się żółcią, a wtedy pozostaje tylko jedno: znaleźć winnego, z braku wiedzy nawet kozła ofiarnego, i zaprowadzić go na szafot.

Obecność śledczego Horsta Schuberta w ogóle nie przeszkadzała mieszkańcom wioski w jawnym atakowaniu doktora. Hofstätter nie miał jak przed nimi uciec, na nic się zdawały jego tłumaczenia:

– Na miłość boską, po co miałbym zabijać dwoje starych ludzi? A wcześniej dwie kobiety? Z jakiego powodu? I gdybym to rzeczywiście zrobił, to myślicie, że wciąż bym tutaj był? W tym przekętym miejscu? Popatrzcie na siebie! Może Charlotte nie utopiła się z mojego powodu, tylko przez was? Słyszycie? Przez was!

Wkrótce przerażony zamknął się w domu i zabarykadował od środka. I słusznie.

Karl Heidemann stał pośród tego zgiełku, rozdrażniony, z głową pękającą od bólu. Wzburzeni ludzie z jednej strony wywoływali w nim chęć ucieczki, z drugiej całe to zamieszanie przyciągało go z siłą, której nie mógł się oprzeć. Stał na uboczu, pod starym dębem, i obserwował wszystko z niedowierzaniem; słyszał, jak lekarz jęczy w swoim domu; wiedział, który z sąsiadów martwi się, że taki niepohamowany gniew może jak cyklon nagle zmienić kierunek i obrócić się przeciwko nim.

Hubert Oberwaldner, jako myśliwy, należał do tych, którzy pod domem Hofstättera krzyczeli najgłośniej.

Bestie, myślał Karl. Potwory ślepe na szczęście, które nie potrafią się nim cieszyć. Obłudnicy i kłamcy – nazywają cmentarz miejscem spoczynku, a nie rozumieją, że to śmierć jest spoczynkiem. Nie widzą, czym zostali obdarowani jego dziadkowie. Dlaczego?! Przecież nie stało się nic złego. Bezboleśnie i połączeni poszli do domu, jedno nie pozostawiło drugiego, żadnego z nich nie czeka zniedołężnienie, samotność i wyczekiwanie upragnionego końca, jak załamanego starego Daxbergera po utracie Adele, jak ojca, wciąż pogrążonego w żałobie po Charlotte.

Ojca, któremu Karl z powodu zamieszania we wsi nie dał jeszcze tego, co powinien dostać.

Który właśnie idzie w jego stronę.

– Chodź do domu, Karl.

Musi przejść przez wieś na oczach wszystkich jak banita.

– To przez ciebie, Johann, tu jesteśmy. To wszystko przez ciebie! Słyszysz?

Ale on bez słowa idzie dalej.

– Chodź, synu.

– Ty ściągnąłeś do Jettenbrunn Charlotte! Ty! Od ciebie wszystko się zaczęło! Od ciebie i twojego dzieciaka.

Ktoś wyciąga do Johanna rękę, popycha go, lekko wprawdzie, ale wystarczająco, żeby ten zachwiał się, potknął i upadł na zakurzoną drogę. Johann w milczeniu podnosi się i idzie dalej w kierunku swojego dziecka.

Dużego dziecka, szesnastoletniego, które stoi bez ruchu, ale w środku toczy walkę, wszystko się w nim burzy. Zgarbiony, z opuszczonymi rękami, czerwoną twarzą i rozszerzonymi nozdrzami, oddycha coraz szybciej i coraz głośniej. Przed sobą widzi tylko nalane twarze, wykrzywione podejrzliwie gęby, które w domu, za pomocą ołówka obdarzył już na papierze pięknem, zamknął im oczy i na zawsze uśpił.

To się musi skończyć, całe to szaleństwo, ta nienawiść.

Teraz mają rozdziawione usta i szeroko otwarte oczy, bo z jego ust wydobył się rozzwierający wrzask, tak przejmujący i gwałtowny, że wszelkie krzyki nagle ustają, a ludzie zasłaniają sobie uszy dłońmi. Wysoki dźwięk, ni to pisk, ni to zgrzyt, jakby ktoś próbował przewiercić żelazo i kamień. I nie ma końca. Karl wrzeszczy i wrzeszczy. Kiedy ludzie ratują się ucieczką, on dalej wrzeszczy, aż z bólu pot zalewa mu czoło, w oczach stają łzy i widzi tylko ciemność, a w końcu przewraca się i leży bez ruchu, dopóki ojciec nie podchodzi do domu doktora Hofstättera i woła błagalnym głosem:

– Albrecht, proszę cię, musisz mi pomóc! Proszę...

Lekarz nie waha się ani chwili, mimo że ma poczucie zagrożenia.

I nie waha się również Gerwald Lamprecht, mimo że jego nienawiść jest równie silna.

Nie waha się też Hubert Oberwaldner.

I trzech rywali, ba!, wrogów, zanoszą nieprzytomnego chłopca do jego pokoju.

W Jettenbrunn zapanował spokój.

No, na kilka godzin.

## 28 GORĄCZKA

Ręka na czole Karla była zimna.

Zimna i drżąca.

– Ma gorączkę, wysoką – orzekł doktor Hofstätter.

– Czy to nie grypa? – spytał Alois Daxberger. – W lecie też się zdarza.

– Może to z nerwów – zasugerował Johann Heidemann.

Poza nimi przy Karlu nie było nikogo, a to, co widzieli, bardzo ich zaniepokoiło: zachowanie chłopca – jakby był odurzony – brak apetytu, spieczone wargi, zaczerwieniona skóra, drżenie, a nawet drgawki. Wszystko to można było wprawdzie uznać za objawy wysokiej temperatury, ale brakowało symptomów konkretnej choroby. Gardło nie było zaczerwienione, chłopiec nie kaszłał, nie miał kataru, gruczoły chłonne nie były powiększone.

– Co mu jest? Czy to coś poważnego? – wypytywał zmartwiony ojciec.

– Gorączka sama w sobie nie jest chorobą – wyjaśnił Hofstätter. – Wskazuje na to, że organizm się broni. Pytanie brzmi: przed czym musi się bronić organizm Karla? Może jest czymś przeciążony, może potrzebuje spokoju, wycofania się, a jego ciało to sygnalizuje, i to zdecydowanie. W każdym razie chłopiec musi nabrać sił.

Karl nie nabierał sił. Był coraz słabszy, więc doktor Hofstätter, mimo obaw, poszedł przez złudnie spokojną wioskę do domu po swój sprzęt lekarski. Wróciwszy szczęśliwie, pobrał pacjentowi krew do badania, podłączył go do kroplówki, zaaplikował środki na obniżenie temperatury i zrobił zimne okłady.

Trzech mężczyzn, którzy nie ruszali się na krok od łóżka chłopca, stało się świadkami zdumiewającego zdarzenia: Karl przemówił. Wprawdzie szeptem, gulgocząc, ale przemówił. Z zamkniętymi oczami, może przez sen, może przebywając w innym wymiarze.

Zadrzał. Głowa, wargi i gałki oczne się poruszyły. Górne powieki opadły, czoło pokryło się potem, z ust pociekła ślina i Karl wymamrotał słowa, w nieznanym języku, nieznannej treści.

A potem zamilkł i zapanowała cisza. Nie odzywali się również trzej mężczyźni.

Trzej samotni mężczyźni połączeni w przedziwny, spokojny sposób przez walczącego ze sobą nastolatka.

Nawet krótka wizyta śledczego Horsta Schuberta nie rozerwała tego trójprzymierza.

– Niech się pan wynosi. – Inicjatywę przejął doktor Hofstätter. – Chłopiec jest ciężko chory i potrzebuje absolutnego spokoju. Swoje pytania może pan zadać jutro.

– W takim razie przyjdę jutro. – W głosie śledczego zagrzmiała groźba.

Wieś spowiła ciemność, w domach zamknięto okiennice i zaryglowano drzwi, i kiedy trzech mężczyźni przebrali i nakarmili zupą mokrego od potu chłopca, zrobiło się już późno.

Bardzo późno, gdy Karl wreszcie spokojnie zasnął – jak się w każdym razie wydawało opiekującej nim trójce – Alois Daxberger wrócił do siebie, doktor Hofstätter poszedł do swojego domu, a Johann Heidemann usiadł przed butelką wina.

Wkrótce spało już całe Jettenbrunn.

A Karl się obudził.

Przetrzymał swoją wewnętrzną walkę.

I wiedział, dobrze wiedział, co robić.

Krzyk w środku nocy.

Ogień. Smród. Ktoś zobaczył, poczuł, wybiegł z domu i podniesionym, rozpaczliwym głosem wyrwał ze snu całą wieś.

Przed domem lekarza leżą oblane benzyną zwłoki zwierząt. Gęsty dym unosi się, zasłaniając okno, za którym stoi doktor Hofstätter, a na jego twarzy maluje się przerażenie, lęk, że chodzi o niego, że czeka go lincz.

– Albrecht! – krzyczy ktoś, kto nie ma wprawdzie wideł, łopaty, kosy ani strzelby, ale jest gotowy do działania.

– Albrecht! Popatrz tutaj! – wołają ludzie w piżamach i nocnych koszulach, wpatrując się w fasadę domu lekarza.

W końcu wychodzi, niepewnie, dla obrony trzyma przed sobą stary rewolwer, widzi wyciągnięte w jego stronę ręce, ale wskazujące nie na niego; rozgląda się i zamiera – opuściwszy broń, ramiona, głowę.

Napis jest czerwony. Krwawoczerwony. Odręczny. Wielkie litery, wyraźne jak nawoływanie puchacza.

CHODŹ DO MNIE.

– To ty!

– Ty zabiłeś te zwierzęta!

– I wymazałeś ścianę tylko po to, żeby wciskać nam bajkę, że to robota Charlotte! – Niemożliwe do zniesienia napięcie wreszcie znajduje ujście, niepohamowane, bo Horsta Schuberta nie ma. Brakuje głosu prawa i nie odzywa się żaden głos rozsądku; poza bronią doktora Hofstättera.

– Wynoście się! Naprawdę nie wierzę, że...

A gniew tłumu rośnie.

– Strzelaj! Proszę, strzelaj! – woła Gerwald Lamprecht, występując przed tłum. – Tym razem przynajmniej zamordujesz przy świadkach, ty nędzny tchórz!

– I nie będziesz nas więcej oszukiwał!

– Nie będziesz nas już straszył.

– Musicie mi uwierzyć... – Doktor Hofstätter opada na kolana. – To nie ja!

Zerwał się wiatr i jakby wskazywał kierunek, opary dymu śmierdzące spalonym mięsem i sierścią, krwią i spirytusem popłynęły nad głowami mieszkańców Jettenbrunn w stronę stawu.

– Więc udowodnij to! – Hubert Oberwaldner podejmuje decyzję. – Zrób to, co tu jest napisane!

Przez chwilę panuje zupełna cisza, słychać tylko szum ognia, nikt nie kaszle, nie odchrząkuje.

W końcu dzieje się to, co nieuniknione.

– Właśnie! Wejdź do stawu, na naszych oczach!

– Skoro to nie byłeś ty, to Charlotte cię wzywa!

Alois Daxberger siedzi w wózku inwalidzkim, z Johannem Heidemannem za swoimi plecami i tłumem mieszkańców wsi przed sobą; nie wierzy ani własnym oczom, ani uszom.

– Do stawu z nim! Do stawu! – Słyszysz stary człowiek, ale brzmi to dla niego tak, jak „Ukrzyżujcie go! Ukrzyżujcie go!”.

Bo jest oskarżony, jest tłum i są oprawcy. Ale zanim ta rozpaczliwa, bezlitosna horda chwyci doktora Hofstättera za chude ramiona, żeby go wlec wśród wrzasków i wycia, ten sam się podnosi, otrzepuje z kurzu spodnie piżamy, poprawia kołnierzyk koszuli, jakby to była marynarka jego najlepszego garnituru, i bez słowa rusza przed siebie. A za nim, jak przed laty w dniu pogrzebu Charlotte – kondukt mieszkańców Jettenbrunn, cała wioska, mężczyźni i kobiety, starzy i dzieci. Brakuje tylko Karla. Ale i on jest z nimi.

– Daruję to sobie – mówi Alois Daxberger i Johann Heidemann odwozi go do domu, podczas gdy rozjaśniający noc, grzmiący pochód ich sąsiadów zmierza w stronę stawu.

Johann wpada jeszcze pośpiesznie do własnego domu, zaniepokojony zagląda do ciemnego pokoju syna. Widzi wybrzuszoną kołdrę. Pod nią skulony Karl, śpiący – myśli Johann Heidemann i idzie w kierunku światła.



## 29 SPOJRZENIE

Noc oświetlały płonące pochodnie. Niebezpieczna, milcząca armia podążała w stronę lasu, rzucając na trakt cienie kołyszące się w tę i we w tę jak w cichym balecie, dopóki światła nie zniknęły za drzewami. Tu i ówdzie błyskał jeszcze jaskrawy płomień pochodni, ale w końcu widać było tylko matową lunę ponad wierzchołkami drzew, a wioska opustoszała.

Poszli tam wszyscy poza Aloisem Daxbergerem. Alois został, i to wcale nie dlatego, że chciał sobie czegoś oszczędzić. Przeciwnie, miał pewne podejrzenie i zamierzał je sprawdzić. Już tak długo znał tego chłopca, chłopca, którego traktował jak własne dziecko.

Tak jak dawno temu, gdy Karl mały i bezbronny, leżał w łóżeczku i darł się wniebogłosy, tak teraz Alois zsunął się z wózka inwalidzkiego i wyczołgał na zewnątrz. Z sąsiedniego domu znowu uciekło jedno z rodziców, tyle że teraz nie było pozostawionego dziecka, które nagle by się uspokoiło. Łąki dzielącej dom wiejskiego nauczyciela od domu Heidemannów nie pokrywał teraz śnieg; wszystko było inaczej, a i Alois Daxberger postarzał się i stał się bardziej kruchy. Bolały go plecy, mięśnie ramion poddały się starczemu zwiotczeniu, a serce było tak słabe, że z trudem posuwał się naprzód. I nawet, jeśli zsuwając się po łące, miał wrażenie, że jak w dzieciństwie słyszy głos brata: „Szybciej, Alois, szybciej!”, i matki: „Uważaj, synu!”, to głos w jego wnętrzu wołał: „Nadchodzi już czas, żeby iść do domu!”.

Z wielkim trudem uniósł się na progu Heidemannów, żeby sięgnąć do klamki, otworzył drzwi i zamknął je za sobą.

– Karl, jesteś w domu?! – zawołał, czołgając się przez salon do pokoju chłopca.

Gdy dotarł do łóżka Karla, ściągnął kołdrę na podłogę i zaczął płakać. Gorzkimi łzami. Łóżko było puste, ale on miał przed oczami pole bitwy i zabitych chłopców. To wszystko było tak straszne i tak bolesne, jak przypuszczał.

Resztkami sił Alois Daxberger doczołgał się do kąta dziecięcego pokoju.

Światła pochodni rzucały żółtopomarańczowe blaski na gładką powierzchnię stawu, jakby chciały tę spokojną wodę objąć i ogrzać. Jeśliby popatrzeć na to z boku, nastrój mógł się wydawać refleksyjny. Ludzie, którzy tej cieplej letniej nocy zgromadzili się na brzegu, wszyscy lekko ubrani, byli milczący i przepelnieni oczekiwaniem. Ale wewnątrz tego tłumu nastrój nie mógł być już bardziej przynębiający.

Doktor Hofstätter, przez nikogo nienaciskany, wystąpił naprzód i pewnym krokiem podszedł do samego brzegu. Rozpiął górę piżamy, zrzucił ją, a potem ściągnął spodnie. Przez chwilę stał na żwirku nagi, odwrócony plecami do swoich prześladowców, zdany na ich łaskę, ale wyprostowany. Niemal dumny.

A potem ruszył naprzeciw swojemu przeznaczeniu. Ostrożnie stawiał jedną

stopę przed drugą, aż woda sięgnęła mu do ramion; wtedy zaczął płynąć, z opanowaniem, w równym rytmie. Daleko było mu jednak do spokoju. Co się stanie? Tu, w stawie, i tam, na brzegu. Wszędzie niepewność, zagrożenie. Każdy ruch ramion i nóg był walką. Minął pas trzciny i dopłynął do miejsca, w którym podwodne rośliny sięgały aż do powierzchni. Ich liście smagały go po nogach, a może to były ryby. Coraz szersze kręgi wody odsuwały jego sunące po powierzchni ciało, coraz dalej było do pochodni, coraz bliżej do mroku.

I nagle nastąpiło światło. Z niczego. Przed oczami mieszkańców Jettenbrunn i pod doktorem Hofstätterem. Przez tłum przeszedł szept, przez ciało lekarza – dreszcz. Nie miał czasu, żeby zawołać o pomoc, żeby w ogóle wydobyć jakiś głos. Żaden z obserwatorów nie miał odwagi się odezwać albo choćby zrobić kroku. Wszyscy powoli się cofali, jakby jakaś bestia wystąpiła z głębin i szukała swojej ofiary.

Z głębin nic jednak nie wystąpiło, lecz w nich zniknęło, z całej siły pociągnięte w dół. Widać było tylko dochodzące z dna nieruchome światło. Nie spuszczać z niego wzroku, mężczyźni przygarniali swoje kobiety, kobiety tuliły swoje dzieci. A tymczasem światło stawało się coraz słabsze.

– Dosyć tego! – krzyknął Johann Heidemann i nie zrzuciwszy ubrań, rzucił się do wody. – Chyba że wolicie wierzyć w klątwy!

– Johann, nie! – próbował go ktoś powstrzymać, ale ktoś inny zawołał:

– Jeśli nie on, to kto?! Jeśli to Charlotte, to jemu pewnie nic nie zrobi!

Johann popłynął tak szybko, jak potrafił, do miejsca, gdzie bladło światło, i zanurkował.

Przed sobą zobaczył zanurzone, pozbawione życia ciało lekarza, ciągnące za sobą welon, który zaczynał się na piersi i znikał w oddali. Krew.

Chciał podplynąć bliżej, i wtedy uderzył go błysk, prosto w twarz, nagły, precyzyjny. Oślepiony Johann płynnie zanurzył się głębiej; minął nieruchomego doktora Hofstättera z przebitym sercem, jego nogi i płynął dalej, szukając źródła światła, które właśnie zgasło. Pod nim była tylko ciemność, i pustka. Nic nie widział, niczego nie wyczuwał. Nagle jego ręka natrafiła na biegnącą z dołu linkę; zawisł na chwilę bez ruchu, a potem zaczął ciągnąć, coraz mocniej i mocniej – nie w górę, lecz w dół. Ciągnął, dopóki nie zobaczył, że w jego stronę płynie ciało lekarza, dopóki własne ciało nie dało mu znaków, że musi przestać i zaczerpnąć powietrza. Ruszył więc w górę. Zbliżająca się jasna powierzchnia stawu, zalana blaskiem pochodni, wydała mu się niemal przyjazna.

Od tej jasności zaczęła się powoli, ostrożnie odrywać ciemna, groźna plama, jak drapieżna ryba. Tylko że to, co widział, w niczym nie przypominało ryby: miało ręce, nogi, głowę, tułów. Ale nie przypominało też Charlotte. Nie miało długich włosów, filigranowej sylwetki. Wiedział również, że tak nie wyglądają duchy, tak jak wiedział, że jeśli chce żyć, to niezależnie od tego, co ten ktoś

zamierza, on, Johann, potrzebuje tlenu. Musiał się wynurzyć.

Zostały trzy metry... jeszcze dwa... przed nim cichy gość... nogi... brzuch... palce jednej ręki przesuwające się po linie... w drugiej nóż rzeźnicki... tylko metr... twarz...

Johann z wrzaskiem przeciął powierzchnię wody.

Z ulgą krzyknęli także mieszkańcy Jettenbrunn. Tyle że w jego głosie nie było ulgi.

– Co tam jest?! – zawołał ktoś z brzegu.

Ale Johann już z powrotem się zanurzył, tylko trochę, tyle zaledwie, by mieć pewność, co widział przed chwilą: sięgającą ponad lustro wody rurkę, okulary do nurkowania, czarne źrenice, oczy syna. Starał się jak najdłużej wytrzymać w takiej pozycji, by mieć to wszystko na wysokości wzroku i w ten sposób nie tracić kontaktu z własnym dzieckiem. Wpatrywał się w Karla, jakby chciał zajrzeć do jego wnętrza i wyczytać kryjącą się tam istotę zła, znaleźć odpowiedzi na pytania: Dlaczego? I kogo jeszcze? Dziadków, Veronikę Lamprecht? Nawet rodzoną matkę?

Ale widział tylko radość, życzliwość. Ani śladu przerażenia, szaleństwa, wstydu, skruchy. Nic nie wskazywało na to, by zdawał sobie sprawę, że zrobił coś potwornego.

Johannowi mąciło się w głowie. Czuł ból, płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Jego czas spędzony z synem pod wodą powoli się kończył. Podobnie jak czas na powierzchni.

Koniec nierozzerwalnie związany z początkiem, bez żadnych czarów.

Ledwie dotarł do brzegu, wśród mieszkańców wioski nastąpiło poruszenie. Każdy chciał wiedzieć: kto, co, gdzie, jak?

Nie uzyskali żadnej odpowiedzi. Milczenie i kamienna twarz, która błyskawicznie się postarzała; blada, z zapadniętymi policzkami i głębokimi zmarszczkami. Cokolwiek Johann Heidemann zobaczył, musiało to być straszne – co do tego nikt nie miał wątpliwości. W tłumie zrobiło się głośno, ludzie zaczęli rozmawiać, a on siedział skulony na żwirku i milcząco patrzył na ciemny staw.

Zresztą nie musiał nic mówić. Wkrótce i tak wszystko wiedzieli. No bo kogo mógł ujrzyć w stawie ten znany z tego, że nie wierzył w Boga, nie chodził do kościoła, człowiek, który wyszedł z wody z poszarzałą twarzą i przeżegnał się na oczach całej wsi? Ta nowa wiedza złapała ich wszystkich w pułapkę, a jednocześnie uwolniła. Przecież w tej skurczonej społeczności wszyscy znali się osobiście i mogli się teraz policzyć, bez specjalnego zachodu. Krótka procedura, i sprawa się wyjaśniła – byli tu wszyscy obywatele Jettenbrunn. Wszyscy, oprócz starego Daxbergera i Karla, który z gorączką został w domu.

A co zatem idzie, nikt z tutejszych nie mógł być mordercą. Pozostawali więc żyjący zamiejscowi i miejscowi zmarli.

To, co dotąd było tylko nieprzyjemnym przypuszczeniem, tłumionym przeczuciem, teraz stało się pewnikiem. Pewnikiem, który nie dopuszczał do głosu ani rozsądku, ani żadnych innych argumentów:

Ich staw nie będzie już nigdy miejscem, w którym mieszkańcy Jettenbrunn będą mogli spędzać wesołe popołudnia, kąpać się, urządzać pikniki, umawiać się na schadzki, organizować wyścigi pontonów. W jego głębinach bowiem czyha śmierć o imieniu Charlotte.

## 30 BÓL

Roztrzęsiony Karl idzie przez noc, wciąż widząc spojrzenie ojca, czując w sercu ciepło i łączącą go z ojcem więź. W końcu mógł mu przekazać dar.

Wyszedł z wody po drugiej stronie stawu, zasłonięty przez trzciny, i ruszył prosto do domu. To była taka udana noc...

Uwolnił doktora Hofstättera od jego cierpienia i poczucia winy. Wystarczyło pociągnąć go w dół i zadać cios prosto w serce. Bez walki, miotania się, bez bólu.

Uwolnił ojca od wszelkich podejrzeń.

Matkę od zapomnienia. W pewnym sensie obudził ją do życia, uczynił nieśmiertelną.

Teraz śpieszy się, zatrzymuje się tylko na chwilę przy starej jodle. W wielkiej dziurze w pniu zawsze chowa ubrania i nóż, ale dzisiaj chce coś stamtąd zabrać, żeby podarować to ojcu. Choć minęło już tyle lat, nie zapomniał słów doktora Hofstättera: „Dziecko pozostaje w sercu matki na zawsze. Miłość nie przemija”.

Trzymał je przez kilka ostatnich dni w napełnionym wodą ze stawu słoju po ogórkach. Jeśli to, co powiedział doktor, jest prawdą, to to niewidzialne coś z Charlotte musiało pozostać w sercu jej matki, babci Gertraud, więc teraz Karl w pewien sposób niesie matkę na rękach, niczym klejnot, do domu, żeby ją dać załamanemu, wciąż jeszcze pogrążonemu w żałobie ojcu.

Wzruszony Karl schodzi z traktu w gęste zarośla; nie czuje wbijających się w ciało cierni dzikiej róży ani kolców jeżyn, czuje tylko przepelniającą go bezgraniczną radość. Jest tak szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwe dziecko, któremu udało się własnoręcznie zrobić coś, co może komuś podarować – rysunek, babkę z piasku, kasztanowego ludka, latarnię na dzień świętego Marcina. Niech zapali się moje światło. I zapala się. Karl dochodzi do domu; w dziecięcym pokoju jest otwarte okno, pali się światło, prawdziwe. Rzeczywistość spada na niego i więzi jak siatka motyla. Wyraźnie słychać dochodzące z domu głosy, uderzenia dwóch serc, jedno bije mocno, drugie ledwie, ledwie.

– Zadzwońię po pogotowie, Alois. Zabiorą cię do szpitala i cię uratują.

– Już od lat czekam na ratunek. I jedyny ratunek, jakiego sobie życzę, właśnie nadchodzi. Czuję to. – Chwila milczenia, a potem Alois pyta: – Czy Karl nie powinien już być w domu?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Johann Heidemann głosem pozbawionym siły i nadziei. – Nie wiem, gdzie on się włóczy, a przede wszystkim nie wiem, co jeszcze może zrobić... Alois, spłodziłem potwora.

Potwora? Karl nic nie rozumie: czuje, jak budowla, którą stworzył w swoim umyśle i nazwał domem, zostaje zburzona i zdeptana. Aż musi się oprzeć o ścianę, ale robi to zbyt gwałtownie i nieuważnie.

– Słyszałeś? Alois, słyszałeś ten dźwięk na zewnątrz?

Z pokoju dochodzi odgłos kroków. Johann Heidemann odsuwa ramię, na której rozpięta jest siatka chroniąca przed insektami, i patrzy przez okno okolone dzikim winem. Karl przywiera do ściany i wstrzymuje oddech.

– Wrócił? – pyta z niepokojem umierający człowiek.

– Nie, to pewnie wiatr.

Johann Heidemann zamyka okno, a Karl oczy, żeby skoncentrować się na dochodzących z domu głosach.

– On nie jest potworem. – Alois Daxberger nie ma już sił, ale brzmi przekonująco. – Jest dzieckiem. A dzieci tym się właśnie różnią od nas, dorosłych, że potrafią całym sercem, z pełnym oddaniem i entuzjazmem w coś wierzyć. Widziałem dzieci robiące straszne rzeczy. Dzieci i ich myśli można kształtować jak plastelinę. Nie wiem, dlaczego Karl tak się zachowuje, nie wiem, co dzieje się w jego głowie, co jest z nim nie w porządku, a co ma w sobie dobrego, ale on nie jest zły. Jestem tego pewien.

– Alois, nieważne, co jest z nim nie w porządku, a co ma w sobie dobrego, ważne jest to, co zrobił. To, co być może zrobił Charlotte, swojej rodzonej matce!

Gwiazdy świecą jasno nad Jettenbrunn, w powietrzu wciąż czuje się upał dnia, który dawno się skończył. Karl, oparty o ścianę pokrytą dzikim winem, osuwa się na ziemię i z mocno zaciśniętymi oczami stara się rejestrować tylko szum i dudnienie w swojej głowie, próbując ignorować głosy dochodzące z domu. Daremnie. Docierają do niego, maltretują, przeszywają jak strzały. Słyszy, jak Alois chce załagodzić gniew ojca, jak opowiada, że już dawno zwrócił uwagę na szczególne zainteresowanie Karla wszelkimi aspektami śmierci, że przecież te jego rysunki niby-śpiących ludzi były wyraźnymi znakami.

Głosy Aloisa i ojca stają się coraz cichsze, coraz dłuższe są chwile milczenia, kiedy ciszę przerywa tylko tykanie zegara mierzącego upływający czas.

Karl czuje zmęczenie. Ręce i nogi wydają mu się ciężkie, jakby je skrzepowano żelaznymi łańcuchami; całe ciało jest jak młyńskie koło, które przestało się kręcić, i nic nie jest go w stanie wprawić w ruch, ani w przód, ani w tył. Cykanie świerszczy brzmi jak odgłos piły; zwabione światłem komary i ćmy uderzają o okno, szeleszczą poruszane wiatrem liście drzew owocowych i winorośli. Karl cierpi. Czuje jeden wielki ból, w sobie i wokół siebie.

I tak mijają minuty.

– Hans, musisz iść go poszukać – odzywa się w końcu zmartwiony Alois.

– I zostawić cię tutaj, żebyś umarł. Mowy nie ma!

– Wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Tak musi być i wcale nie chcę, żeby było inaczej. Zanieś mnie do mojego domu. Pomyśl tylko, że Karl mógłby wrócić, a ja bym... ja bym był... już... – Stary człowiek mówi z coraz większym trudem.

– Zostanę z tobą, Alois. Karl sobie poradzi, jestem tego pewien. To nie

pierwszy raz, kiedy o tej porze nie ma go w domu.

– Czy ty nie rozumiesz, że nie masz innego wyjścia? Masz na to czas tylko dzisiaj. Jutro będzie za późno. Jutro ma cię tu nie być. Obiecuj mi, że zabierzesz stąd Karla, zanim wyrządzi więcej krzywd... i zanim ludzie skrzywdzą was. A tak się stanie, uwierz mi. Jeśli go nie znajdziesz, i tak musisz się stąd wynieść... i nie mówić nikomu, że chłopiec zniknął. Rozumiesz? Jeśli powiesz, wszyscy będą wiedzieli, że to on... wszyscy. I to będzie jego koniec. A życie Karla jest ważne... jest...

Na zewnątrz docierają głębokie westchnienia. Potem Alois nie wydaje już żadnych dźwięków, w przeciwieństwie do Johanna. Karl słyszy nerwowy oddech ojca; podeszwy jego butów szurają o parkiet jak kopyta uwiązane na wybiegu konia. W tonie i słowach jest coraz więcej mocy, gdy mówi:

– Co z ciebie za Bóg, skoro pozwalasz dzieciom na robienie takich strasznych rzeczy?!

Serce w rękach Karla staje się nagle ciężkie. Ciężkie i bezwartościowe. Skoro dzieci są zawsze w sercach swoich matek, to to, które trzyma, nie jest mu potrzebne do tego, by był w sercu Charlotte, na zawsze. Więc co ma z nim zrobić? Iść z wyciągniętymi rękami i łzami, które pozostawiały jasne ślady na ubrudzonej twarzy, do ojca? Ojciec wcale tego nie chce, ani jego wyciągniętych rąk, ani łez, ani serca. Nikt by nie chciał. I nikt by nie zrozumiał.

Karl drży z zimna, choć czuje ciepło wyzwolenia, do którego właśnie doszło w jego pokoju, czuje, jak spokojna może być śmierć, gdy nadchodzi sama z siebie, a Alois Daxberger wydaje mu się teraz tak bliski, jakby w drodze do królestwa zmarłych naddał drogi, żeby przejść przez siedzącego pod oknem chłopca. Ale nawet to nie złagodziło zimna przenikającego Karla.

W nim też coś umarło.

Przywierając bez ruchu do pnącego się po murze dzikiego wina, widzi, jak ojciec wychodzi z za rogu domu, niosąc ciało już puste, i idzie pod górę do domu. Karl już wie: nawet jeśli ojciec zacznie go szukać, i tak go nie znajdzie. Nigdy go nie znajdzie.

Jeśli bycie dzieckiem oznacza, że masz przynajmniej jedną osobę, która cię chroni i karmi, która się o ciebie troszczy i podejmuje za ciebie decyzje, to w tym momencie Karl podejmuje decyzję, że nie chce już dłużej być dzieckiem i odejdzie. Zostawi dom, w którym przyszedł na świat, cały swój dobytek, część swojego serca i całe serce babci. Coś jednak zabierze – lisy, borsuki, kuny – i to jeszcze tej nocy. Wszystko jest jednością, krwiobiegami.

Uciekaj, natychmiast! – nakazuje mu natarczywy wewnętrzny głos. Karl podnosi się i patrzy na las.

Nie może go czekać nic, czego nie zna. Zmieni się tylko jedno: kierunek. To droga tylko w jedną stronę, bez powrotu. I Karl rusza w tę drogę, tak jak stoi,

z pustymi rękami.

Johann Heidemann wyrzął przez okno. Położył już wiejskiego nauczyciela na jego łóżku i przywrócił mu godność: ścierką do naczyń przewiązał głowę, żeby szczeka nie opadła; zdjął z ciała Aloisa, które stało się zaskakująco ciężkie, zalane moczem spodnie i włożył czyste. Kiedy przykrywał go po szyję kołdrą – z czułością, jakby to było śpiące dziecko – kątem oka zauważył jakiś ruch. Na dole, przy jego domu, koło okna dziecięcego pokoju, w którym wciąż paliło się światło. Niczym w teatrze cieni jakaś sylwetka oderwała się od pokrytej bluszczem fasady i ruszyła w stronę sadu.

– Karl... – Johann od razu wiedział, że to on. I nic nie wskazywało na to, że Karl pojawił się tam w tej chwili i że nie usłyszał tego, co zostało powiedziane. – Nie!

Zrozpaczony Johann wybiegł do przedpokoju, pchnął z całej siły drzwi i wypadł na zewnątrz.

– Karl!

Karl słyszy trzaśnięcie drzwi w domu Aloisa Daxbergera. Słyszy swoje niepewnie wypowiedziane imię. Zatrzymuje się i powoli obraca.

– Zaczekaj! – woła jego ojciec, który wyraźnie się stara nie robić hałasu, żeby nie obudzić nikogo we wsi.

Ale żadne wołania, żadne prośby nie mogą zmienić decyzji Karla. I Johann Heidemann, jakby o tym wiedział, zamilkł. Długo stoją twarzą w twarz i chociaż dzieli ich duża odległość, są wystarczająco blisko siebie, by móc się pożegnać. Syn cofa się krok za krokiem. Ojciec powoli unosi rękę i macha nią bezradnie. Karl nie odpowiada, odwraca się.

Czas ruszyć w drogę.



## 31 ROZSTANIE

Karl uciekał, coraz szybciej. Na początku podążał drogami, które znał, ale mimo to wydawały mu się zupełnie obce. Miejsca, z którymi się żegnał, widział innymi oczami, i to, co stare, okazywało się nowym, jakby ostatnie spojrzenie chłopca wyłuskiwało z nich to, czego dotąd nie widział.

Na tyle szybko, na ile pozwalały mu zmęczone nogi, dotarł do swojej jodły, wyjął z dziury nóż i ruszył dalej; minął kaplicę Świętej Marii, po raz ostatni przeszedł wzdłuż brzegu stawu i zagłębił się w las. Kiedy drzewa zaczęły się przeredzać, Karl zobaczył przed sobą rozległą równinę sięgającą aż do odległych wzgórz, z Górą Kalwaryjską, na której stoku, aż po sam szczyt, ustawiono stacje upamiętniające mękę Chrystusa. Chłopiec nie zatrzymywał się, ale jego krok stał się wolniejszy, gdy mijał numerowane i opatrzone podpisami obrazy, których nigdy dotąd nie widział. Obrazy-drogowskazy.

*1. Jezus na śmierć skazany.*

*2. Jezus bierze krzyż na ramiona swoje.*

*3. Pierwszy upadek pod krzyżem.*

*4. Jezus spotyka swoją Matkę.*

*5. Szymon Cyrenejczyk pomaga dźwigać krzyż Jezusowi.*

Karl zaczyna się wlec, jakby sam niósł na ramionach ciężar, idzie jednak dalej wijącą się ścieżką.

*6. Weronika ociera twarz Pana Jezusa.*

*7. Drugi upadek pod krzyżem.*

*8. Jezus pociesza płaczące niewiasty.*

*9. Trzeci upadek Pana Jezusa.*

Karl musiał się zatrzymać; spodnie i koszula lepiły mu się do obolałego ciała, a włosy opadły na czoło. Odwrócił się i zobaczył w ciemności światła – Jettenbrunn. Małe i spokojne.

*10. Jezus z szat obnażony.*

### *11. Jezus do krzyża przybity.*

Na przybitym do drewna ciele zobaczył krew, lecz w twarzy, zamiast bólu, widać było spokój. Czy malarz zapomniał o bólu, czy nie przedstawił go celowo? Dlaczego? Bo może tam nie było bólu? Bez bólu! – słyszy Karl wewnętrzny głos. Bez bólu. Bez bólu!. Jak w transie, mając przed oczami tylko szczyt góry, z trudem oddychając, czując pieczenie w płucach i stopach, nieprzyzwyczajonych do noszenia ciężkiego ciała podczas tak długich marszów, Karl idzie dalej. Wszystko w nim krzyczy, żeby wracał, ale wola mówi: „Nie!”.

### *12. Jezus umiera na krzyżu.*

### *13. Jezus z krzyża zdjęty.*

### *14. Jezus złożony do grobu.*

Nad Karlem nie ma już nic poza niebem, gwiazdami, nieskończonością. Ciężko dysząc, walczył ze słabością, starając się nie upaść; drżąc, stał, w końcu zaś zaczął wolno i równomiernie oddychać, aż doszedł do siebie.

Nie oglądając się wstecz, patrzył przed siebie, na niezapisaną kartę swojej przyszłości.

Ruszył w dół. Wkrótce poczuł ukłucia w kolanach. Siłę, z jaką wyruszał, zastąpiło zmęczenie, a odwagę – rozpacz. Miał wrażenie, że spada, jakby się zdobył na wskoczenie w przepaść, nie mając pojęcia, jak jest głęboka. Coraz cięższe nogi, coraz bardziej przygnębiające pytanie: dokąd? Wszystkie znane mu dźwięki nagle nabrały innego znaczenia; wydały się groźne. A noc była nimi przepełniona. Z szeroko otwartymi oczami i dłońmi przyciśniętymi do uszu Karl stawiał kolejne kroki. Mimo wycieńczenia nie zatrzymywał się, jakby jego nogi same zdecydowały, że zignorują ciężar reszty ciała. Czegoś takiego jeszcze dotąd nie doświadczył. Alois Daxberger, kiedy jeszcze żył, opowiadał mu oczywiście o morderczych marszach, o objuczonych żołnierzach, którzy wlekli się z zamkniętymi oczami, nie reagując na mówiących do nich towarzyszy, aż w którymś momencie wyłamywali się z szeregu i zataczając się, docierali do najbliższych krzaków, żeby paść na ziemię i kontynuować to, co robili od dłuższego czasu, idąc – sen.

I tak stało się z Karlem. W pewnej chwili zszedł z górskiej ścieżki i położył się na uprawnym polu, jakby było miękkim łóżkiem. Wokół rosły słoneczniki wysokości dorosłego człowieka. Gdy ich żółte buzie zwróciły się na wschód – ku

ich bóstwu – Karl wciąż jeszcze spał.

Spał, kiedy śledczy Horst Schubert po odnalezieniu zwłok doktora Hofstättera wysłuchiwał relacji roztrzęsionych obywateli Jettenbrunn o tym, co zdarzyło się w nocy.

Spał w czasie przesłuchiwania jego wolnego już od podejrzeń ojca i potem, gdy ten zapakował do bagażnika swojego samochodu najpotrzebniejsze rzeczy i wyjaśniwszy wszystkim, że zabiera wciąż chorego syna, żeby zapomnieć i rozpocząć gdzie indziej nowe życie, opuścił wioskę.

I spał, kiedy mieszkańcy Jettenbrunn rozpoczęli czuwanie przy zwłokach w domu Aloisa Daxbergera.

A dzień właśnie wtedy się kończył.

Tak jak sen Karla. Nagle, z palącym bólem. Chłopiec zbyt długo błąkał się po labiryncie własnej wyobraźni, zapominając o głodzie i pragnieniu. Teraz jedno i drugie dało o sobie znać. Ocknął się natychmiast, z nabiegłym krwią odciskiem zębów na ręce i zaczerwienioną od słońca twarzą. Świat fantazji zniknął, została tylko rzeczywistość – głód i pragnienie. Nie było nikogo, komu mógłby podsunąć pusty talerz. Karl miał teraz przed oczami, jasny jak słońce, kolejny cel swojej podróży – znaleźć jedzenie i wodę. I to szybko. Szybko i skrycie, jak drapieżnik, bał się bowiem, że ktoś go zobaczy, a najprędzej ojciec, który na pewno go szukał.

Musiał więc ruszyć w drogę. Kryjąc się w lesie, szedł przed siebie, byle dalej od wioski. Jego wewnętrzny kompas wskazywał kierunek: z dala od hałasów, tam gdzie jest cicho, tam gdzie znajdzie jedzenie.

## 32 OGRÓD EDENU

O dziwo, poradził sobie, wdzięczny za to, co pod koniec lata miała do zaoferowania hojna natura, za to wszystko, co wokół płynęło i dojrzewało. Potoki, jagody, uginające się pod ciężarem owoców grusze, renklody, jeszcze trochę kwaskowe jabłka, orzechy laskowe. Objadał się jak chomik, jakby musiał zbierać zapasy na nieznaną drogę, która go czekała, przez las, byle dalej.

Im dłużej szedł, tym więcej znajdował – dzięki doświadczeniu w poruszaniu się w ciemności i w nocnych polowaniach, które ułatwiało mu teraz orientowanie się w otoczeniu i dodawało wiary w jego dar. Dar pozwalający mu nie tylko pozostać niewidzialnym, lecz również działać tak jak leśne zwierzęta. Niemal w stanie euforii szedł przed siebie, dopóki zmęczone nogi nie zmuszały go do postoju.

Następny dzień, pochmurny, znowu spędził na polu słoneczników, po części z przyzwyczajenia, po części ze względów bezpieczeństwa. Kto miałby ochotę spacerować między niekończącymi się, wąskimi rzędami tych roślin? – przyszło mu do głowy. I tak jak żółte kwiaty zwracały przyjaźnie swoje uśmiechnięte buzie do słońca, tak nieprzyjazny był świat wokół nich.

Karl leżał, skręcając się w bólach brzucha. A kiedy nie leżał, kuczał między grubymi łodygami, z piekącą pupą, jakby jego ciało chciało z siebie wszystko wyrzucić. Potem używał pokrytych szorstkimi włoskami liści, żeby wytrzeć tyłek, którego rany paliły żywym ogniem. Hojna natura wydała wyrok na oskarżonego o brak umiaru i dopóty twardą ręką wymierzała sprawiedliwość, dopóki skulony chłopiec wreszcie nie zasnął i nie przespał całego dnia.

Obudził się zziębnięty, gdy nastąpiła noc, i ruszył w dalszą drogę. Wędrowka była ciężka i powolna w tej niesprzyjającej temperaturze powietrza. W Karlu narastała świadomość, że będą mu potrzebne rzeczy, których zdobycie będzie wymagało zbliżenia się do ludzi – ubrania i czysta woda.

Nie musiał długo szukać.

Pierwsze gospodarstwo, które zobaczył, gdy dotarł do skraju lasu, wyglądało obiecująco; nigdzie nie paliło się światło, tylko w jednym z okien zobaczył niebieskawy odblask telewizora. Na ścianie domu kran z wężem do podlewania ogrodu.

Jeszcze tylko kawałek i Karl wreszcie będzie mógł się napić.

Ale nie udało się. Pragnienie przytłumiło w nim ostrożność. Kiedy się zorientował i obrócił na pięcie, było już za późno. Uciekał, potykając się; upadł, potem znów biegł, nie dość szybko jednak, bo za plecami słyszał poruszenie, dzwonienie metalu i wściekłe szczekanie kundla, który wystrzelił ze swojej budy. Przerażliwe ujadanie przecięło ciszę, pozostawiając w niej dziurę. Pies szarpał się, próbując uwolnić z naprężonego łańcucha i szczerząc zęby. W sieni zapaliło się

światło i po chwili ktoś stanął na progu.

– Co tu się dzieje?! Rico, do budy!

Udręczony Karl biegł dalej, czując w głowie bolesne pulsowanie. Nagle usłyszał strzał, jak grzmot pioruna, świst wysoko nad głową.

– A kogo my tu mamy?

Kolejny strzał.

– Tu nie ma nic do wzięcia, poza kulką. Kapujesz? No to zjeżdżaj stąd!

Chociaż Karl był już głęboko w lesie, wciąż słyszał ujadanie psa.

Musiał nabrać sił.

Więc dalej, do następnych zabudowań.

Tym razem miał się już na baczności. W poszukiwaniu resztek jedzenia ostrożnie obszedł pogrążony w ciemności dom i zakradł się do stajni. Słyszał tylko skrobanie kopyt zwierząt, zgrzyt łańcuchów ocierających się o umocowania, chrząkanie i parskanie. Na parapecie jednego z okien leżał worek z resztkami czerstwego chleba, w odgradzonej części Karl znalazł pusty jutowy worek, stare koce, gumowce. Na hakach wisiało ubranie robocze. W małym pomieszczeniu obok stajni stały regały wypełnione słoikami z miodem, a pod ścianą lodówka, w której trzymano mleko.

Karla przepełniła wdzięczność, wręcz szczęście.

Następną kwaterę znalazł na najbliższym polu kukurydzy. Położył się tam ubrany w granatowy strój robotnika, przykrył kocami, a stopy owinął słomą i włożył w gumowce; pod głową umieścił wypełniony słoikami z miodem jutowy worek, który także owinął słomą. Żując ze smakiem twardy jak kamień czarny chleb, patrzył w niebo i liczył mknące po nim błyski – przesuwające się przed oczami Karla wspomnienia po gwiazdach, które dawno temu przestały istnieć – i po raz pierwszy podczas swojej ucieczki przez moment poczuł coś w rodzaju zadowolenia.

Został tam dwa dni, w trakcie których jeszcze raz skorzystał z darów pobliskiego ogrodu i krzaków jeżyn, zakradł się nocą podczas deszczu do stajni i wziął plastikową płachtę, żeby nie zmoknąć na polu; w ciągu dnia od czasu do czasu wystawiał głowę ponad kukurydzę i po raz pierwszy zobaczył w oddali ośnieżone już szczyty ciągnącego się przez cały horyzont łańcucha górskiego; patrzył na grę barw na niebie z jego milionami odcieni błękitu i wymyślał historie do kształtów, jakie przybierały przesuwające się po nim chmury – wielorybów, morsów, okrętów, statków kosmicznych, jednoroźców, mamutów – i zbierał siły, jakby wiedział, co go czeka.

### 33 CIEMNOŚĆ

Rozsądek ma wielu wrogów. Jest nim nie tylko głód, który może popychać ludzi do ryzykownych, beznadziejnych zachowań, lecz również jego zaspokojenie – mistrz w uwodzeniu. Jeśli bowiem człowiek poczuje się zaspokojony, dąży tylko do jednego: powtórzenia tego.

I Karl właśnie do tego dążył, chociaż zdawał sobie sprawę, że z powodu wrażliwego słuchu byłoby dla niego lepiej pozostać w ciszy i, tak jak planował, nie zbliżać się do ludzi. Ale nie potrafił się oprzeć. Jego ciało za bardzo spodobało się bogactwo. Bogactwo, które inni uznaliby za coś zwyczajnego – chleb, mleko, miód. Niestety, żadnej z tych trzech rzeczy nie można było znaleźć w lesie ani nie rosły one przy drodze. Zatem Karl w czasie swoich nocnych marszów zaczął się zbliżać do ludzkich siedlisk i nabierał w tym coraz większej wprawy; potrafił ukryć się przy najsubtelniejszej oznace, że może się na kogoś natknąć. Po samych dźwiękach dochodzących z domów, do których ścian przykładając ucho jak stetoskop, nauczył się rozpoznawać, ile wewnątrz jest osób, ile zwierząt i gdzie śpią. A kiedy już wiedział, że wszyscy zapadli w sen, szedł na podwórko na tyłach domu – najchętniej wybierał te, w których mieściły się sklepy spożywcze, rzeźnie, piekarnie – i nie mogąc się nadziwić, że ludzie wyrzucają takie dobre jedzenie, przeszukiwał pojemniki z odpadami, a także z makulaturą, wdzięczny za znalezione tam gazety i magazyny, a czasem nawet książki. Lektury, które dawały mu obraz tego, co się dzieje w świecie, mówiły wiele o ludziach, ich naturze, zachowaniach, myślach. Czytając o żądzy władzy, chciwości i próżności, które pociągają za sobą kłótnie i zniszczenia, widział w tym znacznie więcej zła niż dobra.

Skradał się do ogrodów, gdzie na sznurze wisały ubrania; przy drzwiach na gankach stały buty, na grillu albo w popiele ogniska znajdował upieczone ziemniaki, kiełbaski, resztki mięsa i warzyw. Świat rzeczy wyrzuconych był dla niego krainą miodem i mlekiem płynącą. Śpiący świat dla Karla był rajem sprawiającym wrażenie wymarłego, ale wyraźnie z tego zadowolonym, jakby chciał szeptem powiedzieć, że wcale mu nie brakuje ludzkiej krzątaniny i wcale mu się nie tęskni za dniem.

Im dłużej Karl przemierzał kraj, kierując się ku górą na horyzoncie, tym częściej zadawał sobie pytanie, po co właściwie żyje. Dla matki nie był synem, jakiego sobie wymarzyła, dla ojca stał się potworem, mieszkańcy Jettenbrunn uważali go za kogoś w rodzaju ducha, a dla świata, który teraz go otaczał, był – jak sam zresztą tego chciał – niewidzialny.

Jakie zatem było jego przeznaczenie?

Po co znalazł się na tym świecie? Żeby wieść życie w ciemności?

A wraz z przemijaniem kolejnych dni lata ciemność zbliżała się coraz

bardziej. Wkrótce o niczym innym nie pisano i nie mówiono, jak tylko o nadchodzącej ciemności.

Jedenasty sierpnia 1999 roku. Imponujący spektakl natury, może zwiastun, a może wstęp czy nawet przedwczesny początek pochłaniającej wszystko ciemności. Przełom wieków. Koniec świata.

Wędrówka stała się ciężka. Karl coraz częściej musiał pokonywać wzniesienia zapowiadające bliskość gór.

Dziesiątego sierpnia, w lesie graniczącym z położoną na uboczu rozległą łąką, ukryty w jamie, którą zasłaniał pień przewróconego drzewa, Karl Heidemann usłyszał hałasy; nasilały się tak bardzo, że stały się dla niego nie do zniesienia. Przyszło mu na myśl, że do tej wyludnionej okolicy napływa coraz więcej ludzi. Tam gdzie z samego rana była tylko skąpana w słońcu łąka, teraz w ogóle nie widać było zieleni. Jak mrówki, które całymi hordami wychodzą wiosną ze szpar w ścianach, ludzie parkowali na łące samochody, przyczepy, kampery, rozstawiali namioty, teleskopy, wchodzili za potrzebą do lasu.

I pozostali, gdy zapadła noc, być może – jak myśleli niektórzy – ostatnia noc w tym świecie. Chowając się pod pnem drzewa, Karl jak zaklęty z ciekawością wsłuchiwał się w głosy, czuł zapach obozowych ognisk, słyszał muzykę i śmiech. Obcy między obcymi. Setkami obcych.

W końcu zatkał uszy, obwiązując je chustką, włożył czapkę, wygramolił się z jamy i wyszedł na łąkę. Nad głową nocne niebo, a wokół płomienie ognisk, światła... i ludzie.

Wtopił się w tłum, jakby był jednym z nich, jakby w jego sylwetce, stroju, sztywnych, niemal mechanicznych ruchach nie było nic szczególnego. Być jednym z wielu... Wtopić się w tłum...

Ktoś w końcu go dostrzegł. Karl stoi bez ruchu i nie ucieka wzrokiem.

– Hej, chłopcze, masz ochotę się napić?

– Może zjesz schabowego?

Spojrzenie – bilet wstępu.

Przyjaźni ludzie, którzy czekają na coś wspaniałego.

Przerażeni ludzie, którzy oczekują końca.

Sami, ale nie samotni.

Tacy, którzy mają przy sobie partnera, a mimo to są samotni.

Karl Heidemann został na łące, oderwany od reszty, jak większość tych ludzi. Kiedy oni, jeden po drugim, szli do swoich prowizorycznych kwater, on położył się na kartonach rozłożonych przy wygasłym ognisku i otoczony życiem, zaczął wpatrywać się w niebo, słuchać wymienianych czułości, życzliwych słów, obietnic wiecznej wierności. „Dobranoc, kochanie”. „Do jutra... Nie! Do dzisiaj”. „Śpij dobrze, skarbie”. Słowa zakochanych... Poruszyły go, napęłniły rozpaczą, bo za nimi widział tylko nieszczęście, cierpienie i ból.

„Śpij dobrze”. Usta Karla poruszyły się tak, jakby wypowiadał te słowa. Bez cienia niechęci. Wkrótce wszyscy zasnęli.

Setki serc bijących w swoim rytmie, lecz ich bicie zlewało się w jeden długi dźwięk.

Setki par płuc nabierających powietrze, każda w swoim rytmie, ale to też tworzyło jeden przeciągły szum.

Setki myśli, które nie pozwalały Karlowi zasnąć, i za każdą kryło się jedno: współczucie. Współczucie dla zakochanych, zdanych na los marzycieli, którzy odważnie przestali stąpać po ziemi i balansowali na linie rozciągniętej we mgle, wierząc w istnienie krainy wiecznej szczęśliwości. Złudne nadzieje. Karl, pamiętając, co zobaczył w Jettenbrunn, znając doświadczenia własnego ojca i Aloisa Daxbergera, wiedział, że nic nie trwa wiecznie. Kochające serca zostaną pewnego dnia zdradzone, zranione, a nawet jeśli nie, to wcześniej czy później śmierć jednego pozostawi to drugie z poczuciem niezrozumienia i straty. Bo według Karla, czymkolwiek była śmierć, nadal nie była pozbawianiem ludzi czegoś, a tylko wyzwalaniem nieszczęśników trzymających się kurczowo życia innych.

Karl wstał i skradając się, przeszedł między rzędami śpiących i zabrał to, co musiał zabrać, dając to, co mógł dać – dobroć.

Wtedy Karl Heidemann nie wiedział jeszcze, jak bardzo to, że nazywał ludzi ślepych, świadczyło o jego ślepcie.

Zanim nastąpiło zaćmienie Słońca, dał się ponieść wewnętrznemu nakazowi.

Kiedy przychodzi rano, robi się głośno i nerwowo. O ósmej wyczuwa się napięcie, które o dziewiątej nasila się, o dziesiątej wzmacnia się jeszcze bardziej, a piętnaście minut później rozlegają się szepty. Ludzie stoją w tłumie, w dziwnych papierowych okularach na oczach, i patrzą w niebo. Milkną, kiedy przesuwały się od lewej strony Księżyc zaczyna zasłaniać Słońce, zabierając światło. Zmrok krótko przed południem, gwałtowne poruszenie ptaków, a potem nie słychać już żadnego dźwięku. O jedenastej trzydzieści pięć ciemność. Całkowite zaćmienie. Słońce zasłonięte Księżycem.

Przez dwie minuty.

Cisza. Ludzie, stojąc, siedząc, leżąc, milcząc, z nabożnością kierują wzrok na jasny krąg.

Jak na oko Boga.

Jakby się umówili, nikt nie odzywa się ani słowem, nie mając odwagi zakłócić spokoju.

I w tej ciemności, podczas gdy wszyscy kierują uwagę na to, co dzieje się w górze, i widać tylko flesze aparatów, Karl przygląda się ludziom.

Jest zmęczony; nie spał całą noc. Zmęczony, ale również oczarowany spokojem, który zapanował na polanie. Serdeczni ludzie, pełni optymizmu



i poczucia więzi z innymi, niezależnie od tego, z jakich środowisk się wywodzą, z jakich krajów przyjechali, jaki mają kolor skóry i jakim mówią językiem. Są razem i czują, że są malutcy.

Karl też podnosi głowę.

Oko Boga.

Uśmiecha się. Tak, naprawdę się uśmiecha.

Wszystko jest w porządku.

## 34 AUBRUCK

I po wszystkim. Minęło południe. Ludzie spakowali plecaki i opuścili łąkę, rozstając się z innymi w tak oczywisty sposób, jak się spotkali.

Ale część namiotów, przyczep i kamperów została. Zawsze ktoś jest ostatni.

Ostatnim żyjącym był Karl Heidemann, który przeczołgał się do lasu i ukrył w jamie pod przewróconym drzewem, żeby odpocząć. Był zmęczony, ale szczęśliwy i przepelniony wdzięcznością.

Wreszcie trochę snu.

Kiedy nadeszła noc, na polanie wciąż stały namioty, przyczepy i kampery, a Carl z trudem wspinał się przez ciemny las na wzniesienie. Kiedy weszło słońce, dotarł do skalistego miejsca z karłowatymi drzewami, z którego roztaczał się widok na całą okolicę. Łąka w dole wydawała się malutka, a namioty, przyczepy i kampery wyglądały jak miniaturki. Jeszcze mniejsze były niebieskie migające światła.

† † †

Widok, który Horst Schubert zobaczył rano dwunastego sierpnia 1999 roku, pozbawił go resztek wiary w to, że w ludziach, być może, jest jakaś ukryta dobroć. Łąka stała się cmentarzem z blaszanymi, plastikowymi lub nylonowymi grobami dla par. Zabite pary, w namiotach, przyczepach i kamperach. Ludzie, młodzi, starzy, ale zawsze parami. Tylko pary.

Nic nie wskazywało na to, że doszło tu do masowego samobójstwa bandy szaleńców należących do jakiejś sekty. Wyglądało to raczej na rytualne mordy, na dzieło jednego człowieka, który podkładał się do śpiących ludzi i precyzyjnym ciosem noża w serce zadawał im bezbolesną śmierć. Ofiary leżały obok siebie jak Gertraud i Heinrich Auböckowie. Prawdopodobnie zabici w tym samym momencie, może dwoma nożami. Horst Schubert nigdy nie znajdzie, bo, wyczyszczone, odłożono je tam, skąd zostały wzięte, do kampera, który już dawno dotarł do domu. Jakim trzeba być potworem, żeby mieć tyle pogardy dla życia, dla miłości, by dokonać takich strasznych rzeczy wśród spokojnie śpiących ludzi.

Horst Schubert wiedział, że będzie go szukał choćby po kres swoich dni.

† † †

Karl postanowił nie czytać już żadnych gazet. Bez tego wiedział, że ludzie są zaślepieni. Dla niego nie liczyło się szczęście żyjących, tylko szczęście zmarłych. Do końca lata wałęsał się po górach, sypiał w opuszczonych szałasach rozrzuconych wśród kosodrzewiny; czasami schodził do wsi po wyrzucone resztki jedzenia, obserwował z daleka dożynkowe święta i spędy owiec z hal, ale ludzi unikał. Rytm dnia już całkowicie mu się przestawił. Spał w dzień, aż do wieczora,

a nocą wędrował.

Któregoś dnia o świcie, kiedy na horyzoncie czerń zamieniła się w szarość, znalazł się na skraju pola kukurydzy w pobliżu wioski o nazwie Aubruck, która właśnie zaczynała się budzić ze snu. W domach niemal równocześnie za ciemnymi oknami zapalały się lampki.

Karl zatrzymał się, ukryty za grubym pnem uginającej się pod ciężarem owoców jabłoni. Kiedy tak stał, z plecakiem na ramionach, nożem w kieszeni spodni, z wypchanymi foliowymi torbami w jednej ręce i kocami w drugiej, i nasłuchiwał, po raz pierwszy w życiu poczuł samotność.

Bolała inaczej niż plecy, dłonie, stopy, niż całe jego od wielu już dni wyczerpane ciało.

Nie to, że miał ochotę wyjść z za drzewa, wkroczyć do jednego z tych domów i usiąść za stołem, ale ogarnęła go ogromna tęsknota; poczuł, że nie ma swojego miejsca, choć jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo to uczucie odpowiada jego sytuacji.

Zanim dzień rozpoczął się na dobre, Karl ukrył się na polu kukurydzy. Leżał pośród tych szeleszczących wysuszonych jasnobrązowych roślin, ale nie spał. Myślał.

Zastanawiał się nad sensem dalszej ucieczki. Dokąd właściwie zmierzał? Z dala od Jettenbrunn, z dala od przeszłości, tylko „z dala”. „Z dala” nie jest jednak kierunkiem. I po co się tak śpieszyć?

Dlaczego nie spędzić gdzieś trochę czasu? Nie znaleźć sobie miejsca na kilka dni, na przykład tu, w Aubruck? Mógłby poobserwować miejscowych, rozejrzeć się po okolicy, zamiast codziennie szukać nowego schronienia.

Z jakiego powodu miałby tego nie zrobić?

Nie było takiego powodu.

Co by to zmieniło?

Nic. Poza tym, że jego życie nagle stałoby się odrobinę lżejsze i na czas, kiedy by się tu zatrzymał, poczułby się częścią społeczności, czegoś większego. Niewidoczny wprawdzie, ale jednak obecny.

Zostanie więc.

Z tym postanowieniem zasnął.

I spał bardzo dobrze.

**DZIEŃ PIERWSZY...**

...przebiegał bez zakłóceń. Do południa ten roboczy dzień minął mieszkańcom Aubruck spokojnie, potem zaczęło padać i Karl wycofał się w górę do lasu. Po prawej widział światła nielicznych domów, a po lewej, w oddali, na granicy pola, migoczący neon gospody U Krallera; wieczorem zobaczył mężczyzn zmierzających z prawa w lewo, a w nocy mężczyzn, którzy, zataczając się, szli z lewa w prawo.

## DZIEŃ DRUGI...

...piątek był ciekawszy. Skoncentrowany na tym, co słyhać, Karl, przez cały czas, gdy nie spał, śledził najlepiej jak mógł działania ludzi. Wieszano na sznurach pranie, sukienki, spodnie, ręczniki, ścierki powiewały na wietrze jak płynące po niebie żaglowce; strzyżono żywopłoty, ścinano drzewa, pracowano w ogrodach; przez chwilę Karl obawiał się, że będzie miał odwiedziny – na tyle blisko podeszło do niego dwóch mężczyzn.

– No i co myślisz, Moser?

– Czas najwyższy. Kolby są już dojrzałe. W przyszłym tygodniu skończy się dobra pogoda.

– Czyli tak, jak ustaliliśmy, pojutrze.

– Właściwie tak, ale wszystko zależy od tego, czy macie to pod kontrolą...

Wiesz, o czym mówię. Ta mała zaczyna wkurzać.

– Spokojnie, Moser, nad wszystkim panujemy.

– No, skoro tak twierdzisz, Veit...

Koniec tego późnoletniego dnia sprzyjał mieszkańcom Aubruck – zbierali się w ogrodach i w okolicy rozchodził się zapach grilla – a także Karlowi, który po wszystkim mógł napełnić brzuch mnóstwem pozostałego jedzenia.

Nic dziwnego, że potem spał niespokojnie; jakby jakieś głosy coś próbowały mu powiedzieć, a jego wnętrze poddało się czemuś, o czym kiedyś czytał; w głowie cały czas mu dudniło, jakby wprawiając Karla w dziwny nastrój, przygotowując go na coś, raz po raz.

*Gdzieś słyhać nocne szeptanie,*

*Całkiem wyrwało mnie ze snu;*

*Czuję je, chce coś obwieścić,*

*Lecz nie znajduje do mnie drogi.*

*Czy to powierzone wiatrowi*

*Słowa miłości rozwiane po drodze?*

*Czy może nadchodzące nieszczęście,*

*Które pilnie chce się zapowiedzieć?*<sup>3</sup>

I to, i to.

## 35 DOTYK

### DZIEŃ TRZECI...

...zaczął się wcześniej, i to bardzo nieprzyjemnym przebudzeniem. Jest zdecydowana różnica między ucieczką z jakiegoś miejsca, kiedy człowiek wie, że inni tam zostają, tęsknią za nim, czekają z otwartymi drzwiami, a ucieczką i przyglądaniem się z niezbyt dużej odległości, jak to, co zostawiłeś, ogarniają jasne płomienie i doszczętnie palą.

Pożar zaczął się, gdy Karl leżał otulony kocami na wypchanym sianem jutowym worku. Chciał dalej spać i na początku nie wiedział, czy to sen, czy jawa.

– Dzień dobry!

Głos dochodził z bliska. Był stanowczo zbyt bliski.

Karl Heidemann nie poruszył się na swoim posłaniu; leżał, wpatrując się w niebo i próbując w myślach wybudować wokół siebie mur. Bezskutecznie.

– Przepraszam, że o tak wczesnej porze pani przeszkadzam, pani... pani...

– Thaler. Tu jest napisane.

– Pani Thaler... z „h”.

– A pan? Kim pan jest?

– Też z „h”, Horst. Horst Schubert z policji kryminalnej. Jak Schubert, kompozytor, ten od symfonii *Niedokończonej*. Na pewno pani wie. Ale ja nie lubię, jak coś jest niedokończone. I właśnie dlatego tu jestem. Proszę, żeby przyjrzała się pani tej fotografii. Czy zna pani tego chłopca?

– A powinnam go znać? Kto to taki?

– Karl Heidemann.

– Nie, niestety, nie znam go. A dlaczego go pan szuka? Uciekł rodzicom?

– Raczej odwrotnie. Został przez nich opuszczony. Matka nie żyje, ojciec też.

– To straszne.

Ojciec też?

Karlowi nagle zapało dech w piersi, poczuł się ciężki, przytłoczony, jakby opadł na niego stalowy płaszcz.

– Na pewno pani o tym słyszała. Gazety bębniły na ten temat. O potwornych morderstwach podczas zaćmienia Słońca i o wcześniejszych tajemniczych wydarzeniach z Jettenbrunn: kobieta, która wchodzi do wody i umiera, a potem jako duch grasuje po okolicy i zabija swoją najlepszą przyjaciółkę, rodziców, kochankę, niektóre swoje ofiary ściąga w głębinę stawu, inne dźga w serce, albo robi jedno i drugie, a niektórym nawet wyjmuję serce. Straszne... Takie bajki opowiadali... czy raczej wciskali dziennikarzom mieszkańcy Jettenbrunn. Więc gdybym był wdowcem, który mógł udowodnić, że jest niewinny, też pewnie zabrałbym stamtąd dziecko i uciekł jak najdalej. Tyle tylko, że nie uciekł zbyt

daleko.

Potem padły słowa, które uderzyły Karla jak maczuga.

Los trzyma czasem w kleszczach kolejne pokolenia, powtarzając identyczne schematy: babcia zostawia męża, w którymś momencie matka zostawia męża i w końcu robi to córka; dziadek ukrywa, że ma nieślubnego syna, ojciec kryje się ze swoim nieślubnym synem, syn też to ukrywa... Choroby, zgony, nieszczęścia powtarzają się; szczęśliwe zdarzenia – rzadziej. I nie ma żadnej strategii, którą można świadomie wybrać, żeby nadać losowi inny kierunek, nie istnieje ona dla synów i córek, dla wnuczków i wnuczek.

Johann Heidemann podzielił los swoich męskich przodków, z których każdy za wcześniej został sierotą. I Karl dowiedział się o tym właśnie teraz. Z drżącym ciałem, z aż do bólu wpijającymi się w ziemię palcami, zaczął liczyć uderzenia swojego serca, jakby dzięki temu mógł uciec.

1, 2...

otworzył usta i przerwał milczenie, i wydobył z siebie cichy szept,

...7, 8...

tylko po to, by nie słyszeć innych dochodzących głosów. Ale słowa napierają, opowiadają o samochodzie, który wypadł z drogi na ostrym zakręcie w prawo, o uwięzionych w pasach bezpieczeństwa zwłokach ojca i o pustym siedzeniu z tyłu.

...27, 28, 29...

– Podejrzewamy, że chłopiec uciekł po wypadku albo że w tym czasie w ogóle nie było go w samochodzie. W każdym razie szukamy go i bylibyśmy wdzięczni za każdą wskazówkę.

– Ale dlaczego zjawił się pan akurat w Aubruck? Przecież Jettenbrunn jest kawałek drogi stąd.

...54, 55...

– Zgłoszono nam, że jakiś bardzo gruby chłopiec skradał się nocą po ogrodach, podobno był także podczas zaćmienia Słońca na łące, na której popełniono morderstwa, i ktoś go widział całkiem niedaleko stąd.

W górze zwiastujące dobrą pogodę cumulusy, promienie słońca padają na twarz Karla, a on tylko leży na plecach, patrzy w niebo i wszystko wycisza.

Białoszare bizona na turkusowoniebieskiej prerii.

Białe jaskry na błękitnej łące.

...123, 124...

Słucha tylko siebie, swoich wewnętrznych szmerów i stukania. Nie dopuszcza do siebie głosu Horsta Schuberta i gadaniny zebranych wokół niego ludzi. Sprawia, że wszystko znika.

...217, 218...

Poza białymi poduszkami na niebieskim morzu.

Wełniastymi owcami na błękitnych halach.

Ile ich jest?

Jedna, druga, trzecia...

Uciec... uciec w sen.

I nastała noc. I nastał dzień.

DZIEŃ CZWARTY...

Tylko spać.

Nie ma możliwości powrotu. Wszystko, co mogło być domem, przepadło. Nie istnieje już miejsce, dokąd któregoś dnia mógłby wrócić syn marnotrawny.

Więc po co iść dalej? I, przede wszystkim, jak, skoro bycie ostrożnym to za mało? Karla widziano; żywił mylne przekonanie, że ludzie nie widzą rzeczy, których on nie rejestruje.

Trzeba zapasać w sen, który nigdy nie powinien się skończyć, który szuka szczeliny, by uciec przez nią od rzeczywistości.

Zamykając powieki, bronić się przed nastaniem świtu, przed następującym po nim budzeniem się wioski, przed odgłosami silników – najpierw szumem, potem terkotem i w końcu wyciem. Nie pozwolić, by hałasy się zbliżyły.

1, 2...

Z jednej strony dochodzą odgłosy pracujących silników, z drugiej – znacznie bliższe – ogłuszające zgrzyty i suche głośnie trzaski. Trzeba liczyć dalej.

...32, 33.

Daremnie.

Słyszać kroki w pobliżu pola.

– Stać! Stać!

Silniki gasną, ale ten suchy trzask nie ustaje i wkrótce dołącza do niego szelest – liści i łądyg.

Karl Heidemann nie jest już sam.

– Co znaczy „stać” – dochodzi z pewnej odległości.

– Szukajcie! Cholera! Myślałem, że wszystko jest pod kontrolą. Ale tu, w Aubruck, tak jest zawsze. Rzygać mi się od tego chce! Znajdźcie to ścierwo, i to już! Jak nie, to wracam do domu, a wy będziecie mogli zbierać ze swoich pól rękami!

– Uspokój się, Moser! Zaraz ją złapiemy!

– No, chciałbym to zobaczyć!

– Musimy się podzielić! – dobiegają głosy ze wsi. – Inaczej nam umknie!

Trzeba się śpieszyć, dopóki słysząc grzechotanie! Dochodzi stamtąd! No, dalej!

Z zamkniętymi oczami Karl przyciska do uszu wewnętrzną stronę dłoni i wciąż leży, a to coś szeleszczące i grzechoczące zbliża się coraz bardziej. Po chwili jest już tak blisko, jakby się miało przez niego przetoczyć.

Tylko że to nie chce się przetoczyć.



Hałas – nie do zniesienia – jest już nad jego głową, tak że Karl nie może oddychać, a jego wrażliwe serce wali coraz szybciej. Człowiek... nieduży człowiek dotyka jego ramienia.

## 36 SPOTKANIE

Dotyk stał się silniejszy, bolesny. A potem poczuł kopniaki, na całym ciele. Zdumiony z wahaniem otworzył oczy i zobaczył wpatrującą się w niego bezczelnie, wyzywającym wzrokiem dziewczynę. Właściwie jeszcze dziecko, choć już z pierwszymi śladami przeobrażania się w kobietę. Ledwie rysujące się piersi, szczupłe ciało, drobna twarz. Szczęki poruszające się, jakby coś żuły, zapach mięty, rude dość długie włosy zaplecione w warkocze – nie po jednym z każdej strony, lecz dwa po lewej, trzy po prawej, jeden na czubku głowy... w sumie wszędzie. Dżinsy, adidas, ręcznie malowany T-shirt z kombajnem przekreślonym czerwonym paskiem. W jednej ręce dziewczyny wiklinowy kosz, w drugiej – kij z czymś na końcu, co poruszało się, powodując nieznośne grzechotanie, pod wpływem którego twarz Karla wykrzywiła się z bólu.

Zatoczyła rękami łuki, spojrzała na niego pytająco, wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący, a potem obie dłonie. Słowa wcale nie były potrzebne, by zrozumiał pytanie: „Co ty tutaj robisz?”.

– Musimy się zebrać na brzegu pola! – zawołał ktoś kawalek dalej. – Trzeba uformować coś w rodzaju łańcucha, bo nigdy jej nie znajdziemy! Trzymajcie odpowiednią odległość i posuwajcie się do przodu powoli!

– Nie daję wam już dużo czasu! Słyszysz mnie, Veit?!

– Lepiej nam pomóż, Moser!

Karl właśnie chciał wskazać ręką w stronę wioski, żeby ostrzec dziewczynę, ale ona chwyciła go za ramię, pociągnęła w górę i wcisnęła w dłoń rączkę koszyka. Z niezłomną determinacją drobna dziewczyna szarpała potężne ciało Karla, aż ten w końcu dał za wygraną. Bez dalszych sprzeciwów chwycił jutowy worek, włożył go pod pachę i dał się prowadzić między rzędami kukurydzy. Dziewczyna-dziecko stawiała zdecydowane kroki, a Karl czuł bliskość, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. I tak tych dwoje biegło przez pole kukurydzy, potykając się na kamieniach i grudach ziemi. Co jakiś czas z grzechotki na końcu kija dobywało się głośne donośne terkotanie – jak wołanie o pomoc albo sygnał ostrzegawczy – i za każdym razem odpowiadało mu echem:

– Tam! Ona musi być tam!

Co jakiś czas z pola wlatywały wypłoszone ptaki, zrywały się do biegu zające, umykały węże.

Na twarzy dziewczyny malowały się skupienie i troska. Każda żywa istota, której nie udało się uciec, była ostrożnie podnoszona i wkładana do kosza niesionego przez Karla, czemu towarzyszyły krótkie wybuchy radości. Z każdą mijającą minutą było w nim coraz więcej ułomnych, niezdolnych do latania i poruszania się po ziemi zwierząt. A oni szli coraz dalej przez pole, przecinając je wzdłuż i wszerz.

– Cholera jasna, Marie! Wyjdiesz stamtąd wreszcie? To naprawdę nic nie da!

Marie.

– Moser, ty idioto! Przecież ona cię nie słyszy!

– Idioto?! I kto to mówi! Ja przynajmniej nie topię codziennie swoich szarych komórek w alkoholu! Uważaj tylko, żebyś nie zabłądził!

– Jak mi się ta przekłeta gówniara wymknie, to... to...!

– Pewnie ta mała nie ucieka przede mną i moim kombajnem do młócki, tylko przed twoją młócką!

Marie.

Karl się zatrzymał.

To nie miało sensu – ta ucieczka przez pole, umykanie w prawo i w lewo między rzędami szeleszczącej kukurydzy, grzechotanie, gorączkowy pośpiech.

Na twarzy dziewczyny ukazała się złość – wyraz protestu.

Marie.

Z niecierpliwością pociągnęła Karla za ramię, nic tym jednak nie osiągnęła. Stojąc jak skała, wskazał palcem na swoje usta i patrząc na dziewczynę odebrał jej kij z tym czymś klekoczącym, a potem zamknął oczy.

Jeśli rzeczywiście chodziło o to, by uratować czyjeś życie przed obracającymi się ostrzami kombajnu, to był na to tylko jeden sposób. Pozostać w miejscu.

Wciąż z zamkniętymi oczami, Karl wziął dziewczynę za rękę i ruszył powoli w stronę zbliżającej się do nich tyraliery, na którą składały się głosy, poszczególne osoby i odległości między nimi. Najbardziej niewidocznym miejscem, a tym samym najbezpieczniejszym jest to znajdujące się dokładnie w połowie odległości między poszczególnymi uczestnikami obławy, ocenił.

Znów się zatrzymał, rozłożył na ziemi jutowy worek i dał znak dziewczynie, by razem z nim spokojnie się położyła.

Głosy było coraz bliżej. Dochodziły z prawa i z lewa.

– Niech to szlag! Przestała grzechotać!

– Veit! Co mamy robić?! W ten sposób jej nie znajdziemy!

– I lepiej dla niej, wierzcie mi!

– Przestań opowiadać takie głupoty! To przecież twoja córka! I wiesz przecież, że jest niezwykłym dzieciakiem!

– Niezwykłym?! Na pewno niezwykle upierdliwym!

Przywierając do ziemi, ukryci wśród liści kukurydzy, widzieli stopy nadchodzących, a potem dwie pary oczu śledziło oddalających się ludzi.

Nawet jeśli drobna dziewczyna u boku Karla wciąż nie bardzo wiedziała, dlaczego nie może dalej iść przez pole, to teraz zrozumiała, że jeśli będzie z tym dziwnym chłopcem, to jej nie znajdą, a w końcu zaprzestaną poszukiwań i odeślą

do domu człowieka z kombajnem.

Spojrzała na Karla z wdzięcznością. I ufnością. I długo nie odwracała od niego wzroku. Widział szmaragdowe błyski w jej oczach, zielone tęczywki z delikatnymi brązowymi kreskami i plamkami – trzy plamki na prawej, dwie na lewej. Widział długie zakręcone rzęsy i czarne źrenice, w których odbijało się słońce. I widział w nich również siebie, nie tylko swoje odbicie, lecz jak się w nich pogrąża, jakby w jego stronę wysunęła się ręka i go pociągnęła.

Z pytającym wyrazem twarzy dziewczyna zakreśliła coś na swojej piersi, jakby rysowała, potem – tak jak na samym początku ich spotkania – wyciągnęła przed siebie obie ręce i w końcu wskazała go palcem. „Ty?” – zaledwie tyle zrozumiał. Niepewne „Ty?”, więc nie był pewny, jak zareagować.

Zwróciła oczy do nieba, jakby chciała powiedzieć: „Jezu, nic nie kapujesz”, a potem wskazała na swoją pierś i palcem wskazującym wyryła w glebie wielkimi literami MARIE.

I znów brudnym od ziemi palcem dała znak „Ty?”.

Wreszcie zrozumiał.

KARL – napisał.

Prawa dłoń dziewczyny wysunęła się w jego stronę, czterokrotnie. Za każdym razem z innym ustawieniem palców i przy każdym z nich prawa ręka wskazywała napisaną na ziemi literę.

K: Prawy palec wskazujący i środkowy krzyżujące się jak nożyce, a pomiędzy nimi kciuk.

A: Prawa pięść z przylegającym do niej wyciągniętym kciukiem.

R: Prawy palec środkowy nad wskazującym.

I wreszcie wyciągnięty prawy palec wskazujący z odsuniętym w bok kciukiem – wyraźne L.

KARL – pokazała mu dziewczyna.

Żar słońca powoli się wypalał. Natomiast operator kombajnu wypalał się z wściekłości. Rząd ludzi przeczesywał pole, ale zanim doszedł do końca, niektórym zmęczonym uczestnikom obławy zamarzyła się już kolacja.

– Zostawiam kombajn i idę do gospody! – rozległ się opryskliwy głos. – Ale i tak policzę za cały dzień! Bardzo mi przykro!

Pozostali nadal przemierzali pole, a ze wsi dochodziły tylko uporczywe, przepełnione troską nawoływania. Zdawało się, że dziewczyna ich nie słyszy. Nie słyszała ich ani tego dnia, ani następnego, kiedy głosy dochodziły już z lasu, teraz już zrozpaczone, stawiające na nogi całą wioskę.

Nieporuszona nimi, leżała na jutowym worku, przyciśnięta do Karla, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze. Z lekko zamglonym spojrzeniem wyciągała w górę ręce, ku niebu, którego błękit przechodził w purpurę, a potem w czerń, i ruchami dłoni opowiadała historie. A Karl rozumiał. Wszystko. Przez kilka

godzin zafascynowany chłonał to, czego cierpliwie i systematycznie uczyła go dziewczyna, pokazując palcami znaki, i teraz miał przed oczami litery alfabetu. Pokonał ból wywołany wiadomością o śmierci ojca. I kiedy Marie nie miała już co opowiadać, leżał albo siedział obok niej i patrzył na nią, śledząc wybrzuszenie i zagłębienie na jej twarzy, każdą linię, i przenosił to na papier. Inaczej niż twarze, które rysował wcześniej.

Nagle stał się kimś, kto nie myśli tylko o sobie – i tak skończyła się jego samotność. Co wcale nie oznaczało, że przed samotnością może ochronić człowieka obecność drugiej osoby, nawet męża czy żony.

Szczęśliwy dzień. Jedzenia i picia wystarczyło dla dwojga. Karl miał przeróżne zapasy, ona – gorzką czekoladę, miętówki i gumę do żucia. Zimowy sen w lecie. Zamiast jamy pole kukurydzy. Niebo, słońce, gwiazdy.

A Karl widział tylko Marie. Widział kryjącą się w niej ciekawość życia, tryskającą z niej radość. W końcu w nocy zobaczył, jak wstaje i z niepokojem wskazuje ręką w stronę wioski, jak na pożegnanie ściska obie jego dłonie i odchodzi. Wciąż czując jej ciepło na swoim ramieniu, biodrze i w sercu, poszedł za nią aż do skraju pola; patrzył, jak dumnie niczym królowa kroczy między wiszącymi na sznurach lnianymi prześcieradłami, potem skryta w ciemności idzie wzdłuż rzędu domów, aż wreszcie podchodzi do drzwi swojego domu z mnóstwem pelargonii połyskujących czerwienią na parapetach i balustradzie balkonu i jej delikatny, utyłany ziemią palec dotyka białego guzika dzwonka, przy którym jest nazwisko Pokrovsky.

To, co zobaczył po chwili, zmieniło wszystko.

## 37 PRZEMOC

Żadnego powitania.

Tylko otwarcie drzwi.

– Nie, Veit! – dobiega z głębi domu łagodny wystraszony głos. – Przecież wiesz, że piłeś...

– Że co?! Co?!

– Ona tego nie robi złośliwie. Chce tylko ratować zwierzęta. Sam wiesz, ile z nich dostaje się między ostrza kombajnu i kończy w męce. Ona jest tylko dzieckiem... twoim dzieckiem... i... Veit, na miłość boską! Nie możesz...

Veit mógł.

Veit Pokrovsky.

Wysoki, o szerokich barach, potężny, z silnymi rękami, wielkimi jak łopaty. Te ręce brutalnie chwyciły drobne ramiona Marie – jakby te były stalowymi drążkami – pociągnęły ją do przedpokoju i tam poszły w ruch.

– Koniec z tym raz na zawsze! Czy ty wiesz, na co nas narażasz?! Wiesz?! Wiesz, ile mnie to kosztuje?! Wiesz czy nie?! Chcesz, żeby stary Moser przejechał cię swoim kombajnem?! Naprawdę tego chcesz?! Bo mnie nawet by to pasowało!

Karl słyszał każde słowo i wyobrażał sobie towarzyszące im obrazy, wcale nie musiał patrzeć przez okno na tę dziką przemoc. Na agresję, która po trzecim uderzeniu gołą ręką domagała się więcej.

– Mało ci?! Jeszcze nie poczułaś?! Wolisz tak?!

Agresję, która domagała się kija.

– Veit, na miłość boską!

Veit.

Karl widział już w swoim życiu wiele rzeczy wypisanych na twarzach ludzi. Jednak nigdy dotąd nie był świadkiem, żeby jakieś zawładnięte wściekłością bydlę wyżywało się w ten sposób na bezbronnej istocie, na dziecku.

Bydlę z rozdziawioną mordą, z której raz po raz wyrzywały się wściekłe okrzyki; strugi śliny ściekały z wypełnionych pianą kącików ust, a wielkie krople tryskały z gardła. Ciemnoczerwona łysa czaszka, szeroko rozstawione nogi, okrągłe tęczówki otoczone białkami z siateczką czerwonych żyłek. Na skronie, szyję, przedramiona wystąpiły i nabrzmiały rozgałęziające się, sękate jak konary wiśni żyły.

Ten człowiek miał w sobie wszystko – to, co piękne, i to, co szpetne, dobre i złe. Karl stał przy oknie; przed sobą miał szybę z zaciągniętą zasłoną, ale między drewnianą ramą okna a dolnym brzegiem materiału była wąska szczelina, wystarczająca, by widzieć Veita. Kij. I Marie. Stała spokojnie, pozwalając, by działo się to, co się działo. Nic w jej postawie nie wskazywało na to, by chciała uciec. Na twarzy widać było coś w rodzaju bladego uśmiechu, jakby za jego

sprawą mogła się nie zgodzić na przemoc. Nie działał.

– A teraz przestań się krzywić! Słyszysz?!

– Veit, ona cię nie słyszy...

– Ale rozumie. Wszystko.

Z każdym uderzeniem na twarzy Marie widać było większy ból, plecy mocniej się garbiły, a spojrzenie stawało się coraz bardziej szkliste.

Któreś uderzenie dotknęło w końcu Karła, tak jak nigdy dotąd nic nie dotykało. I pozostawał mu tylko opór – jedyne, co mogło pomóc – połączony ze skrywaną tęsknotą. Tęsknotą za zrealizowaniem czegoś, co u wielu ludzi pozostaje tylko w sferze myśli.

Ale nie u Karla Heidemanna.

To, co po raz pierwszy zapłonęło w nim, kiedy głęboko poruszony niesprawiedliwością spotkał przy grobie matki doktora Hofstättera, zamieniło się w stan ogarniający całe ciało i umysł, w którym nie było miejsca na skrępyły, na krok do tyłu. Tamto było zapowiedzią. Zadania. Pragnienia, by położyć kres przemocy, nie tylko w tym momencie, lecz raz na zawsze.

Ciało Karla się napina, ręce zaciskają się w pięści, prawa dłoń się unosi.

Puk, puk, puk. Mocne uderzenia w okno.

– Kto tam?

Kij opada, następuje nerwowa cisza. Ale tylko na chwilę.

– Hej! Kto tam stuka?

To, co dzieje się w tych czterech ścianach, nie jest przeznaczone dla widzów, nie może wydostać się na zewnątrz. Świat by tego nie tolerował.

– Tam ktoś stoi!

Karl słyszy pośpieszne kroki zbliżające się do okna. Po chwili zasłona się odsuwa.

– Czego ten gówniarz tu szuka? Znać go? Nie? Co jest? Po co tu sterczysz?!

Płaska dłoń mocno uderza w drewnianą ramę.

– Co się tak gapisz na moją córkę, do cholery?! Zjeżdżaj stąd, i to już! Zrozumiałeś?!

Dwa mgliste spojrzenia – Karla i Marie – spotykają się i nie mogą się od siebie oderwać, jakby byli ze sobą połączeni, jakby się nawzajem połykali. Oczy Karla są pełne łez, łez wściekłości, współczucia, nieokiełznanej woli.

Lewa ręka Marie powoli się unosi za plecami ojca. Palce poruszają się, pokazując litery.

Najpierw U,

potem C,

I, E i K;

następnie A

i w końcu J.

Karl rozumie, mimo to pozostaje.

– Głuchy jesteś? Nie słyszysz, co mówię? Wynocha!

Jeszcze za wcześnie, by odejść i zostawić Marie samą. Plan jest taki, żeby ściągnąć wściekłość na siebie, zamknąć ten gniew jak chrabąszcza w pudełku, dopiero wtedy będzie po wszystkim.

– Ostatni raz ci mówię, żebyś się stąd wynosił! Jak nie posłuchasz, to się źle dla ciebie skończy!

Karl nie patrzy na niego, tylko na Marie. Zawiasy okien błyszczą czarnym smarem, zapraszając jak okrągłe pojemniczki w zestawie farb. Unosi lewą rękę i dotyka ich wyciągniętym palcem wskazującym, jakby zanurzał pędzel w farbie, by móc zostawić tłusty ślad, a potem przenosi go na niezapisane tło, na szybę, i powoli pisze od prawa do lewa litery, które z zewnątrz wyglądają jak lustrzane odbicie, ale czytane z pokoju tworzą napis:

**CHODŹ DO MNIE.**

Spojrzenie Karla jest wyzywające, ale teraz kieruje je na Veita.

– Poczekaj tylko!

W domu słyhać kroki, ciężkie, chwiejne, ale zdecydowane. Karl też jest zdecydowany. Jeszcze wprawdzie za wcześnie, zbyt niebezpiecznie, by stanąć twarzą w twarz przeciwko temu potworowi w ludzkiej skórze. Na razie nie może dopuścić go zbyt blisko, musi go tylko wywabić jak najdalej stąd.

Czas się pożegnać.

Karl Heidemann podnosi rękę, macha do Marie, wybiega na wiejską drogę i pędzi przed siebie – nie po to, żeby uciec albo się ukryć, lecz żeby się przygotować. Być wabikiem, przynętą.

A Veit daje się zwabić.



## 38 CIERPLIWOŚĆ

– Życie ci niemiłe, głupku?! Czyj ty jesteś? Nigdy cię tu nie widziałem.

Karl przyśpiesza. Nocne niebo przesłoniły gwiazdy.

– Głupi jesteś jak but! Naprawdę myślisz, ty góro tłuszczu, że cię nie dogonię? Lepiej się pomódl!

Biegł, nie oglądając się nawet; chociaż słyszał, że kroki się zbliżają, miał przed oczami swój cel i wiedział, że dotrze do niego, zanim tamten go dopadnie. Zboczył z drogi między sznury z powiewającymi na wietrze białymi prześcieradłami. Jeszcze tylko kilka metrów i będzie na miejscu.

– Nic ci to nie pomoże!

Karl wpadł na pole kukurydzy, skręcił w bok, przebiegł kawałek i zatrzymał się. Stał jak skała, zamieniając się w słuch. Tamten mógł się miotać, ile chciał, a i tak go tu nie znajdzie. Nasłuchiwał, jak w ojcu Marie narasta rozpacz. Rozpacz człowieka, który się pogubił, gnanego czy to wściekłością, czy wstydem z powodu czynów, które przestały już być zamkniętą w czterech ścianach tajemnicą, zbyt tchórzliwego, żeby wrócić do domu i błagać córkę i żonę o przebaczenie. Zamiast tego stał i wściekle młócił rękami, wyładowując wstręt do siebie na łodygach i dojrzałych kolbach kukurydzy, dopóki wysuszone liście nie poraniły mu do krwi dłoni i przedramion.

Wtedy odpuścił – sobie i Karlowi – odwrócił się i odszedł.

Potem zaczął biec, gnać. Veit pędził, jakby na końcu drogi, którą tak śpieszył, czekał na niego upragniony spokój. Biegł, dopóki nie znalazł się w wiele obiecującym kręgu światła gospody U Krallera, która gościnnie go przyjęła, podobnie jak ramiona dorabiającej tam kelnerki. Kiedy po jakimś czasie się ocknął, stoły były już dawno wytarte, a kurki piwa i butelki – zamknięte.

– Już nieczynne, Veit, naprawdę – powiedział właściciel gospody. – Więc proszę cię, idź w końcu do domu.

– Do domu? Właśnie tam idę... w końcu...

Chwiejnym krokiem Veit wyszedł z gospody, słaby, a jednak złudnie pocieszony siłą alkoholu, i pewnym oszustwem. Oszustwem, które jak gęsta mgła, jak ręka obłudnego uzdrowiciela położona na duszy pozwoliło zniknąć ruinom rzeczywistości pod głuchym światem opakowanym w watę. Veit wróci do domu, wyrwie żonę i córkę ze snu... wszystko dobrze... zobaczy, jak córka się jeży, żona kuli się ze strachu przed jego nieobliczalnością i płacze, przytuli je, czy będą tego chciały, czy nie... wszystko dobrze... nieraz jeszcze zobaczy jeżenie się jednej, kulenie się ze strachu przed jego nieobliczalnością i łzy drugiej, i będzie musiał rozpoznać, co jest dobre, a co złe, i zgodnie z tym działać... jak zawsze. Życie to ciągłe powtórki.

We wsi nie palą się już żadne światła, wszystko pogrążone jest we śnie.

Zrobiło się zimno, mgliście, jakby przesłonięte chmurami niebo obsunęło się niczym płaszcz ochronny, żeby ukryć to, co spotka dwoje ludzi.

Veit wracał do domu, co jakiś czas się zatrzymując. Krok za krokiem, w nierównym rytmie, w prawo, w lewo, chwila przerwy, po czym chwiejnie ruszał dalej, w tempie żółwia. Nie śpieszyło się.

Podobnie jak Karlowi Heidemannowi. Karl czekał i miał dużo czasu, który mógł wykorzystać. Ukryty we mgle siedział, opierając się o mur znajdujących się na uboczu zabudowań. Jeden ze sznurów na pranie, ten przy brzegu pola, był pusty, za to Karl miał naręcze białych lnianych prześcieradeł. Do przygotowania łóżka.

Veit szedł drogą, jakby się zgubił.

Czas, żeby Karl się podniósł. I ruszył za nim. Kilka metrów od drogi w ciemności bez problemu wyprzedził Veita, tylko po to, by kawałek dalej wyłonić się z mroku i przesłać niemą wiadomość: „Tu jestem”.

Veit zatrzymał się, jeszcze wystarczająco przytomny, żeby przypomnieć sobie tego jasnowłosego chłopca z wyraźną nadwagą. Chłopiec, który widział więcej, niż on kiedykolwiek chciał zobaczyć w sobie, teraz stał na wprost niego na środku drogi. Dokoła cicha noc, te najbardziej zdradliwe godziny między drugą a czwartą. Dla jednych czas głębokiego snu, dla drugich pora skradania się i polowania.

Stali pośrodku pylistej drogi jak dwaj uczestnicy pojedynku i mierzyli się wzrokiem, aż nagle rozległ się przeraźliwy pisk kuny, głośny, groźny dźwięk, który przenikał do szpiku kości, jakby kogoś żywcem powoli obdzierano ze skóry. Uwertura.

Karl powoli uniósł rękę, bez słowa skierował palec wskazujący w stronę ojca Marie – „Ty” – i zaczął się cofać; zszedł z drogi, kierując się w stronę pola kukurydzy. Znowu to pole.

Veit, ponownie kipiąc z wściekłości, idzie za nim, tyle że teraz jest bardziej ociężały i powolny. Odpowiada Karlowi bez słów: unosi dłoń do szyi i pokazuje podcinanie gardła.

Tym razem Karl nie ucieka. Zagłębia się między kukurydzę, dostosowując swój krok do potykającego się co chwilę człowieka; czasami musi na niego poczekać. Widzi, że im dalej, tym bardziej zawodzą Veita nogi. Grudy wilgotnej ziemi przyklejają mu się do butów i sprawiają, że stają się one ciężkie jak z ołowiu. Karl widzi również, jak desperacja i gniew znikają z twarzy ścigającego go mężczyzny, zastąpione wyrazem bólu, rezygnacji i wycieńczenia. W końcu Veit osuwa się na kolana i pada głową na ziemię.

Potem nie widać już żadnego ruchu poza lekkim unoszeniem się i opadaniem pleców. Pełen odgłosów głęboki sen pijanego. Ciężki, chrapliwy oddech. Bez czucia. Zbawienne dryfowanie aż do gorzkiego przebudzenia z bolesnym waleniem w czaszce, które rozpoczyna kolejny dzień.

Dla Karla natomiast teraz nadeszła pora działania. Wszystko, czego potrzebował, leżało u jego stóp. Najpierw rozpostarł prześcieradło obok leżącego mężczyzny, a następnie włożył całą swą siłę w przesunięcie bezwładnego stukilowego ciała na środek materiału, tak by leżało na plecach. Brzegami przykrył klatkę piersiową, ramiona, biodra i nogi, po czym obrócił Veita, wyciągnął spod niego brzegi prześcieradła i mocno go nim ścisnął. Rozłożył na ziemi następne i powtórzył te czynności. Potem następne i następne, aż ojciec Marie zaczął wyglądać jak larwa, coraz grubsza w swoim z każdym zwojem sztywniejszym kokonie, a wystająca z niego głowa wydawała się coraz mniejsza.

Kokon, z którego nie było ucieczki.

Na ziemi nie pozostało już żadne prześcieradło, tylko cztery oddarte pasy materiału, z których trzy, zwinięte w kłęb, Karl wsadził do otwartych ust śpiącego mężczyzny, a ostatnim obwiązał mu szczękę i głowę.

Teraz Veit nie wydawał już żadnych dźwięków. Przebudził się wprawdzie na chwilę, na sekundę otworzył oczy, a potem znów odplynął – tak mocno wciąż jeszcze działał alkohol.

Potem tylko wykopanie płaskiego dołu, zepchnięcie do niego ciała, tak by wystawała tylko głowa, i zasypanie reszty ziemią. Lekkie wzniesienie. Po bieli prześcieradeł ani śladu. Gotowe. Zmęczony Karl pozostał tu. Skoro wydał wyrok, musiał trwać do końca. Nocne czuwanie przy śpiącym. Czuwanie przy zmarłym. Wiedział, co się zdarzy. Wiedział, czego będzie świadkiem, i tego chciał. Ojciec Marie nie otrzyma daru śmierci bez bólu. Miał jak najdłużej patrzeć w oczy temu, co nieuniknione. Żadnego dźgnięcia w serce. Nie należała mu się nawet śmierć przez utonięcie. Nie. Cierpienie jako sprawiedliwa zapłata.

Łagodny wietrzyk zamienił się w silny wiatr; napierał na uszy Karla, surowy, zimny, nieprzyjemny.

Coś odchodziło. Późne lato.

Coś nadchodziło. Do Karla. Nastawiając uszu, ze zgiętą długą szyją, z nosem niemal przy ziemi, węszyło. Na chwilę uniosło głowę i wtedy Karl zobaczył błyszczące czarne oczy, głębokie. Niespłoszone położyło bez lęku szorstki nos na wyciągniętej ku niemu dłoni. I poszło dalej, a w ślad za nim całe stado. Sarny, spokojnie jak istoty z baśni, niemal bezgłośnie szły przez pole; ich smukłe ciała znikały między rzędami kukurydzy i we mgle. Wkrótce nastanie dzień.

Siedząc na ziemi u stóp Veita, z blokiem do rysowania na kolanach, poruszony tą chwilą Karl Heidemann czuł zadowolenie.

W pełni zdawał sobie sprawę z tego, co robi. To był akt zadośćuczynienia, a jednocześnie akt miłości. Podarunek śmierci, która nie wywoła żalu ani poczucia utraty.

Spokój i zbawienie nie tylko dla tego, któremu odbiera życie, lecz i dla tych, którzy pozostaną. Śmierć, która jemu pozwoli uciec od życia, a innym pozwoli żyć.

Przejdźcie do świata, w którym katuszą staje się nie tylko ból istnienia, ale świadomość, że są jeszcze inni ludzie.

Nowy dzień mógł już nadejść.

### 39 EGZEKUCJA

I nadszedł nowy dzień. Tak jak można się było tego spodziewać, nadszedł bardzo głośno.

– Znaleźliście tę małą?  
– Moser! Po co tak wcześniej przyjechałeś?  
– Znaleźliście ją wreszcie?  
– Małą owszem.  
– Ale?  
– Nie ma Veita.  
– To znaczy?  
– Ostatnią osobą, która go widziała, jest właściciel gospody. A potem Veit zniknął.

– Zniknął! Upił się, gdzieś się położył i śpi. Mogę się założyć. No to co, zaczynamy?

– Jest nam potrzebny.  
– Potrzebujemy tylko, żeby ktoś obok mnie jechał na traktorze. Na pewno znajdzie się ktoś, kto to robi. Jak nie, to cała kukurydza się zmarnuje. Mam już dość tego czekania! Na popołudnie zapowiadają deszcz. A więc: za pięć minut zaczynamy!

I pięć minut później się zaczęło. Buchając spalinami, potężne żelazne szczęki z gwałtownym hukiem sunęły przed siebie ze skierowanymi do przodu zębiskami jak z horroru *Rammbock*, zostawiając za sobą pas ściętej kukurydzy i chmurę pyłu.

Veit, obudzony hałasem kombajnu, był przez chwilę przytomny i uniósł wzrok na tyle, na ile mógł. Kiedy zobaczył siedzącego przy nim Karla, próbował się obrócić jak przecięta na pół dżdżownica i pokrywająca jego ciało ziemia posypała mu się na twarz, na przymknięte piekące oczy, do nosa i uszu.

Kombajn, ścinając kolejne rzędy kukurydzy, zbliżał się coraz szybciej. Był już na tyle blisko, że nawet Karl zdał sobie sprawę, że czas iść, zostawić to tutaj własnemu biegowi. Tak czy siak, głowa Veita dostanie się między żelazne zęby maszyny. Inaczej nie mogło się to skończyć. Na nic się zdały przesywające Karla błagalne spojrzenia.

Chłopiec odpowiedział tylko, pokazując palcami litery.

Z i A, a potem: MARIE.

I już go nie było.

Doszedł prawie do lasu, a wciąż za plecami słyszał stłumione dźwięki wydobywające się przez nos, ale nie wzbudziły w nim litości. Żadnego współczucia.

Marie... Ile ona mogła mieć lat? Czternaście, piętnaście, szesnaście? Jak

długo musiała znosić tę przemoc, nie mogąc wołać o pomoc? Krótkie cierpienie jej ojca to nic w porównaniu z tym, przez co przeszła.

W ciągu ostatnich dni coś w głowie Karla Heidemanna się przestawiło. Dotychczas śmierć była dla niego mediatorem pokoju, dobrym pasterzem, a żałoba niczym więcej niż przejawem egoizmu, wręcz chciwości. Nie puścić, nie uwolnić, tylko sobie pozwolić na odejście. Nie pogodzić się ze skróceniem cierpienia tego drugiego, ale zatrzymać je dla siebie i jeszcze oczekiwać współczucia.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, czym jest strach przed utratą i żądza posiadania.

Marie. Jej blask, uśmiech, głębokie spojrzenie, jej bezgłośna mowa, milczenie, dotyk, jej ciepło, zapach... Nic nie mogłoby być dla Karla piękniejsze. Nawet śmierć.

Poruszony i przepełniony szczęściem zagłębił się w gęstwinie lasu, zostawiając za sobą Veita Pokrovsky'ego, mając pewność, że postąpił właściwie, i ciesząc się, że będzie mógł ją zobaczyć.

Richard Moser panował nad swoją maszyną, ale chociaż spędził już tyle lat w kabinie kombajnu, przemierzając pola kukurydzy, nigdy sobie nie pozwalał na nieuwagę. Zbyt wiele widział, by nie wiedzieć, że czasami ułamek sekundy może zaważyć na życiu i niespodziewanie odwrócić jego kierunek – w dobrą albo złą stronę.

Już z daleka widział dość silne falowanie kukurydzy; normalnie powinno oddalać się od kombajnu, tym razem było inaczej – poruszały się łodygi w tym samym miejscu. Znał wprawdzie przypadki, kiedy sarny, zamiast uciekać od ryku silnika, sparaliżowane kuliły się na ziemi, nie dając sobie szans. Wtedy jednak nie widać było żadnego ruchu, a potem na polu pozostawała tylko padlina.

Coś takiego jak teraz jeszcze mu się nie zdarzyło. Coś tam leżało, miotało się, lecz nie ruszało się z miejsca. Richard Moser, nie puszczając kierownicy, podniósł się z siedzenia, pochylił się do przodu i spojrzał w dół. Niczego jednak nie zobaczył, przynajmniej w pierwszej chwili.

Potem coś zwróciło jego uwagę: małe wzniesienie, a w nim obracający się gigantyczny robal w kolorze ziemi z białymi przebłyskami. Przerażony Moser z całej siły wdepnął w hamulec, a potem z rozpaczą rejestrował, jak wolno reaguje potężna maszyna. W końcu się zatrzymała. Niestety, za późno.

Karl, ukryty w lesie, spojrzał w dół na wioskę, w której wybuchła panika. Ludzie biegali przerażeni, krzyczeli, chociaż larum, jakie podnieśli, kiedy z ust Veita zostały wyciągnięte kawałki lnianej tkaniny, było niczym w porównaniu z wrzaskami mieszkańców Jettenbrunn. Jedna noga została odcięta – raz na zawsze koniec z bieganiem, skakaniem, stąpaniem. Ale Veit żył. I był przytomny. Cierpiał z powodu potwornego bólu, ale silniejsza od niego była potrzeba działania, pragnienie zemsty.

– Chłopak! Znajdźcie tego gówniarza! Tę tłustą larwę! I przyprowadźcie go do mnie!

Jego niekończące się wrzaski, miotanie się napawało lękiem. A trwało to długo, bo im bardziej na uboczu położona wioska, tym więcej czasu potrzeba, by służby ratunkowe i policja mogły do niej dotrzeć. Policja zjawiała się pierwsza. Słuchała relacji Veita, jego gniewnych krzyków, patrzyła, jak macha rękami, dopóki nie przeniesiono go – wciąż miotającego się – do karetki pogotowia. Już leżąc w niej, uniósł się i krzyknął w stronę lasu:

– Wiem, że tam jesteś! Wiem o tym! Już nie żyjesz! Słyszysz?! Jesteś trupem!

## 40 UCIECZKA

Błędy się zdarzają. Na okrągło. I Horst Schubert żył z błędów.

Prawdopodobnie nie zdarzało mu się wchodzić do lokali i zamawiać potrawy, nie doszukując się przy tym niedbalstwa czy wad. I nawet jeśli ich nie dostrzegał, to wiedział, że są po prostu ukryte i wcześniej czy później wyjdą na światło dzienne, jak śmieci spod topniejącego śniegu. To przeświadczenie przenosiło się na to, jak Schubert patrzył na wszystkie sprawy, na jego stosunek do ludzi, na całe jego samotne – właśnie z tego powodu – życie. Cierpliwość – tak brzmiała jego maksyma. Cierpliwość połączona z obsesją szukania, rozkładania na czynniki pierwsze, dążenia do perfekcji z takim uporem, aż stanie się ona przyzwyczajeniem.

Teraz stał na dworze przed ciemnym oknem pokoju stołowego w domu Veita Pokrovsky'ego – obok niego Marie i jej matka – patrząc na napis na szybie, groteskowe lustrzane odbicie słów CHODŹ DO MNIE, a w myślach widział rękę, która to napisała, i nie była to ręka ducha, który wyszedł ze stawu w Jettenbrunn, krwiożerczego demona, lecz ręka osieroconego i teraz silnego już dzieciaka. Milczącego chłopca. Milczącego jak ta dziewczynka, Marie, która składała się niemal wyłącznie z oczu. Jasnych, szczerych, rozumnych. Pełnych życia, ciekawości. Oczu, w których nie było dystansu i patrzyły na niego inaczej niż oczy pozostałych ludzi. Bez zdziwienia, podejrzliwości czy lekkiego wstrętu.

– Więc stał tutaj... Karl Heidemann? – zapytał Horst Schubert. – I zaglądał do domu przez to okno. I? I co tam zobaczył?

Nie odpowiedziano mu milczeniem. Uzyskał odpowiedź, ale nie informację. Ale i tak wiedział, wystarczyło, że popatrzył na dziewczynkę i jej matkę. Znał doskonale takie uniki, to pokrywanie jasną farbą ciemnej powierzchni. Przemoc – niezależnie od tego, czy fizyczna, czy psychiczna – pozostawia ślady, nawet jeśli w celu uzyskania dowodów nie można otworzyć czyjejś duszy czy odsłonić fragmentów ciała. „Osierocony” niekoniecznie musi oznaczać nieszczęśliwy.

– Pani Pokrovsky, nie wiem, co się działo w tym pokoju... zgodnie z pani słowami nic się nie działo. Wiem natomiast, że chłopiec widział to „nic” i zapukał w okno, mimo że najwyraźniej nikt tutaj go nie znał, pozostawił na szybie wiadomość, wywabił pani męża z domu, pogonił trochę po polu kukurydzy, nie dając się złapać, i dopadł pana Pokrovsky'ego po tym, jak zamknięto gospodę.

Podczas gdy wiatr niósł każde słowo w górę wzniesienia, spojrzenie oczu śledczego, pozbawionych rzęs, brwi, jakiegokolwiek owłosienia, ominęło twarz dziewczynki i jej matki i powędrowało w dal, w kierunku lasu.

– Zdolny dzieciak, co? Chłopak, któremu już od tygodni udaje się przeżyć samemu w lasach i na polach, staje naprzeciwko silnego dorosłego mężczyzny, udaje mu się nie dać złapać, a potem go pokonuje. To musi być naprawdę niegłupi



dzieciak.

† † †

Dokładnie tam, gdzie zatrzymało się spojrzenie Horsta Schuberta, jakby mogło przebić leśną gęstwinę, stał Karl. Czekał, nie spuszczać wzroku z Aubruck.

Czekanie jako forma sztuki zwlekania, jako strategia niezdecydowanych. Czekanie nie wiadomo na co.

Czekanie kogoś, kto widzi zbliżającą się powódź, a mimo to nie chce zostawić swojego bogactwa. Marie. Tak blisko, a jednak nieosiągalna.

Głosy idących szeregiem mieszkańców wioski stają się coraz bliższe.

– Daleko ten diabeł nie mógł uciec! Pöllauer, przyprowadź swoje kundle! One go znajdą!

Karl jest poruszony.

Czuje falę nadchodzącą z ich strony, przelewającą się przez niego. Falę zaraźliwej choroby: nienawiści. Trafia na dobry grunt w chłopcu, który nie może zrozumieć niesprawiedliwości dziejącej się przed jego oczami: podły Veit Pokrovsky uniknął śmierci, i nikt nie odczuwa z tego powodu gniewu, nikogo nie złości, że z powodu nieudanej egzekucji zarówno Veit, jak i Marie zostali pozbawieni daru. Wściekłość mieszkańców Aubruck skupia się na sprawcy.

– Może sobie uciekać. Psy i tak złapią trop. Ucieczka w góry będzie dla niego ślepą uliczką. Głupek! Pobawimy się w berka.

Pobawimy się... Chcą się z nim bawić. Niech im będzie. Karl jest na to gotowy. Czuje szaleństwo przed sobą, w sobie, ale i za sobą, w niedalekiej odległości, nieco niżej. A więc dalej, przez las, w górę łagodnego wzniesienia.

– Puście psy. No, już. Pöllauer!

– Tylko na to czekałem! One też! Zgłodniały!

– Nie ma mowy! Pana kundle zostają na smyczy, jasne?! Nie urządzamy polowania z nagonką!

– Myśli pan, panie Schubert, że pozwolę sobie we własnym lesie rozkazywać, kiedy mam spuścić ze smyczy psy?! Castor, Rolf, bierzcie go!

Słysząc ziajanie, coraz bliżej. Trzeba poczekać, przywitać psy, pogłaskać po grzbiecie, jak zawsze. Karl nigdy więcej nie popełni takiego błędu jak przy Veicie. Nigdy!

Ale plan Karla nie wypala.

Żadnego witania się z psami.

Dwa kundle wysforowały się tak, że grupa poszukująca straciła je całkiem z oczu. Dobiegły do Karla diabelnie szybko. Nie ma merdania ogonami, łby lekko pochylone, ciężar ciała spoczywający na przednich łapach, uszy nastawione, sierść na grzbiecie zjeżona, ogony nieco uniesione, warczenie, szczekanie. Gotowość do

ataku.

– Niech to szlag! Słyszeliście?!

– A więc jednak potrafi wydobyć z siebie głos ta niemowa!

To, co słyszeli, było odgłosami walki: szczekaniem, warczeniem, wyciem, piskami, zawodzeniem, a między tym słychać było jęki człowieka.

– Tam! To dochodzi stamtąd! Szybciej. Teraz, panie Schubert, może pan pokazać, jak sprawnie posługuje się pan swoją służbową bronią!

Serce chłopca nie jest już czyste, nie jest już wolne od złych zamiarów, jakby plus nieuchronnie przyciągnął minus. Wczoraj miłość, dzisiaj nienawiść – Karl Heidemann ma w sobie i jedno, i drugie, połączone ze sobą dwie części całości.

Słychać echo krzyków Josefa Pöllauera odbijające się od skalnych ścian w dolinie. Wrzask, który bardziej zapowiada potrzebę działania niż groźby.

Widok rzezi wywołuje przerażenie. Po raz pierwszy na twarzach ludzi biorących udział w poszukiwaniach pojawił się prawdziwy lęk.

– Jasna cholera! Niech nam pan powie, panie Schubert, co to za potwór!

– To nie potwór, lecz chłopak, który wszystko stracił i już nic nie ma do stracenia.

– A przede wszystkim chłopak, który nie ma już czego szukać na tym świecie. A do tego jest ranny. Znajdziemy go.

## 41 DAWANIE

Nigdy dotąd Karl Heidemann nie został fizycznie zaatakowany, nie musiał przetrwać bezpośredniego starcia. Niedoświadczony, nie potrafił wystarczająco szybko reagować, zwłaszcza kiedy przeciwnicy byli wyjątkowo ruchliwi. Te psy nie były jak inne, z którymi dotąd miał do czynienia. Tamte, wyczuwając z daleka spokój serca Karla, jego myśli i zamiary, stały bez ruchu, dając się głaskać. Te były zwinne, miały ostre pazury i mocne zęby.

Teraz krwawiły mu ręce i prawa noga, ale ogarniający całe ciało ból był pożywką dla rodzącego się sprzeciwu, dla woli walki. Z trudem włókł się do przodu, w górę, w stronę szalejących ludzi. Dotarł do skraju lasu, prawie na szczycie wzniesienia, jeszcze tylko kilka metrów. Trzaski i okrzyki były ogłuszające.

– Tam! Spójrzcie tam!

– Naprawdę tego nie rozumiem. Taka góra tłuszczu.

– Ale jaja ma, trzeba mu to przyznać.

– Jeszcze tylko przez dziesięć sekund. Potem nie będzie już ich miał.

– Niech pan opuści strzelbę, Pöllauer! Bo inaczej to pan dostanie kulkę!

Karl Heidemann wyszedł zza pnia drzewa i stanął bez ruchu, ze wzrokiem skierowanym na swoich prześladowców, z opuszczonymi ramionami; w lewej ręce trzymał nóż, twarz miał brudną, na ubraniu, wszędzie, widać było krew.

– Do diabła! Zrobię to! Nie widział pan moich psów?!

– To była ewidentna obrona własna. Skuteczna. To była pańska decyzja, żeby spuścić psy ze smyczy, więc to wszystko stało się z pana winy.

– Obrona własna! Akurat! Więc ja też w obronie własnej zabiję tego gówniarza. – Rozległ się huk wystrzału. Kilka metrów od Karla z pnia posypały się drzazgi. – Słyszysz?! Lepiej zmów ostatnią modlitwę!

– Złapmy tego gówniarza! No dalej, jazda!

Padł kolejny strzał, tym razem ze służbowej broni Horsta Schuberta.

– Nikt nie rusza się z miejsca! Zrozumiano?!

Śledczy zbliżył się trzy kroki do Karla.

Chłopiec cofnął się o dwa.

– Wszystko w porządku, Karl. Nie musisz się bać. Nikt ci nic nie zrobi. Obiecuję.

Horst Schubert zrobił kolejne kroki, chłopiec się cofnął.

– Cieszę się, że cię znalazłem, naprawdę. Twój ojciec nie przeżył waszego wypadku. Od tego czasu cię szukałem i bardzo się martwiłem.

– Co jest?! Gada pan z mordercą jak z normalnym człowiekiem.

Wszyscy coraz bardziej zbliżali się do Karla. Słyszał rozmowy, szelest liści i ściółki.

– Kto powiedział, że on jest mordercą? Karl? Co ty na to? Zobaczyłeś po

prostu na drzwiach domu doktora Hofstättera w Jettenbrunn napis „Chodź do mnie” i zostawiłeś tę samą wiadomość na szybie okna Marie, żeby wywabić z domu Veita. Tak było, prawda? Mogę to nawet zrozumieć. Taką świnię jak Veit Pokrovsky...

– Schubert! Lufa mojej strzelby kieruje się właśnie w pana stronę!

Śledczy zrobił kolejny krok i dokończył:

– ...też wolałbym widzieć martwą. Ale takie czyny, nawet jeśli chodzi o ludzi, którzy nie powinni chodzić po tej ziemi, nie są dozwolone. I dlatego, Karl, miałeś szczęście. Wyobraź sobie, że plan, który chciałeś zrealizować na polu kukurydzy, by wypalił. Musiałbym cię wtedy aresztować. Karl, rzuć, proszę, ten nóż.

I następny krok do przodu.

– Nic ci się nie stanie. Daję słowo honoru. Poza tym potrzebujesz jak najszybciej lekarza i łóżka. Kąpiel zresztą też by się przydała. Znasz mnie przecież od dawna. Podejdź tu.

Jeszcze jeden krok w kierunku przepaści.

– Cholera! Schubert, on zaraz skoczy!

– Możesz mi wierzyć, Karl. Daj mi ten nóż. – Głos śledczego był teraz tak cichy, że słyszał go tylko chłopiec.

– Niech sobie skacze i zdycha. Dzięki temu zaoszczędzę kulę.

Horst Schubert z wyciągniętą ręką był już na tyle blisko, że Karl mógłby mu przebić nożem serce.

Śledczy patrzył na niego długo i uważnie. Nawet jeśli jego oczy wydawały się zimne, to w ich głębi było coś ciepłego, kryły troskę, ojcowską potrzebę zaopiekowania się. Jakby potrafił wyczytać rozpacz, zagubienie i rozdarcie z twarzy stojącego przed nim spokojnie chłopca.

Jeszcze jeden krok do tyłu.

– Karl, nie!

Nie ma się czego bać. Śmierć jest dobrym pasterzem.

I spada.

Upadł daleko, na skalistą stromą skarpe; przekoziółkował, gubiąc plecak. Kamienie sypały się na niego i spod niego. Z góry dochodziły wzburzone głosy.

– Czy pan zwariował, Schubert?!

W odpowiedzi rozległy się tylko przepełnione bólem jęki i westchnienia.

Karl pierwszy dotarł do celu.

Zanurzył się. Palce natychmiast mu zdrętwiały. Poszedł w dół. Próby zmuszenia rąk i nóg do pracy, by posuwać się naprzód, nadać kierunek ruchowi, okazały się bezowocne – żywioł był bezlitosny. Trzeba się wszystkiego pozbyć, każdego ciężaru poza ubraniem. I poddać się wodzie.

Nie był sam.

– Zaraz przy tobie będę, Karl. Trzymaj się! – Głos Horsta Schuberta był na tyle silny, by przekrzyczeć huk wody. Jeszcze.

Karl milczał, skupiony tylko na tym, by nogi były ustawione równolegle do nurtu i trzymać głowę ponad powierzchnią. Nawet nie próbował obejmować rękami któregoś z wystających okrągłych śliskich kamieni; musiał zachować siły na później.

– Trzymaj się, Karl. Musisz równomiernie pracować rękami. Pamiętaj, równe tempo. – Skrzekliwy głos śledczego teraz ledwie przedzierał się przez huk, słysząc w nim nuty rozpacz.

Trzeba pozostać spokojnym, poddać się wodzie, która wie, dokąd ma płynąć, i czekać na odpowiedni moment.

– Karl... Karl... ja... – Horst Schubert, nie mógł już złapać tchu, właściwie się nie poruszał. Stracił resztki sił. Wszystko wydawało się bezsensowne. Przestał walczyć z wodą.

A woda przestała walczyć z nim, jeszcze tylko kilka wirów, zakręt, a potem nurt zrobił się szeroki i spokojny. Otoczenie również. I oddech.

Karl zaczął energiczniej pracować rękami i nogami, płynąć pod prąd. Gdy dotarł do męczyzny, chwycił go za głowę, doholował bezwładne ciało do brzegu i wyciągnął z wody.

Horst Schubert pośpieszył mu na pomoc pełen najlepszych chęci, a teraz leżał tu na granicy życia i śmierci. Karla Heidemanna ogarnęło poczucie niesprawiedliwości; był wyczerpany i wściekły. Wszystko w nim się burzyło, sprzeciwiało. Śmierć? Nie! Nie taka.

Jego pięści zaczęły uderzać w pierś Horsta Schuberta jak werble w membranę bębna, raz po raz, dopóki z otwartych ust mężczyzny, jak ze źródła, nie popłynął strumyczek wody. Potem śledczy ze świstem nabrał powietrza i szeroko otworzył oczy, i chwilę trwało, zanim zorientował się, co się dzieje, i nieco doszedł do siebie. Dwoje ludzi patrzyło na siebie, jeden leżał, drugi klęczał.

– Dziękuję – powiedział w końcu ten pierwszy.

Nic więcej. Wszystko inne zostało powiedziane już wcześniej.

Tylko skinienie głowy na pożegnanie. Ostatnie. Bo Karl Heidemann wiedział, że jeśli kiedykolwiek się spotkają, to Horst Schubert już nie pozwoli mu odejść.

Karl wskoczył do wody, jakby to była droga, którą dobrze znał. Stracił wszystko, naprawdę wszystko: cały swój dobytek, głęboko skrywaną nadzieję, że być może kiedyś będzie mógł wrócić do domu, do ojca, szanse na to, by być blisko Marie – widzieć ją, czuć jej zapach i dotyk. Odchodził z pustymi rękami i było całkiem inaczej niż wtedy, gdy odchodził z domu. Wówczas była to ucieczka ku wolności, teraz uciekał do więzienia.

## 42 PRZYJMOWANIE

Karl odpłynął spory kawałek i dopiero wtedy wyszedł z wody i ruszył przez gęsty las. Zostawił daleko za sobą Aubruck i potencjalne zagrożenia. Wkrótce jego krok zmienił się w człapanie. Wycieńczony, włókł się, zataczając, w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Czując, że koniecznie musi odpocząć, wyszedł z lasu i zobaczył przecięte dwoma pasmami drogi szybkiego ruchu rozległe pole, a na nim szopę, która mogła być kryjówką, przynajmniej na jedną noc.

Była pusta, z brudnym klepiskiem, podartymi jutowymi workami, beczkami upakowanymi olejem napędowym. Dochodzący z drogi hałas był niczym głośnie kołatanie ołowianych kurtyn. Karl w końcu położył się na klepisku i zapadł w przepełniony koszmarami sen.

*On na łące, do połowy zanurzony w trzęsawisku, nie może się z niego wydostać. Marie biegnie do niego z daleka i krzyczy. Już nie jest niema ani głucha. Jej głos jest pełen bólu i strachu: „Karl, Karl! On wciąż żyje! Gdzie jesteś, Karl?”. Słyszą ryk silników.*

Czy to sen, czy jawa?

*Veit z zakrwawionymi kikutami nóg siedzi w kabinie kombajnu z obracającymi się ostrzami i coraz bardziej zbliża się do Marie i Karla, a on nie może się wydostać z trzęsawiska. Nie ma ucieczki. Silniki milkną.*

Czy to sen, czy jawa?

*Marie na oczach Karla pada na ziemię i nie może wstać. Próbuje iść dalej na czworakach, a tymczasem za jej plecami rozlegają się krzyki.*

– Tam jest! Tam się schował!

Ktoś z całej siły wali w drzwi szopy. Drewno w drzwiach i przy zawiasach roztrzaskuje się. Przy silniejszym uderzeniu wznosi się chmura pyłu, do szopy wpadają pomarańczowe promienie słońca i wchodzi trzech mężczyzn.

– Dopadliśmy cię w końcu, ty nędzny gnojku! Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie!

Zmrużyli oczy w pełnych gniewu twarzach.

– Zabij go, Pöllauer, tu, na miejscu.

– Nie, Pöllauer, zaprowadźmy go do Schuberta.

– Zaprowadzimy go, ale do diabła, Bruckner. Ale nie tu. Nie damy sobie odebrać przyjemności.

Trzymają strzelby na wysokości oczu.

Ciemność.

DZIEŃ PIERWSZY

Kiedy Karl odzyskał przytomność, wciąż było ciemno. Ciemność połączona z gryzącym smrodem.

Jego ciało jest zmęczone, nogi i ręce ciężkie, nie może jednak nimi poruszać. Ramiona ma uniesione nad głową, dłonie skrępowane. Poranione nadgarstki i kostki stóp palą żywym ogniem. Nagie podeszwy stóp dotykają śliskiej podłogi. Ciało jest uniesione; przy każdym ruchu Karl czuje ukłucia w stopach – podłoga jest usłana potłuczonym szkłem. Słyszy dzwonięcie żelaznych łańcuchów. Dzwonięcie bez echa; ściany – grube – są zbyt blisko siebie.

Małe pomieszczenie z kamienia i betonu.

Wilgotne. Być może znajduje się pod ziemią.

Pierś Karla, plecy, pośladki, genitalia, ręce, nogi, podeszwy stóp – całe ciało jest zimne. Zimne i nagie. Tylko na głowie ma coś, przez co przy każdym oddechu czuje na twarzy ciepło. Założono mu jutowy worek i zawiązano go na szyi, na tyle luźno, by Karl mógł oddychać.

Na tyle luźno, by mógł przerwać milczenie, jęczeć z bólu, płakać, krzyczeć, wołać pomocy.

Wszystkie dźwięki trafiają w pustkę.

Karl traci poczucie czasu.

DZIEŃ DRUGI

– Zróbmy to tutaj.

Karl słyszy nad sobą dzwonięcie łańcuchów.

– A teraz w górę z nim!

Cięższy niż kamień, uniesiony w górę, słyszy oznaki życia, dźwięki lasu. Głosy stają się wyraźniejsze.

– Myślicie, że on jeszcze żyje?

– No, mam nadzieję.

Potem ukazuje się światło, rozproszone przez materiał na jego głowie. W górze widać krąg światła, a więc wsadzili go do jakiegoś szybu.

Czuje uderzenie w twarz.

– I jak ci się spało, ty tłusta świnię?

– Już nie jest tak zabawnie, co?

Kiedy zdejmują mu z głowy worek, widzi na ich twarzach wyraz niczym niezmałowanej radości. I znów dostaje w twarz.

– Nie gap się na mnie! Patrz na to!

Snop światła latarki świeci prosto w oczy Karla.

– A teraz na to!

Światło gaśnie.

– O, przepraszam. Nie musisz od razu widzieć wszystkiego. Mamy czas.

Śmiech.

– I co? Już coś widzisz?

Snop światła pada tylko na część szybu, a potem na drugą stronę.

– To, żebyś się nie czuł samotnie!

Latarka oświetla truchło jednego z psów.

– Co teraz z nim zrobimy, Pöllauer? Nie możemy go przecież tu powiesić.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, Bruckner, co możemy. Daj mu coś do picia.

Jedzenia mu nie trzeba, jest wystarczająco gruby.

Znowu śmiech.

– Nie chcemy, żeby o nas źle mówiono. Chłopak musi zobaczyć, że jesteśmy miłymi gośćmi i można nas lubić. Neupold, daj mi ten kij.

– Pöllauer, ja naprawdę...

– Zamknij się, Bruckner. Wyjdź na górę, jeśli nie chcesz patrzeć.

– Pöll...

– Powiedziałem, żebyś stąd wyszedł!

– Masz kij.

– Dzięki, Neupold.

Musi spojrzeć na ten szyb jak na sprzymierzeńca, jak na piwnicę w domu w Jettenbrunn, pogodzić się z ciemnością i z ludźmi, aż znajdzie włącznik, tak jak tam. *Światło się zapala. Światło gaśnie. Światło się zapala. Światło gaśnie.* Włącznik to klucz do wszystkiego.

– No więc na czym to skończyliśmy, mój chłopcze? Aha, na tym, że jesteśmy mili. Masz taką ładną dupcię...

Od wszystkiego się odgrodzić. Nie pokazać bólu. Nie wydać żadnego dźwięku.

Wkrótce zapadnie ciemność.

Wkrótce znów zostanie sam.

Wreszcie będzie mógł zapłakać.

DZIEŃ TRZECI

– Schodzę do niego na dół, Pöllauer, czy ci się to podoba, czy nie.

– I co potem? Co zrobisz potem, Bruckner? Adoptujesz go?

– A ty? Co zamierzasz? Zastanawiałeś się w ogóle nad tym w tej swojej chorej głowie?

– Jasne, że się zastanawiałem. Zostawimy go tutaj, dopóki Veit nie wróci ze szpitala. To będzie prezent dla niego. I to Veit postanowi, co z nim zrobić, czy obciąć mu nogi i pozwolić się wykrwawić, jak moje psy, czy oddać go policji. To będzie jego decyzja.

– Ale Veit wróci ze szpitala dopiero za kilka tygodni.

– Całkiem tu przytulnie. Gówniarz dostanie za darmo wikt i lokum, kilka koców, jakieś stare ciuchy. A dzień przed tym, jak pojawi się tu Veit, możemy oblać gówniarza wodą, żeby był czystutki.

DZIEŃ PIĄTY, SZÓSTY I SIÓDMY



Trzeba oddzielić umysł i ducha od ciała.

Wytrzymać nieznośny smród, zimno, wilgoć i ból. Spróbować dojrzeć w tym mroku najspokojniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek się znajdował, miejsce pod ziemią. Grób. Grób z jego grobową ciszą, do którego nie dociera nic z zewnątrz. Tylko on. Wyczekujący. To dla Karla nic nowego. Wkrótce ciemna przestrzeń da pole jego wyobraźni. Ściany pomalowane, każda na inny kolor – na błękit nieba, zieleń łąki, żółć słońca i brąz ziemi. Twarde kamienne podłoże to drewniane posłanie w saunie domu w Jettenbrunn, a czasami nawet miękkie łóżko. Dwuosobowe. Dla niego i Marie. Szyb jak zaczarowany staje się pokojem – dziennym, sypialnią, jadalnią – albo nawet całym domem, przytulnym, jasnym, dla dwojga, a może nawet dla trojga.

Tak, rodzina, z dziecięcym pokojem i kołyską. Sierść psiego truchła, kiedy dotyka go przez nieuwagę, staje się poduszczką, pluszakiem, miękkim pledem. Karl tak długo patrzy w górę, aż wokół pokrywy szybu udaje mu się dostrzec srebrny cienki krąg i widzi w nim dobrotliwie patrzące w dół oko.

Ciasne pomieszczenie, w którym się znajduje, Karl musi potraktować jako coś w rodzaju plandeki chroniącej go przed demonami nazywanymi ludźmi.

Te demony przychodzą codziennie, o tej samej porze, żeby zrzucić do szybu butelki z wodą, resztki jedzenia – czerstwy chleb, nadgniłe owoce i warzywa czy jakiś ochłap mięsa.

– To są przecież żeberka z grilla, Bruckner. Jest na nich całkiem sporo mięsa. Za wykwintne dla niego.

– Masz, chłopcze, mam nadzieję, że...

– ...podoba ci się pobyt tutaj! Bo jeszcze trochę potrwa, zanim Veit, z którego zostały już tylko kości i skóra, będzie mógł się ruszać z tym swoim kikutem.

Kości... Umysł Karla nagle się ożywił. Kości... Czyżby to był klucz?

Tylko się nie przerazić konsystencją rozkładającej się psiej padliny, bo do smrodu Karl już się zdążył przyzwyczaić. Przebić się gołymi palcami przez skórę, mięśnie i wwiercić się nimi w truchło, żeby dostać się do kości tylnych łap – mocnych kości – i wykręcić je, dopóki nie oddzielią się od reszty. A później włożyć je do szczeliny w skale i poruszać nimi, obracać je tak długo, aż brzegi nabiorą ostrych kantów i na końcach powstaną szpice.

Potem wystarczy już tylko czekać.

**DZIEŃ OSIEMNASTY**

– Kurwa, Pöllauer, popatrz tylko na to. On porozrywał twoje psy.

– Pewnie z głodu. Przeklęty sukinsyn!

– Co was obchodzą te psy. Cholera, ten dzieciak już się nie rusza. Musimy ściągnąć pomoc!

– Jasne, Bruckner. Pomoc! Zostawimy go tu. Nikt go tutaj nie znajdzie.

– A może byłoby lepiej, gdybyśmy go wyciągnęli, zanieśli do wsi i powiedzieli, że go znaleźliśmy. Wyszlibyśmy wtedy na bohaterów.

– Jeszcze lepiej by było zakopać go gdzieś w lesie. W ten sposób oszczędzilibyśmy sobie odpowiedzi na kilka głupich pytań, przynajmniej na jakiś czas.

– No to jazda w dół! Wyciągniemy go na łańcuchu.

Czekać. Czekać na właściwy moment. Z kośćmi w obu rękach.

Czekać, aż trzy bijące serca zbliżą się na tyle, by można było trafić w nie na ślepo. Wybrać dwóch jako cel. Zebrać wszystkie siły, czuć pod zamkniętymi powiekami światło dnia, wciągać w nozdrza zapach płynącego z góry świeżego powietrza. Być gotowym na powitanie życia. Albo śmierci. Wszystko jedno czego.

Porusza się jak błyskawica. Trafia idealnie w dwa punkty. Nikt nie krzyczy. Tylko Bruckner ciężko oddycha.

– Proszę cię, chłopcze, błagam, nie zabijaj mnie. Przysięgam ci, że to wszystko zostanie między nami. Rozumiesz? Wszystko.

Uciec. Jak najszybciej uciec z tej krypty, do życia.

Zamiast wachać kwiatki od spodu, Bruckner będzie dźwigał swój ciężar.

Na Karlu osiadła ciemna powłoka. Stał się inny, uwięziony w labiryncie własnych myśli. Plecak, który zawsze nosił na ramionach, zamienił na znacznie większy, choć niewidoczny ciężar: na gniew, nienawiść, sprzeciw wobec skierowanej do niego pogardy, na pragnienie odwetu.

No bo skoro ci podli, silni, głośni – jak Veit Pokrovsky – mieli swoich sprzymierzeńców, całe hordy gotowych na wszystko popleczników, to kto stanie po stronie tych słabych, kto może przeciwstawić tej krzyżującej przemocy coś mocniejszego?

Tego, co ludzie nazywali pomocnym Bogiem, nie ma. Nie ma Boga sprawiedliwych.

Więc co można zrobić, żeby położyć kres własnej bezradności?

Działać. Tylko działać.

## **Część 3 NADZIEJA**

*Ucieczka jest drogą do przodu.*

## 43 NIEWIDZIALNY

Tego dnia w lutym 2001 roku wieczorem widoczność była idealna. Wąska ścieżka prowadząca do starych murów jego domu znów była posypana cukrem pudrem. Rzadkość w tej okolicy. Biel nie towarzyszyła zwykle zimie, raczej wiosnie, kiedy kwitły magnolie, drzewa wiśni, moreli i migdałowców. W tym roku jednak zima przykryła jego ojczyznę białym płaszczem. Śniegiem.

Paolo Moroder nie wyobrażał sobie, że gdzieś może być piękniejszy kraj niż ten.

Przyszedł na ten świat aż trzy razy. Po raz pierwszy gdzieś tam. Po raz drugi, gdy krótko po tym zostawiono go w wiklinowym koszyku – bez nazwiska, bez pochodzenia – przed drzwiami komisariatu. I wreszcie trzeci raz, trzydzieści pięć lat później.

Trzydzieści pięć. Dwadzieścia plus piętnaście.

Przez pierwsze dwadzieścia nic ciekawego: dom dziecka, rodzina zastępcza, dom dziecka, rodzina zastępcza, dom dziecka... Gdzieś po drodze sąd dla nieletnich, drobne kradzieże, akty wandalizmu, bijatyki. Życie bez korzeni. I wreszcie ostatnia z wielu rodzin zastępczych. Katolicka, mieszczańska. Głowa rodziny, dobrze prosperujący przedsiębiorca, zrobił dobry uczynek, przyjmując pod swój dach dzieciaka, który pobłądził, i dzieląc się z nim swoim dobrobytem. Życie bez trosk. Na pozór.

Dwoje dzieci, jedno rodzone, drugie przygarnięte – Paolo.

Ciężko pracująca głowa rodziny, rzadko obecna w domu. Dorastający rodzony syn, który wyjechał na studia. I matka, Claudia.

Matka, która miała za mało obowiązków i za dużo personelu: ogrodnika, gosposię, sprzątaczkę. Kobieta, która nie miała się czemu poświęcić. I wtedy pojawił się Paolo, siedemnastoletni, pełen życia, odwagi, lekkomyślny. Z matki zastępczej i przygarniętego syna stali się parą kochanków; miłość chłopaka przerodziła się w pragnienie wspólnej ucieczki, tajemnica romansu zamieniła się w zdradę, a namiętność w cierpienie. Po którymś powrocie do domu mąż wziął strzelbę myśliwską i w kuchni wymierzył ją w Claudię, a Paolo Moroder – odważny i lekkomyślny – chwycił za nóż kuchenny.

Siedem głębokich, bezlitosnych ciosów w ciało zastępczego ojca, który w tym momencie oddaje strzał, i to celny. Pierwsza miłość. Ostatnie szczęście.

Wszystko się skończyło w ciągu paru minut.

A potem przez piętnaście lat ci sami ludzie – strażnicy, sąsiedzi z celi, duszpasterz, nauczyciel, wychowawca. Piętnaście lat spędzonych za kratkami, opanowania, wzorowego zachowania, monotonnej rutyny. Bardzo szybko w tych sztywnych ramach, w których się poruszał, Paolo Moroder znalazł swoją wolność, a te mury stały się jego domem. A potem, kiedy go zwolniono, to wychodząc

z więzienia z jedną tylko rzeczą w ręce – Biblią – dokładnie wiedział, dokąd iść.

I znów znalazł się w murach, ale tym razem cały się temu oddawał, z poświęceniem i wdzięcznością. Ludzie żyjący na wolności tylko z pozoru mają swobodę, a tak naprawdę są wpychani do szeregu i maszerują w kierunku chciwości – tak myślał Paolo.

Co najmniej dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i piątki, niezależnie od pogody, pokonywał tę drogę – czasem sam, czasem w towarzystwie. Schodził ze wzgórza, spędzał dzień w dolinie i wieczorem wracał. Zdecydowanie stawiając kroki, czuł spokój, który spływał na niego dzięki ciszy, ale także dzięki słowom. Cichym, czystym, jasnym słowom. Tak silnym jak modlitwa, lecz bardziej szczerym, prawdziwszym. Tak właśnie było tego dnia w grudniu.

*Wokół cisza! Blask księżycy tańczy*

*W korowodzie w lesie i w sieni,*

*A nad tym króluje milczenie*

*I nic, tylko zimowa noc.*

Kiedy zrobiło się już ciemno, napłynęła łagodnie noc, patrzył w dal, a w mroźnym powietrzu unosiły się obłoczki jego oddechu.

*Wokół cisza! Daremne nasłuchiwanie*

*Ochryplego krzyku wrony.*

*Nie rozbrzmiewa szelest świerków*

*Ani nie szumi płynący potok.*

Świeży śnieg cudownie połyskuje w blasku księżycy. Na chwałę Pana, w podzięk Panu. Domy w dolinie wyglądają jak niewielkie ciemne skrzynki z maciupeńkimi światełkami.

*Wokół cisza! Wiejskie chaty*

*Wyglądają niczym groby*

*Przykryte śniegiem, stojące*

*Na środku dalekiego cmentarza.*

Wysłuchać się w siebie, tylko w siebie, czuć spokój.  
*Wokół cisza! Nie słyszę kołatania,*

*Gdy moje serce wędruje przez noc –*

*Gorące łzy spływają w dół*

*Na mroźny zimowy przepych<sup>4</sup>.*

I tak Paolo Moroder szepcze do siebie, aż dostrzega, że na środku polany, tam gdzie zwykle niczego nie ma, połyskuje w śniegu coś ciemnego, jakiś cień. Na widok tego cienia Paolo jak w zwolnionym tempie dotyka palcem czoła, potem piersi, lewego ramienia i prawego. Kreśli znak krzyża.

I krzyż jest również przed nim.

Ciemny ślad krzyża w śniegu.

## 44 POSZUKIWANIA

Nie ma żadnych śladów, poza jednym. Tego wrześnieowego dnia Horst Schubert, patrząc, jak Karl Heidemann się oddala, nie mógł się nawet podnieść, nie wspominając już o tym, żeby ponownie wejść do wody. Mógł jedynie, choć z wielkim trudem, wrócić na urwisko – tam gdzie chłopiec zgubił plecak.

To, co w nim znalazł, było w jego oczach tak nieprawdopodobnie głębokie i tak niesamowicie piękne, jak nic, co do tej pory widział. Dzieła sztuki, kartki bloków rysunkowych pokryte szkicami. Rysunki tak żywe, wierne naturze, jakby to były przerobione fotografie.

Twarze, które znał: Charlotte i Johann Heidemannowie, Gertraud i Heinrich Auböckowie, mieszkańcy Jettenbrunn – Oberwaldnerowie, Lamprechtowie, Adele Konrad, kilka portretów Aloisa Daxbergera – pomiędzy nimi podobizny zwierząt, saren, zajęcy; był także Veit Pokrovsky. Każda z osób została narysowana z zamkniętymi oczami. Portrety tych ludzi przedstawiały – tak przynajmniej uważał Horst Schubert – oblicze... nie, piękno śmierci. Poza jednym. Tym, na którym była córka Veita Pokrovsky'ego. Marie.

Kiedy spojrział na tę kartkę, zobaczył łagodne oczy o przyjaznym spojrzeniu. Patrzyły dokładnie tak, jak dziewczynka spoglądała na śledczego. Szeroko otwarte, uśmiechające się, uważne, pełne życia.

Na początku Horst Schubert nie mógł wprost uwierzyć. Kto w takim razie grasował od miesięcy po okolicy, zostawiając po sobie te krwawe ślady, siejąc strach wśród mieszkańców? Kto popełniał te straszne czyny, w których trudno był dostrzec jakiegokolwiek ślady estetyki czy szacunku?

Ludzie wysyłani na tamten świat w przerażający, brutalny sposób, najczęściej w nocy, z gardłami popodrzynanymi podczas snu, potopieni w wannach, stawach, potokach, zrzućani w przepaść, przywiązani do torów na niewidocznych z daleka zakrętach. Ludzie, po których nikt nie wylewał łez, a świat w końcu dostrzegął, że byli despotami i tyranami. Kto dawał sobie prawo postępować niezgodnie z prawem, dokonując samowolnie egzekucji w imieniu tych bezradnych, bezwolnych, cierpliwych, uzależnionych? Anioł apokalipsy, mroczny zwiastun nadchodzącego tysiąclecia, jak nazwała go jedna z gazet? Kiedy to się wreszcie skończy? Wraz z nowym millennium, czy z zagładą świata?

Nie kończyło się.

Były wprawdzie przerwy, ale tylko przerwy, jakby podczas nich zbierał siły, a potem znów atakował.

Horst Schubert nie wiedział już, co robić.

Nikt nie wiedział. Ani nikt z policji, ani ze służb, na których udział w śledztwie Horst Schubert musiał się w końcu zgodzić. Zawsze byli krok z tyłu.

Gdzie szukać? I czy w ogóle chodzi o tylko jednego sprawcę? Jeśli tak, to

jaki jest jego profil? A przede wszystkim: jaki jest profil ofiar? Ofiarą mógł być każdy, kto ukrywał swoją ciemną stronę. Ale czy nie dotyczy to każdego?

Grasował po kraju przez ponad rok. Nadszedł szósty grudnia 2000 roku, osiemnaste urodziny Karla Heidemanna. Czy wciąż żył? Horst Schubert nie miał pojęcia.

Dzień pełen dziecięcych oczekiwań. Dzień radości. I dzień śmierci: mężczyzna z białą długą brodą, w biskupiej czapce i czerwonej opończy ze złotymi lamówkami. Rainer Bergmann, ojciec rodziny, idzie nocą przez śnieg do następnej wioski. Tego dnia brał na kolana dzieci, wciskał w ich małe, delikatne dłonie słodczyce, czytał fragmenty bajek, z czułością głaskał po główkach, ale w jego myślach tych czułości było stanowczo zbyt wiele. Jak się okazało, nie pozostawało z nich nic wtedy, gdy znajdował się w gronie własnej rodziny. I nigdy ich już nie okaże.

Znaleziono go na skraju lasu, przywiązanego do drzewa, z odciętymi genitaliami, przeciętymi żyłami na nadgarstkach i zaklejonymi ustami. Kiedy go zauważono, zdążył się już wykrwawić, a głodne ptaki i małe dzikie zwierzęta okaleczyły zwłoki. W śniegu odkryto krwawe ślady i odciski stóp prowadzące do torów, po których jeździły dalekobieżne pociągi, i tam znikwały.

Horst Schubert nie wiedział, co począć. Nie widział przed sobą żadnego celu, tylko kolejne trupy. Żadnego kierunku, w którym mógł podążać, tylko nerwowe miotanie się między jednym miejscem zbrodni a drugim. Nie miał czasu, żeby odetchnąć, znaleźć chwilę spokoju, zająć się swoim – niespełnionym wprawdzie, ale jednak własnym – życiem. Wytarciem kurzu z szyn, żeby jego miniaturowa kolejka mogła po nich krążyć z cichym szumem. Teraz miało się to zmienić. Na długo.

† † †

Karl Heidemann zniknął; i to inaczej niż w ciągu ostatnich miesięcy. Zniknął w muzeum tradycji, zasad, nauki, w zamrażarce historii, w której łąduje wszystko, co nie trafia do bramy życia, i tam zostaje zachowane.



## 45 ZAPOMNIENIE

Szaleństwo ostatnich miesięcy – ta wyprawa krzyżowa, którą podjął w imię rozumianej po swojemu sprawiedliwości – nie przyniosło Karłowi Heidemannowi ani spełnienia, ani upragnionego spokoju. Czuł się raczej jak ogrodnik, który przemierza łąkę i od czasu do czasu schyla się, żeby wyrwać chwast, doskonale przy tym wiedząc, że krok przed nim jest następny i jeszcze jeden po prawej, i po lewej, rosną kępami, wszędzie. Czasami Karl tracił orientację, nie tylko w terenie. I tak, podczas gdy on miał w oczach tylko obłąd, nadeszło i minęło Boże Narodzenie 1999 roku, potem millennium, przy którym wcale nie nastąpił zapowiadany koniec świata, czas płynął, a zmiany pór roku zupełnie go nie poruszały; w domu był wszędzie i nigdzie: w szałasach, szopach, jamach, w rurach odpływowych, w leśnych chatkach dla wędrowców, na opuszczonych placach budowy, w stawianych domach jednorodzinnych, starych stodołach, w czymkolwiek, co dawało schronienie. Do zniesienia zimna czy upału potrzebował tylko jednego – woli.

A wola Karła, przynajmniej na początku, była niepokromiona i koncentrowała się na jednym: nie popełnić już błędu.

Poza jednym: szaleństwem.

Szaleństwo może doprowadzić człowieka do ostateczności, może go wypychać w otchłań, coraz głębiej i głębiej, tak że nie może się już bronić i nie ma ucieczki. To kara dla ciała i duszy. Karl Heidemann czuje już tylko zew zła. Zła, które musi zostać pokonane.

Wkrótce jego życie staje się czystym szaleństwem.

W swoje osiemnaste urodziny, bez życzeń – jego ciało było już szczupłe i wycieńczone, miał włosy do ramion i gęstą, choć jasną brodę – popatrzył jeszcze raz nie tylko w oświetlone blaskiem adwentowej świecy okno, ale i w oczy swojej ostatniej ofiary. Rainera Bergmanna przebranego za Świętego Mikołaja.

Szósty grudnia. Noc. Wszystko od początku.

Było ciemno, Karl mógł jednak w świetle księżyca w pierwszej kwadrze dostrzec gasnący blask w oczach mężczyzny. W oczach, które – jak tyle już razy wcześniej – wydawały się niezgłębione. Ale Karl Heidemann zobaczył w nich coś jeszcze, jakby to był specjalnie dla niego przeznaczony prezent urodzinowy, coś, co wywołało w nim dreszcze. Zbliżał się krok po kroku do opuszczonej głowy, do błagalnego spojrzenia, aż w końcu zyskał pewność, że w tym gasnącym mrocznym blasku widzi własne odbicie.

A w głowie słyszał głośnie słowa:

*Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie<sup>5</sup>.*

Karlowi Heidemannowi wydaje się, jakby stopił się w jedno z Rainerem Bergmannem, jakby to on stał w śniegu, przywiązany do drzewa, jakby w spojrzeniu mężczyzny nie było błagania, lecz wyraz bratania się. „Jesteś jak ja. Słyszysz, patrzysz i czujesz tak samo jak ja? Jak ja!”

Trzeba uciekać. Karl musi uciekać. Od siebie samego.

Popędził przez śnieg do torów, a potem biegł wzdłuż nich, dalej i dalej, aż dotarł do stojącego pociągu towarowego i po ciemku wdrapał się na jeden z wagonów, na którym był las. Każdy z wagonów – połączonych w niekończący się łańcuch – był załadowany pniami drzew, a między nimi leżał Karl, nawet wtedy, gdy pociąg ruszył. Była to mroźna jazda. Głośnie. Przez miasta, tunele, mosty, rozległe niziny, a potem pociąg serpentynami piał się w górę i w końcu się zatrzymał. Mężczyźni z latarkami oglądali pnie drzew, rozmawiając ze sobą w dziwnym języku, używając słów niezrozumiałych. Obcy język. Obcy kraj, w którym Karl znalazł się, nawet sobie z tego nie zdając sprawy. Nie było jednak drogi powrotu. Miał nową ojczyznę. Gdzieś.

Szedł dalej, całymi dniami, tygodniami, ukrywając się tak, jak potrafił, tyle że teraz był bardziej przerażony, mniej pewny siebie, mniej zmotywowany; nie widział przed sobą śmierci – niósł ją w sobie. Przestał wierzyć, że to, co robił, było dobre, właściwe, a tym samym przestał wierzyć, że sam jest coś wart. I to go powoli zabijało, pozbawiało sił, woli, sprawiało, że nagle przestał być ostrożny; coraz częściej pozwalał, by ludzie go widzieli, przeganiali go, a jeśli się chował, to nie dlatego, że tego chciał, ale dlatego, że musiał. Jak któregoś wieczoru pod plandeką parkującej półciężarówki, załadowanej kartonami zaklejonymi banderolą. W każdym kartonie sześć butelek, pustych, więc nie było co pić, ale przynajmniej miał gdzie się schować. A potem jechał bez końca przez góry i doliny, drogami szybkiego ruchu o kilku pasmach, przy warkocie silnika, świcie wiatru, łopotaniu plandeki. Pasażerem na gapę rzucało na boki, kręciło mu się w głowie, czuł mdłości, aż zrobiło mu się słabo i doszedł do siebie dopiero, kiedy samochód się zatrzymał i Karl usłyszał gdakanie kur, szczekanie psa, gulgotanie indyka i serdeczne powitanie. Potem zrobiło się cicho i został sam. Głodny, wygrzebał się z kartonów, zszedł z paki ciężarówki i rozejrzał się po podwórzu gospodarstwa. Zajrzał do szopy, w której również piętrzyły się kartony z butelkami, tyle że te były pełne. Poczęstował się – wziął po jednej do każdej ręki. Właśnie zamierzał odejść, kiedy został zauważony. Usłyszał ruch, zanim go zobaczył, podwórze zalało światło, gdy kierowca półciężarówki wyszedł z domu. Posypały się kamienie, rozległy się krzyki.

Po raz kolejny trzeba uciekać. A sił brak. W ciemność. Znowu śnieg, znowu pod górę. Karl Heidemann już dłużej nie może, nie chce. Niech go gdzieś wyrzuci. Niech to się skończy. Biegnie, dopóki całkiem nie opadnie z sił. Patykiem wpycha oba korki do środka butelek i łapczywie gasi pragnienie, szemrzący jak w źródle

płyn pozostawia czerwone plamki na śniegu.

Karl idzie dalej, pijąc, cały czas pod górę; w jego ciele rozchodzi się ciepło, czuje jakąś lekkość, trochę się zatacza, ale się nie zatrzymuje, dopóki nogi są gotowe go nieść.

A potem w końcu się kładzie i już nie wstaje. Zamyka oczy.

Zapomina o zimnie. Zapomina o wszystkim.

Krzyż. Ciemny, wzniosły. Paolo Moroder ściągnął płaszcz i zaczął brnąć przez śnieg. Szedł coraz szybciej i wkrótce rozpoznał, że pozioma belka krzyża to rozpostarte ramiona, a pionową tworzą nogi, tułów, szyja i głowa. To nie krzyż, to człowiek.

Młody. Paolo jeszcze przyśpieszył kroku, kiedy się zorientował, że leżącemu na śniegu człowiekowi bliżej jest do śmierci niż do życia. Zapadnięte policzki na brudnej twarzy, wymizerowane ciało pokryte strupami i jątrzącymi się ranami, słaby oddech, zamknięte oczy, śnieg wokół zabarwiony na czerwono.

Paolo miał jeszcze dwa kilometry drogi.

Nie mógł jednak zostawić tu tego człowieka.

Miał wszystko, czego potrzebował do przetransportowania go: dwie silne ręce, dwie mocne nogi i stalową wolę.

## 46 Przebudzenie

W środku czuł zimno, ból i pogardę dla siebie, ale na zewnątrz wszystko było miękkie. I ciepłe.

Materiał, który czuł na skórze, materac, na którym leżał, rozpostarta na jego ciele puchowa kołdra i wreszcie dochodzący z daleka śpiew. Tylko męskie głosy, jakby wychodziły z jednego gardła, żadnych instrumentów, żadnego chaosu. Śpiew niczym szybowanie, kołysanie. Śpiew, który nie sprawiał Karlowi Heidemannowi bólu, lecz go uśmierzał. Nieprawdopodobny spokój. Tylko ten cichy szum gdzieś całkiem blisko.

Karl spróbował otworzyć oczy, ale czuł się tak, jakby ktoś położył mu na powiekach dwie ciężkie monety, a kiedy mu się udało, zobaczył, że jest dość ciemno; przez pomarańczowobrazowe zasłony do pomieszczenia wpadało przyjemne światło. A obok było tylko to, co niezbędne: łóżko, szafka nocna, szafa, umywalka, stół i jeden fotel.

Zajęty.

Zajęty właściwie bez przerwy, od chwili gdy Karl się obudził, a może nawet od momentu, kiedy się tu znalazł.

Pierwsze słowa skierowane do Karla zabrzmiały obco:

– *La pace sia con te!*

Nie rozumiał ich treści, podobnie jak tego, co usłyszał potem.

– *Capisci me?*

Przygarbiony starszy mężczyzna spokojnie podszedł do łóżka Karla i uśmiechnął się.

– *Do you understand?*

Karl nie zareagował.

I nagle usłyszał słowa, które zrozumiał:

– Jasnowiący chłopak. Więc może mówisz po rosyjsku albo po niemiecku. Jestem brat Paolo.

Co robić? Najlepiej nic. Zamknąć się w sobie, nie otwierać żadnych drzwi. Karl Heidemann chciał się odwrócić, ale nie miał na to siły; poczuł, jak na czoło występują mu krople potu, i zamknął ciężkie powieki.

– Masz, chłopcze, wysoką gorączkę. Powiedz tylko, czy mnie rozumiesz. Wystarczy, że skiniesz głową.

Karl ani nie skinął głową, ani nie wydał żadnego dźwięku, tylko mocniej zacisnął powieki.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Te słowa zostały powiedziane w dobrej wierze, ale nie miały sensu. Mówiony język to brama do mgły. Zwodzi, wprowadza w błąd, udaje, pogania, pozbawia potrzeby uważnego przyjrzenia się, czytania w drugim człowieku.

Przykrywa to, co subtelne, warstwą papki, szufladkuje ludzi. Jedno słowo może wszystko zniszczyć. Wystarczy skrzeczący, ostry głos i już nie widzi się w kimś delikatności. A w kimś, kto ma łagodny głos, nie dostrzega się gruboskórności.

Od czasu tych dwóch dni na polu kukurydzy, które wszystko zmieniły, od spotkania z Marie, tą cichą dziewczyną, Karl Heidemann jedno wiedział z niezbitą pewnością: Jeśli on albo ona, czy ono, jakkolwiek miało postać, rzeczywiście istnieje, to jest nieme.

Bóg jest niemy.

Spać, tylko spać.

Snem, który w końcu będzie miał swój kres.

W pokoju jest jasno, zasłony odsunięto, okno uchylono. Bzyczenie much przynosi ból. Siadają na ciele Karla i pocierają nóżkami, jedna o drugą, co przenosi go w czasy, gdy miał jeszcze dom i był z ojcem. Ale tamte czasy nie wrócą; nie odczuwa już potrzeby zabicia ich. Teraz jest gotowy je znosić. Nic nie może być tak straszne jak dni, kiedy skrępowany łańcuchami siedział w ciemnym szybie, i mrok dni, które nastały potem.

Przez uchylone okno usytuowane na wysokości ziemi patrzy na to, co piękne – na rozległy trawnik, wznoszący się w oddali las, promienie słońca oświetlające wzgórze i padający na trawę cień wysokiego jak wieża budynku.

Gdzieś blisko za oknem pracuje malarz; słychać, jak pędzel głaszcze jakąś twardą powierzchnię, ciche prychanie.

I oddech dochodzący z bardzo bliska.

– *Tutto bene?*

Brat Paolo wciąż tu siedzi. A z nim jakaś obca kobieta, czterdziestokilkuletnia, w białym płaszczu. Zbliża się; Karl czuje przyjemny zapach, lekki jak dłoń, którą kobieta czule kładzie na jego czole. Nie rozumie jej słów. Kobieta coś robi z jego ręką i Karl po chwili czuje we wgłębieniu łokcia lekkie ukłucie i pieczenie; widzi plastikową rurkę prowadzącą do butelki nad swoją głową, z jakimś przezroczystym płynem. Pierwsza, druga, trzecia kropla, czwarta, piąta. Szósta i kolejne.

Kiedy znów się obudził, pokój był pusty, a jednak ktoś Karla odwiedził. Malarz, który stał na zewnątrz budynku, odważył się zajrzeć przez okno do środka, przeżuwając coś z apetytem. I Karl, o dziwo, się uśmiechnął. Malarz nie miał bowiem pędzla, tylko szczeciniasty ogon, którym machał, by odpędzić muchy, i przy każdym ruchu zamiatał mur klasztoru. Głęboko czarne oczy spojrzały na Karla. Biały grzbiet nosa i biała grzywa. Po chwili mistrz malarstwa zniknął. I mistrz przetrwania. Chudy, wymizerowany, miał na boku, na jasnobrązowej sierści, wypalony znak: kółko, a w nim litera Q.

Q. Wysłuzony rumak. Zwierzę robocze.

W ciągu następnych dni kilka razy przychodził na chwilę. Czasem Karl

machał mu lekko, z wahaniem, ręką, czasem koń widział w pokoju ludzi, którzy opiekowali się chorym, mężczyzn w milczeniu zmieniających mu mokre od potu ubrania, przynoszących zimne okłady, smarujących go maścią i pachnącymi olejkami, zmieniających opatrunki, podających picie, jedzenie, basen. Dziewięciu mężczyzn między czterdziestym piątym i dziewięćdziesiątym rokiem życia nieustannie pełniło przy Karlu dyżury. Szybko poznał ich imiona. Brat Richard, który często rozmawiał po niemiecku z bratem Paolem; brat Dimitrij; brat Janek – kucharz; najmłodszy z nich, czterdziestosześcioletni brat Leander; najstarszy, osiemdziesięciodziewięcioletni brat Daniele; brat Luigi i brat Fabiano. Jak Karl wkrótce się przekonał, byli jedynymi mieszkańcami klasztoru. Roztaczali wokół siebie atmosferę spokoju, nigdzie im się nie śpieszyło, niczego nie żądali. I poświęcali mu tyle czasu, ile było potrzebne. Od czasu do czasu tylko któryś pytał:

– *Ty mienia ponimajesz?*

– *Mówisz po polsku?*

– *Parles-tu ma langue?*

Po jakimś czasie Karl, słysząc zbliżające się kroki, wiedział, który z nich się zjawi. Często razem z nimi przychodziła lekarka, Antonella Poletti, ciepła jak matka, dająca poczucie bezpieczeństwa.

Takie też były słowa brata Richarda, który wielokrotnie próbował nawiązać z nim kontakt w różnych językach; bezskutecznie, chociaż to, co mówił, działało jak balsam.

– Nie śpiesz się z niczym. Musiały cię spotkać straszne rzeczy. Cokolwiek cię ścigało, tu jesteś bezpieczny.

A któregoś razu zwrócił się do brata Paola:

– Droga Boga przywiodła go do nas.

Droga Boga? Karl zamknął oczy. Tak długo już się błąkał i na żadnej ze ścieżek nie widział znaku „Droga Boga”. Na żadnej.

Ale to się miało zmienić.

## 47 KSIĄŻKA

Jak dotrzeć do tego milczącego chłopca, który coraz bardziej odzyskiwał siły? Co robić? To było zasadnicze pytanie, które zadawała sobie społeczność mnichów.

Z miłością albo podstępem, rozsypując przynętę.

Cierpliwie i bez słowa kładli na jego szafce nocnej książki. A to było coś, czemu Karl nie mógł się oprzeć, i sięgnął po nie.

Pierwszą trzymał w ręce krótko; czytał bez zrozumienia:

*Nel principio Iddio creò i cieli e la terra...*

Odłożenie jej było wystarczającą wskazówką dla braci.

*W naczale sotworil Bog niebo i ziemijsu...*

Następna.

*Au commencement, Dieu créa le ciel et la terre...*

Następna.

*Am anfang schuf Gott Himmel und Erde...*

Następna.

*In the beginning God made the heaven and the earth...*

Wreszcie któregoś dnia Karl zrozumiał i nie odłożył książki. Już przy drugim zdaniu tej historii stał się widzem wyświetlanego w jego duszy filmu, wielkiego obrazu.

*Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem: ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a Duch Boży unosił się nad wodami.*

*Wtedy Bóg rzekł: „Niechaj się stanie światłość!”. I stała się światłość. Bóg, widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą.*

*I tak upłynął wieczór i poranek – dzień pierwszy<sup>6</sup>.*

Pierwszy dzień nowego życia. Od tej pory Karl nie leżał już, wpatrując się w sufit, lecz wpatrywał się w stronicę książki, kartkował ją, czytał o tym, o czym

nigdy nie słyszał – bo nie miało to dla niego żadnego znaczenia – ani od ojca i matki, ani od Aloisa Daxbergera, i słyszał głosy poruszonych mnichów.

– *Fratello Paolo! Fratello Riccardo! Si legge tedesco.*

Na przyjaznych twarzach tych dwóch odmalowała się ciekawość.

– Więc jednak po niemiecku...

Karl milczał; czując niepewność, nie odrywał wzroku od książki.

– Co może oznaczać to, że czyta, ale nie chce z nami rozmawiać?

– A może czegoś nie wzięliśmy pod uwagę? – odezwał się brat Paolo. – Może ten wosk, który ma w uszach, ma go chronić? Chronić przed tym, co mógłby usłyszeć? Może on nas wcale nie słyszy.

Brat Richard złapał Karla za ramię, wskazując na uszy chłopca i patrząc na niego pytająco.

Karl uśmiechnął się – Marie.

– Panienko Przenajświętsza, on nas w ogóle nie słyszy.

Czy to była jego droga?

Uwolnienie się od wszystkiego. Mimo przyjaznego traktowania przez mnichów maksymalne wycofanie się. I życie pod szklanym kloszem. Nowe życie. Niewinne jak niezapisana tablica. Spotykanie się z ludźmi tak, jakby był postacią z obrazu wiszącego w galerii, gotowość na to, by go podziwiano. Napełnianie pustej, pozbawionej historii skorupy myślami i fantazjami widzów. Powtórne narodziny.

Na twarzach mnichów widać było ulgę. Przynieśli Karlowi nowe zatyczki do uszu, blok do rysowania i ołówek – nie wiedząc, jaką mu tym sprawili radość – położyli obok niego na łóżku i zaczęli pisać.

*Jestem bratem Richardem, opatem tego zakonu. To jest brat Paolo. A kim ty jesteś?*

Karl zastanowił się nad ludźmi, którzy zamiast podchodzić do innych ze szczerością, wykorzystywali ich – jak mureny albo jak bluszcz, albo jemiola. Więc dlaczego nie ja? Dlaczego w pewien sposób nie przedstawić prawdy, która w uszach tamtych nie nabierze zupełnie innych odcieni i znaczeń? Czy to byłoby kłamstwem? Ewidentnym konfabulowaniem. Albo milcząc, pozostawić ich w błędzie. Co właściwie przemawiało przeciwko temu ostatniemu? Jeśli się już rozpoczyna nowe życie, to całkowicie – trzeba być jak te postacie na obrazach, bez imienia i twarzy.

Jeden z braci znów wskazał na blok.

*Kim jesteś?*

Niepewne kręcenie głową za całą odpowiedź.

I zdziwienie na obliczach mnichów.



*Wiesz, skąd jesteś?*

Skąd? Z pokrytych śniegiem pól, z półciężarówki, pociągu, z Aubruck, z pola kukurydzy, polany pełnej namiotów rozbitych przed zaćmieniem Słońca, z Jettenbrunn, z kolan matki. A wcześniej? Co było wcześniej? Skąd przyszedł na ten świat? Tego Karl nie wiedział, więc patrzył przed siebie. Pustka, jak biała niezapisana kartka papieru.

– Tego też nie wiesz? A co potrafisz sobie przypomnieć?

Poruszył lekko ręką i opuszczając ją, spojrzął na dwóch mnichów.

– Niczego? To straszne.

Nieodzywanie się nie znaczy, że nie można się kontaktować. I nagle rozległo się skrobanie ołówka po papierze, kiedy Karl kreślił na białym tle kształtne linie; każda litera była małym dziełem sztuki, czystym, precyzyjnym, pięknym.

*Jak się tu znalazłem?*

Oczy mnichów pojaśniały z radości.

– Sądząc po charakterze pisma, musiał chodzić do porządnej szkoły albo wychował się w dobrej rodzinie.

Wreszcie mieli z nim kontakt!

Następną kartkę bloku wypełniły linijki:

*Brat Paolo znalazł cię na polu. Leżałeś w śniegu. Przyniósł cię tutaj nieprzytomnego, wycieńzonego, rannego, krwawiącego. Wyglądało na to, że już od dawna byłeś w drodze, bez dachu nad głową. Sam. Nie masz rodziny? Ojca? Matki? Czy to też wypaliło się w twojej pamięci?*

Karl, ze szklistym wzrokiem, powoli stawiał na kartce litery:

*Wypaliło się.*

Jakie to trafne określenie!

*Co mamy zrobić? Jak moglibyśmy ci pomóc.*

*Mogę tu zostać?*

*Z przyjemnością będziemy cię tu gościć.*

Wreszcie dom. I spokój.

*Jak mamy cię nazywać?*

*To wy mnie znaleźliście, więc to wy nadajcie mi imię.*

Brat Richard nie musiał się długo zastanawiać, zanim napisał:  
*Cokolwiek złego cię spotkało, to jednak przeżyłeś, żyjesz. Powinieneś się  
zatem nazywać Vitus – żyjący. Witamy, bracie Vitusie.*

Mnisi podali Karlowi dłonie, a potem zostawili go, żeby mógł się oddawać  
lekturze.

Jak to pięknie zabrzmiało: „bracie”... Rodzina. Vitus. Żyjący.

Karl zaczął czytać.

O Kainie i Ablu.

## 48 NOWY POCZĄTEK

Nierozwiązana sprawa nie znika, leży jak kamień w szklance wody, kołacze się w pamięci, niepowstrzymywana grasuje w myślach bezsennych nocy i w snach. Horst Schubert nie mógł zapomnieć ani Jettenbrunn, ani tego, co wydarzyło się w 1999 roku, ani Karla Heidemanna. Dla niego związek, który innym wydawał się nieprawdopodobny – między tym dziwnym chłopcem a kolejnymi zwłokami – nie budził żadnych wątpliwości. I za każdym razem, kiedy się nad tym zastanawiał, ustawiał kawałki układanki od początku.

A im częściej to robił, tym szybciej widział tylko jedno: rysunki. Rysunki, które tak go poruszyły, że je zatrzymał, jakby były jego własnością. Zachował je niczym zastaw, jako gwarancję, że nie zapomni. O Marie.

Pytanie, dlaczego została przedstawiona z otwartymi oczami – jako jedyna wśród wielu innych, martwych twarzy – spędzało mu sen z powiek. I dlaczego w ogóle została narysowana, skoro wciąż jeszcze żyła. Bo przecież żyła, prawda?

Horst Schubert, pełen niepokoju, pojechał do Aubruck.

Tylko po to, żeby się upewnić. I zobaczyć. Zobaczyć Marie.

I dowiedzieć się od mieszkańców wioski, jakim strasznym człowiekiem stał się po swoim wypadku Veit Pokrovsky. Jakby wcześniej nie był potworem. Wszyscy we wsi przeklinali ten wypadek i chodziło nawet nie o to, że do niego doszło, ale o konsekwencje, jakie za sobą pociągnął. Prawdziwym winnym stał się nie nieznajomy chłopiec, lecz operator kombajnu ze swoim dobrym wzrokiem. A wystarczyłaby chwila jego nieuwagi, żeby zatrzymał się metr dalej, i wszystko skończyłoby się dobrze. Tak myślał każdy w Aubruck. I nie tylko myślał, ludzie to mówili. A mogli mówić do woli, bo z tego, co Horst Schubert się dowiedział, rodzina Veita Pokrovsky'ego już dawno temu sprzedała swój dom i wyprowadziła się z wioski.

I nikt nie znał ich nowego adresu, znali tylko nazwę miasta.

I nikogo to nie interesowało.

Bo kto by żałował zarazy.

Ale Horsta Schuberta to interesowało.

† † †

I interesowało również Karla.

Czytał i czytał...

...powoli, niektóre fragmenty kilkakrotnie, a wkrótce zaczął porównywać dwa wydania, niemieckie i włoskie.

Coraz intensywniej zagłębiał się w tekst, w najbardziej monumentalną opowieść, jaką kiedykolwiek miał przed oczami, w historię narodzin i śmierci, tworzenia i niszczenia, ucisku i wolności, nakazów i posłuszeństwa.

*Jestem twoim Panem. Twoim Bogiem. Nie będziesz miał innych bogów przede mną.*

*Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie.*

*Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.*

*Czczij ojca swego i matkę swoją.*

*Nie zabijaj.*

*Nie cudzołóż.*

*Nie kradnij.*

*Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu.*

*Nie pożądaj żony bliźniego swego.*

*Ani żadnej rzeczy, która jego jest.*

Historię pełną nieokiełzanej fantazji, pełną cudownych zdarzeń, sprzeczności, miłości, miłości Bożej, gniewu, gniewu Bożego, pokoju, przemocy i wreszcie pokojowej przemocy. Spersonifikowanej. Napisanej w czterech wersjach, opisujących przebieg tych samych zdarzeń, ale w różne – całkowicie ze sobą sprzeczne – sposoby. Lecz Karlowi wcale to nie przeszkadzało. Bo to przecież była książka. Ni mniej, ni więcej, po prostu książka.

I czytał dalej...

...a tymczasem czas płynął i Karl nabierał sił i rosła w nim wola, aż któregoś dnia – chociaż robiło mu się ciemno przed oczami i czoło pokryły krople potu –

zdołał usiąść na brzegu łóżka i podnieść się; odważył się zrobić pierwsze kroki, otworzyć okno, wciągnąć w płuca świeże powietrze i zobaczyć swojego gościa z literą Q, do którego zdążył się już przyzwyczaić.

Koń stał dumnie wyprostowany na środku łąki; spojrzał na Karla, uniósł łeb jeszcze trochę wyżej i odszedł, jakby chciał powiedzieć: „No, chodź już wreszcie”.

Dzień zmartwychwstania.

Wkrótce Karl na tyle już uwierzył w siłę własnych nóg, że zrobił kilka kroków za drzwi. Ruszył korytarzem w poszukiwaniu ubikacji; w końcu mógł uniknąć codziennego obnażania się przed innymi podczas korzystania z basenu. I w drodze do tej wolności znalazł inne miejsce: bibliotekę.

Salę z pewnością równie wielką jak sad Aloisa Daxbergera, z sięgającymi sufitu regałami z ciemnobrązowego lakierowanego drewna, wypełnionymi tyloma tysiącami historii, że nie starczyłoby życia, żeby je przeczytać. A na środku tego raju kobieca postać. Karl musiał stanąć i przytrzymać się regału.

Patrzyła zapraszająco; na delikatnych dłoniach można było zobaczyć każdą zmarszczkę, każdą żyłkę; w prawej trzymała książkę, w lewej lilię. Drewniane ciało z głową przykrytą welonem zakonnicy, który odsłaniał tylko twarz. To oblicze przypominało mu Marie, tak jak przypominałaby mu ją każda twarz. Iluzja, najsilniejsza broń tęsknoty. Delikatnie przeciągał palcami po wypukłościach i zagłębieniach tej wyciosanej z drewna twarzy, kiedy z jego pokoju dobiegły głosy:

– *Lui è andato!*

Usłyszał na korytarzu kroki brata Paola, w których wyczuwał rozpacz, dopóki ten go nie zobaczył.

– *Lui è qui a Katharina!* Czujesz się już na tyle na siłach, żeby urządzić tak dalekie wycieczki? Świetnie! – ucieszył się brat Paolo, a potem pokazał Karłowi obrazki i teksty o tej kobiecie. O włoskiej i europejskiej świętej, Katarzynie ze Sieny, chroniącej przed pożarem, bólem głowy i dżumą, patronce praczek, pielęgniarek i wreszcie... umierających.

Nie bez powodu Karl zatrzymał się przy niej.

## 49 KATARZYNA

Była nie tylko w bibliotece.

Jej kamienny posąg stał pośrodku klasztornego ogrodu, otoczony morzem kwiatów i ziół.

Setki jej podobizn znajdowały się na etykietach produktów ustawionych na półkach przyklasztornego sklepu – na ziołowych herbatach, ziołowych nalewkach, ziołowych miksturach i maściach.

I była na obrazie, wysokim niemal jak całe pomieszczenie, wiszącym naprzeciw innego płótna, na którym przedstawiono młodą kobietę w czerwonej szacie z niebieską peleryną; w dłoniach trzymała prawdziwe serce, takie jak serce babci Karla, to, które przy sobie nosił.

– A to jest Maria, matka Jezusa.

Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery. Czterech sekund – tyle, ile potrzebowałby balon, żeby wolno opaść na podłogę – doliczył się zdumiony Karl, zanim usłyszał echo słów brata Paola, który wprowadzał go po klasztornej kaplicy.

Po prawej od obrazu z Marią stał przywiązany do belki nagi mężczyzna przekłuty strzałami. Na bocznych ścianach kaplicy wisiały malowidła przedstawiające kolejne stacje drogi krzyżowej, jak te, które Karl widział przy drodze prowadzącej na Górę Kalwaryjską koło Jettenbrunn. Na wprost głównej nawy, w połowie wysokości, wisiał drewniany krzyż.

Takich krzyży Karl widział wiele – na cmentarzach, wieżach kościołów, w kapliczkach, przy drogach, w pokojach dziennych, sypialniach, wiejskich izbach – ale nigdy nie zwracał na nie uwagi. Symbol wszędzie obecny, część tego świata, jak traktory, ogrodowe ławki, dziecięce kołyski. Nigdy jednak nie widział tak wielkiego krzyża. I w przeciwieństwie do tych z obrazów na Górze Kalwaryjskiej, wiszący na nim mężczyzna nie patrzył spokojnie; twarz tego wykrzywiał ból. Nagi, tylko z przepaską na biodrach; jego nogi, ręce przybite do belek krzyża gwoździami; przebite boki tułowia; twarz i głowa poraniona cierniami. Zamordowany na oczach wszystkich, wystawiony na widok publiczny, jak świnie na zaśnieżonym polu w Jettenbrunn.

– Chodź, usiądź tutaj. – Brat Paolo wskazał jedną z ławek.

Siedzieli tam dłuższą chwilę, ramię przy ramieniu; jeden, mrużąc monotonnie, wbijał wzrok w podłogę, drugi, poruszony, nie odwracał wzroku od głównego ołtarza.

Wprawiony w zdumienie Karl Heidemann pomyślał o książce w swoim pokoju, o historii człowieka, który pokonał cierpienie i śmierć, o Dobrej Nowinie, zmartwychwstaniu, Królestwie Niebieskim, życiu wiecznym, o Mojżeszu na górze Synaj, o przykazaniu „Nie zabijaj”, i nadal patrzył na czczony krzyż, symbol

wspólnoty w wierze, symbol okrutnego pozbawienia życia, morderstwa. I nic nie rozumiał.

Gdzie tu jakakolwiek logika? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej się w tym wszystkim gubił. Ale im bardziej się gubił, tym większy ogarniał go spokój.

Dlaczego właściwie ludzie tak koniecznie chcą zrozumieć? To daremny trud. Każdy ma swój własny wszechświat. I czy wierzyć nie znaczy zrezygnować z próby zrozumienia?

Po jakimś czasie przepełniła go wdzięczność. Bo jeśli w jakimkolwiek miejscu, w którym dotychczas przebywał, zostało z całą stanowczością pokazane, że śmierci – także tej z czyjejs ręki – nie można osądzić, że jest ona drogą do zbawienia, do Boga, to było nim to, które właśnie miał przed oczami, to, w którym się znajdował.

Wreszcie w domu.

A jeśli „w domu” oznacza miejsce, gdzie ludzie, do których odwracasz się plecami, nie wydzierają się z tego powodu, to Karl znalazł takie.

Karl Heidemann był szczęśliwy, w każdym razie tak mu się wydawało. Coraz bardziej się przyzwyczajał do otaczających go ludzi, obcego języka, luźnego habitu w kolorze ziemi, w którym zaczynał się czuć tak, jakby nosił go od dawna, do wygolonej głowy i powierzonych mu obowiązków – w stajni, kuchni i ogrodzie. Wkrótce potrafił już wytwarzać maści i ziołowe herbaty. I nie tylko.

W jego izbie znaleziono wyrzeźbione z ziemniaków, selerów i rzepy twarze świętej Katarzyny, jeszcze piękniejsze niż ta z posągu w bibliotece. Zachwyceni tym mnisi patrzyli na Karla z podziwem, zwłaszcza kiedy ujrzeli jego rysunki, w których każdy z nich mógł rozpoznać własne podobizny, i w końcu zaczęli dostrzegać w talencie chłopaka szansę na konkretne korzyści.

– Może spróbuj rzeźbić w drewnie – poradzili mu. – Na pewno sobie poradzisz.

I poradził sobie. Z odziedziczonym po ojcu zapalem wkrótce siedział w małym przygotowanym dla niego warsztacie, z przekonaniem, że coś tworzy, a nie że z czymś walczy, i rzeźbił figurki świętej Katarzyny sprzedawane w przyklasztornym sklepie. Znajda z każdym dniem stawała się coraz bardziej bratem Vitusem w społeczności, która oddawała się swojej rutynie, mszom i ceremoniom w niemal zamkniętym świecie – pomijając sklepik i kościół, do którego ludzie z zewnątrz mogli wejść, żeby się cicho pomodlić. Ale na klasztornym wzniesieniu rzadko kto się zjawiał.

Czuł się coraz bardziej częścią tej wspólnoty, której członków łączyło pragnienie, by pozostać choć w części wiecznym dzieckiem, które zaszyło się w swojej kryjówce. Dzieckiem czującym się bezpiecznie w gronie rodziny, ubranym w karnawałowy kostium – kowboja, pirata, Supermana – którego nie chce

ściągnąć z lęku przed światem zewnętrznym, uciekającym od życia.

Dopóki w końcu życie go nie dopadnie.

Ktoregoś wieczoru na stoliku nocnym Karla leżał liścik.

*Brat Paolo nie jest już najmłodszy. Od teraz będziesz z nim wychodził w każdy poniedziałek i piątek.*

*Śpij dobrze.*

*Opat brat Richard*

Święta Katarzyna ze Sieny...

Patronka umierających...

† † †

Papier z rysunkami martwych ludzi miejscami był zmechacony.

Horst Schubert nie mógł znaleźć spokoju. Wpatrywał się w nie na okrągło, z bliska, coraz uważniej; wkrótce znał już każdą linię, każdą osobliwość, i w końcu zrozumiał, że jego troska o Marie, tę cudowną radosną dziewczynkę, nie jest bezpodstawna.

Dopatrzył się bowiem, że w zmechaconych miejscach na papierze coś zostało wytarte gumką, w okolicach oczu, na każdym rysunku, poza tymi z Marie. Na początku oczy z pewnością były otwarte – tak jak te na portretach dziewczynki – dopiero po śmierci przedstawianych osób wycierano je i dorysowywano opuszczone powieki.

Czy morderca wybierał swoje ofiary wśród osób, które rysował i najpierw pozbawiał je życia, a potem spojrzenia?

Horst Schubert musiał znaleźć Marie Pokrovsky. Musiał ją zobaczyć natychmiast, żeby ją chronić.

Odnalazł ją bez żadnego problemu. Żywą, ale jakby bez życia. I to całkiem niedaleko. W mieście. Dzielnica mówiła za siebie, dom mówił za siebie, całe otoczenie mówiło za siebie. Tylko że nie znalazł już tamtej dziewczynki, lecz pustkę i bezradność w tych wielkich oczach o silnym kiedyś spojrzeniu; znalazł też jej matkę, jeszcze bardziej małomówną. I ojca.

– Przecież nie mogłem zostać w Aubruck i pozwolić, żeby do końca mojego życia się ze mnie naśmiewali.

Veit przywiązany do wózka inwalidzkiego.

– Po co mi teraz dom, ogród, łąka ze skoszoną trawą? Do czego? Żeby grać



w piłkę? Potrzebuję windy i widoku z okna, który by mnie nie nudził. I cmentarza za rogiem.

Cmentarz, który po śmierci Veita Pokrovskyego miałby przypominać jego dwóm niewolnicom, jak bardzo zawiniły. Wet za wet. Życie za życie.

Niech szlag trafi ten metr, którego zabrakło na polu kukurydzy w Aubruck.

Chociaż Horst Schubert uspokoił się, widząc, że Marie żyje, to jego niepokój o nią wcale się nie zmniejszył. I wyglądało na to, że to wcale nie Karl Heidemann jest dla niej największym zagrożeniem.

## 50 UMIERANIE

Było jeszcze ciemno, gdy Karl Heidemann po raz pierwszy szedł w dół, ścieżką, którą kiedyś brat Paolo wnosił go na górę.

Stuk-puk, stuk-puk... Słyszał stukanie laski. Stuk-puk, stuk-puk, któremu towarzyszyło nieustanne mruczenie – modlitwy, a może wierszy.

Minęli polanę, na której Karl kiedyś opadł z sił i leżał w śniegu, i usiedli na drewnianej ławce; to właśnie z tego miejsca brat Paolo go wtedy zauważył.

– Właśnie tam Bóg mi cię zesłał – powiedział. – To był dobry dzień.

Słońce dopiero zaczynało wschodzić.

– I Bóg powiedział – stary mnich podniósł głos – *fiat lux*. I niech się stanie światło.

I stało się światło.

Czerwone słońce, które wzniosło się ponad horyzont i zabarwiło wszystko życiem, w czarodziejski sposób sprawiło, że Karl – mimo nieznośnego świergotu ptaków – poczuł się jak król patrzący na swoje królestwo, jak orzeł obserwujący swoje terytorium, z wysoka, z samej góry. Pod spodem miał pas lasu, który przechodził w sielski krajobraz – wzgórze przy wzgórzu, jak łagodne fale.

– Chodźmy.

Kręta ścieżka wiodła przez soczyście zieloną, usianą kwiatami polanę otoczoną piniami i cyprysami. Intensywnie żółtymi forsycjami i kwitnącymi na różowo migdałowcami – bogactwo kolorów. Nowe życie. Także dla Karla.

Minęli gospodarstwo winiarza, na którego półciężarówce tu przyjechał; zobaczył nawet kierowcę, ale ten nie poznał Karla i przywitał się serdecznie. Długowłosy zapuszczony chłopak zamienił się w zadbanego szczupłego mnicha z ogoloną głową.

Karl i brat Paolo pokonali jeszcze kawałek drogi pod górę, potem ruszyli w dół i zatrzymali się przy drogowskazie z napisem „Fondazione Santa Vita”.

– Fundacja Świętego Życia – wyjaśnił brat Paolo.

Znów przez chwilę się wspinali, aż wreszcie dotarli do celu: wolno stojącego dużego, rustykalnego domu z kamienia. Przed nim rozpościerała się rozległa łąka z drzewkami oliwnymi i rozstawionymi stołami, fotelami z wikliny i ławkami. Wszędzie byli ludzie, starzy i niedołęźni.

– *Benvenuto!* – rozległ się nagle znajomy głos.

Antonella Poletti.

Karl poczuł wzruszenie. Już tyle czasu minęło, od kiedy po raz ostatni siedziała przy jego łóżku, taka ciepła, taka czuła, jak matka. Dłoń, którą do niego wyciągnęła, przytrzymała jego rękę dłużej, niż się spodziewał, a kiedy brat Paolo zajął się swoimi obowiązkami, Antonella Poletti ujęła ramię Karla i przeszła z nim przez łąkę, żeby przedstawić go znajdującym się tam ludziom.

W ciągu kolejnych tygodni Karl Heidemann robił w domu Fondazione Santa Vita to, co jego mentor, Paolo Moroder: przesuwiał fotele inwalidzkie, podawał posiłki – czasem łyżką prosto do ust – dotykał i sam był dotykany. Często tylko siedział w towarzystwie starszych pań i panów i patrzył na ich twarze, obserwując, jak powoli zmierzają po ostatniej prostej do kresu swojej pełnej zakrętów drogi, zanim zahamują tuż przed metą. Wsłuchiwał się w ich wewnętrzne głosy, coraz słabsze, jak szum rzeki płynącej szerokim nurtem do morza i gubiącej się w jego bezkresie, a on stał na brzegu jako świadek. Siedział przy umierających i z ciekawością, współczuciem, ale też z pewną radością przyglądał się, jak sami odchodzą, wymykają się, zapadają w wieczny sen. Śmierć była dla nich łaskawa jak dla Aloisa Daxbergera, niczym spokojny i delikatny towarzysz – tak myślał Karl.

Dopóki coś się nie wydarzyło.

To nie był ani poniedziałek, ani piątek, lecz sobota.

„Rosaria Bernardi”, informowała tabliczka w nogach łóżka, na którym leżała kobieta – sama skóra i kości – z otwartymi oczami, przerażona, z trudem łapiąca oddech. Jeszcze w piątek siedziała z Karlem na słońcu.

Teraz brat Paolo i brat Vitus stali przy jej łóżku; ten pierwszy cicho zmawiał modlitwę. Nagle rozległ się krzyk, który nie miał końca. Ten głośny dźwięk rozpaczy sprawił, że Karl poczuł się tak, jakby przekłuwały go ostre noże. Umierające ciało protestowało, naprężało się, głowa rzucała się w prawo i lewo, próbowała się unieść. Brat Paolo zaczął się modlić głośnie, doktor Poletti przyniosła silniejsze lekarstwa. Nic jednak nie pomagało. Rosaria Bernardi przez całą noc i następny dzień, bez wytchnienia, prowadziła swoją beznadziejną walkę, nie przestając krzyczeć, jakby próbowała urodzić życie.

Przez otwarte okno wpadał łagodny wiaterek, białe zasłony nadymały się niczym żagle w nagrzanym słońcem powietrzu. Żagle okrętu, który nie był w stanie wypłynąć w morze.

Karl, w którego uszy wwiercał się żalony krzyk umierającej kobiety, siedział w rogu pokoju jak podczas najstraszniejszych tortur. Ale postanowił, że nie ucieknie; stanie twarzą w twarz z życiem, zniesie ból, będzie patrzył w oczy śmierci drugiego człowieka, wytrwa tu – dopóki będzie mógł.

To, co zobaczył, wydało mu się straszne, niegodne i bezsensowne. Po co ta katorga?

I po co to dziwne zachowanie brata Paola, to smarowanie olejem. Rozpoznawał już te szeptane modlitwy, ale teraz zapalono jeszcze świecę, przyniesiono ciężki żelazny krzyż i obie te rzeczy postawiono na szafce nocnej. Na ścianie tańczyły cienie jak symbol śmierci. Czy wreszcie coś zrobią, pomogą? – pomyślał z nadzieją Karl. Ale nic się nie działo poza tym, że powietrze w pokoju przesyciło się wonią kadzidła, rytm modlitwy przyspieszył, a ciemność wypełniły

prośby o odpuszczenie win, o zbawienie. Coś w Karlu burzyło się przeciwko temu. Dlaczego człowiek, który na łożu śmierci i tak truchleje ze strachu, ma się jeszcze bać, czy w ogóle będzie mógł istnieć na tamtym świecie?

Na tamtym świecie, o którym nikt nie wiedział nic poza słowami o niebie, piekle i sądzie ostatecznym.

Do jakiego Boga kierowane były te wszystkie słowa?

Do tego gniewnego, karzącego, który kazał się Morzu Czerwonemu rozstąpić i utopił w nim wszystkich sobie przeciwnych, który zsyłał plagi i niszczył? Czy do tego kochającego, wybaczącego, który wysłał swojego syna jako dobrego pasterza, miłującego zarówno przyjaciół, jak i wrogów, a uderzony w policzek nadstawia drugi?

I czego po tych słowach oczekiwano?

Że Bóg rzuci kostką i jednemu trafi się róg obfitości, a drugiemu nic, uczciwym cierpienie, a nieuczciwym radość, że pojawi się jak czarodziej albo sługa i łaskawie będzie spełniał życzenia, zdejmie z ramion ciężar, położy na czole rękę? A jeśli ją położy, to dlaczego? Żeby zastąpić inną, której brak?

Ludzkiej ręki.

Bóg, środek w dążeniu do celu, sposób na niemoc człowieka, uniwersalna odpowiedź na pozostające bez odpowiedzi pytania, sprawiedliwy dla tych szczęśliwych, niesprawiedliwy dla nieszczęśliwych, zapomniany przez pławiących się w zbytku, światełko w tunelu nędzy, wymówka dla wszystkich niepowodzeń i klęsk.

Karl Heidemann poczuł gniew. Na zakłamanie. Tym, co się jej należało i czego naprawdę potrzebowała Rosaria Bernardi, której życie, niestety, się kończyło, tym, co przywróciłoby jej godność, dało poczucie własnej wartości i świadomość, że jest otoczona troską, było wybawienie w miłości, pomoc w umieraniu, spełnienie słów, które kończyły każdą mszę w klasztorze: „Idźcie w pokoju”.

Rosaria Bernardi nie odchodziła jednak – nie mogła, nie pozwalano jej. Była coraz słabsza, ale wciąż się rzucała, krzyczała jak przy porodzie, lecz nie było położnej. Czy nikogo to nie bolało? Nie było nikogo, kto przyjąłby poród? Nikogo, kto udzieliłby pomocy, zamiast tylko stać?

Ratowanie żywych – tak. Ratowanie umierających – nie.

Dlaczego? Bo tak każe moralność?

Takiej moralności Karl nie rozumiał. Jego moralność krzyczała: Koniec cierpienia!

I kiedy brat Paolo na chwilę opuścił pokój, Karl wyszedł ze swojego kąta, stanął przy łóżku, pochylił się, chwycił zaciśnięte dłonie Rosarii Bernardi i spróbował skupić na sobie od dłuższego czasu nieobecne już spojrzenie jej przerażonych oczu, a kiedy mu się to udało, nie pozwolił mu uciec; wpatrywał się

w nią dopóty, dopóki się nie uspokoiła, a jej oddech się wyrównał.

Potem skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Rosario, już czas. Chodźmy”.

Uśmiechnął się łagodnie, życzliwie, delikatnie uniósł jej tułów – samą skórę i kości – i wziął staruszkę na ręce. Była lekka. Lekka jak dziecko, którego rodzice nie chcą budzić po długiej podróży samochodem, więc biorą je z tylnego siedzenia i niosą do łóżka. I właśnie w ten sposób Karl wyniósł spokojną już, starą dziewczynkę z pokoju, z ciemności, od wydymającego się białego żagla, który nie mógł sprawić, że łódź odbije od brzegu.

– Co robisz? – zapytał brat Paolo.

Karl nie zareagował; szedł dalej po schodach w dół, a potem ciemnym korytarzem w kierunku ogrodu. Rosaria Bernardi nie poruszała się, wzrok miała utkwiony w otwartych drzwiach, za którymi było światło jasnego, bezchmurnego dnia... coraz bliżej.

Kiedy wyniósł ją na zewnątrz i szedł między drzewkami oliwnymi, promienie słońca padały na jej twarz, a on słyszał, że rytm jej serca stopniowo zwalnia; ostatni raz odetchnęła, a potem poczuł, jak coś delikatnie się od niej uwalnia, muska go i znika przez nikogo niezatrzymywane.

Przebywający w ogrodzie czasowi mieszkańcy swojego ostatniego domu zaczęli zbliżać się do Karla; patrzyli na niego, na spokojną twarz wybawionej, równie spokojne oblicze wybawiciela, i w tych, którzy w dzień i noc słyszeli przepełnione bólem krzyki Rosarii Bernardi – zapowiedź tego, co czeka również ich – zrodziło się coś, co w powiązaniu ze śmiercią wydawało się niemożliwe: nadzieja.

## 51 KŁĘSKA

Nadzieja w czyichś oczach – to było coś, czego Karl Heidemann nie znał. W czasach swojego szaleństwa tak często w oczach ludzi, którzy krzywdzili innych, widział daremne błaganie o litość. Teraz dostrzegał w nich coś odwrotnego – wdzięczność. Patrzyli na niego nie jak na złoczyńcę, lecz jak na wybawcę. Na położną śmierci.

Ale chociaż bardzo się starał, chociaż intensywnie analizował doświadczenia mnichów z wykorzystywaniem ziół z przyklasztornego ogrodu, nie potrafił znaleźć sposobu, by pomóc umierającym niezauważenie, bez bólu, łagodnie uwolnić się od ciężaru życia. Pozostawało mu więc tylko siedzieć przy ich łóżkach i z pełnym gorliwością oddaniem służyć im swoimi dłońmi, syropami, maściami, okładami. Bez słów, cierpliwie, z troską wyzwalając ich od lęku i dawać spokój.

Brat Paolo przyglądał się temu z podziwem, lecz budziły się w nim również wątpliwości. Coraz częściej bowiem brat Vitus, zamiast wracać z nim wieczorem do klasztoru, pozostawał na całe noce przy łóżkach tych, do których śmierć przychodziła jak kapryśna primabalerina, taka co to lubi dawać się prosić, albo jak znienawidzony potwór czy sadystyczny diabeł.

– Niektórzy wolą umierać w samotności – zwrócił mu uwagę brat Paolo. – Musisz się nauczyć czasami zostawiać ich samych.

Karl nie nauczył się tego.

Zostawał i coraz częściej ktoś mu towarzyszył, i to nie tylko z troski – Antonella Poletti.

Czasami zostawała przy nim całą noc, z czułością patrzyła na wysiłki Karla, i na jego rozpacz. Próbując dodać mu otuchy, dotykała ramienia młodego mnicha, ale najwyraźniej nie mogła dotknąć jego serca – w ogóle nie reagował, jakby to, że ktoś odchodził w bólu i cierpieniu, było wyłącznie winą Karla.

Ten milczący młody człowiek, zamknięty w sobie, z zatyczkami w uszach nie dawał jej spokoju. Jak do niego dotrzeć? – zastanawiała się. Jak mu pomóc? Co zrobić, żeby wyszedł ze swojej skorupy?

Pewnego razu, dobrze po północy, gdy kolejny człowiek znalazł się na ostatnim etapie podróży – po raz ostatni krzyknął, po raz ostatni próbował się podnieść i bez życia opadł na łóżko – brat Vitus delikatnie odgarnął z jego spoconego czoła kosmyk. I wtedy zrozumiała.

Wszystko między nimi było takie jak zawsze. Obcość, ale też jakiś dziwny rodzaj więzi; bliskość, a jednocześnie dystans, który Antonella Poletti rozpaczliwie chciała pokonać, który budził jej niepokój. Karl Heidemann usłyszał to – coś więcej niż zwykłe bicie jej serca, niepewne pocieranie palców złożonych dłoni, jakby musiała podjąć jakąś ważną decyzję.

Powoli się do niego zbliżyła i dotknęła go, inaczej niż zwykle, tak że

najpierw zetknęły się ich ramiona, potem dłonie.

Kiedy spróbował odsunąć się nieco w bok, przesunęła się razem z nim. Gdy uwolnił swoją dłoń, znów po nią sięgnęła. Ten dotyk, który trwał całą wieczność, zaczął go parzyć, stał się bolesny, a jednocześnie przyjemny, i był coraz pewniejszy. Po chwili ręka Antonelli Poletti pociągnęła go – tak zdecydowanie jak kiedyś Marie na polu kukurydzy – do opustoszałego korytarza, a potem wąskiego, zamykanego na klucz pokoju i przyciągnęła Karla do siebie, objęła go.

Czy chodziło o pocieszenie?

Karl Heidemann nie ma pojęcia.

Bezradnie stoi bez ruchu, ale czuje w sobie poruszenie, jakiego jeszcze nie doświadczył, czuje ciało drugiego człowieka, miękkie, przyjemne w dotyku, delikatne głaskanie po plecach. Żadnego pytania, żadnej prośby w jej mądrych oczach. Karl nie wie nic o takiej bliskości, lecz pozwala na nią, bezbrinnie, bezwolnie.

A potem Antonella Poletti stała się kobietą, tylko kobietą, czułą, ciepłą, a on mężczyzną, tylko mężczyzną, obecnym tutaj, ale duchem będącym gdzie indziej: przy Marie. Widział Marie, kiedy zatkało mu uszy, jak wtedy, gdy zanurzał się w głębinie stawu w Jettenbrunn, widział ją, kiedy dwa ciała ogarniał szal – ale wówczas widział także wszystkich tych umierających w cierpieniu – widział ją w chwili, gdy jak w momencie śmierci, wszystko się rozładowało.

Tylko na chwilę. Potem znów wróciło napięcie.

Wróciły nudności – duchowe mdłości. Pusty – tak się czuł, leżąc w niewłaściwych ramionach. I zaczął płakać, tak jak jeszcze nigdy dotąd. Pragnął być sam, tylko ze swoimi myślami o Marie i o tym, jak zawiódł, pod każdym względem.

Uciekł, bez jakiegokolwiek znaku pożegnania. Od kierowanych do niego w dobrej wierze słów pocieszenia, próśb, by nie był smutny, by nie brał na siebie winy za to, że śmierć czasami jest łaskawa, a czasami okrutna, jak życie, jak miłość.

Karl Heidemann załamał się; dostrzegał tylko swoją klęskę i słabość, wiedział, że zawiódł – umierających, którzy potrzebowali pomocy, sam siebie, lekarkę, której od tej pory już nigdy do siebie nawet na moment nie dopuścił, i Marie.

Nastąpiły dni spędzone w bibliotece, kiedy pochylony nad książkami pochłaniał je desperacko, noce, gdy rysował wykrzywione bólem twarze i ciała umierających, rodzące się na nowo w postaci drewnianych figurek, które za pomocą dłuta i noża rzeźbił w drewnie z taką zaciekłością, że krwawiły mu ręce, jakby to była pokuta za to, że zawiódł.

Inni wkrótce dostrzegli tę jego zaciekłość.

## 52 POMOC BRATA PAOLA

Stukanie do drzwi. Na dworze jeszcze ciemno i burzowo.

– Idziemy. – Takim krótkim powitaniem zaczął się ten czerwcowy dzień.

Karl Heidemann nie widział w tym nic dziwnego, pewnie kolejny nagły wypadek, bo cóż by innego? Tylko że brat Paolo nie schodzi do doliny, lecz idzie w górę. Karl chwyta go za ramię i pisze na ziemi:

„Dokąd?”

– Coś ci pokażę. – Padła odpowiedź.

Brat Paolo narzucił tempo, jakiego Karl się nie spodziewał, tak że ledwie mógł oddychać. Dokąd idą i po co? – zastanawiał się, ale już wkrótce musiał się skupić tylko na tym, żeby nie zostawać daleko w tyle za starszym mnichem i jego stuk-puk, stuk-puk. W końcu nie rejestrował już ani tego stukania, ani uciążliwego świstu wiatru pędzącego wśród drzew; ciało dyszącego ciężko Karla protestowało, serce mocno waliło. Kiedy dotarli do granicy lasu, wschodzące słońce zaczęło przygrzewać im plecy. Karl spodziewał się, że celem ich wędrówki jest krzyż na szczycie góry, a tymczasem ruszyli w inną stronę wzdłuż granicy lasu. Widok zapierał dech w piersiach: łąki otoczone górami, czerwone pola, jakby zamiast deszczu z nieba spadły płatki róż. Morze maków płonęło. A wkrótce płonęły też policzki Karla, stopy, łydki, plecy, płuca. Brat Paolo jednak parł przed siebie, nie przystając. Znowu zagłębili się w lesie, jakby się cofali, i szli lekko opadającą w dół szeroką szutrową drogą, która zdawała się nie mieć końca. Paolo Moroder nadal się nie zatrzymywał. Czy on w ogóle wiedział, dokąd zmierza?

Wiedział.

W dali zobaczyli budynek, którego sylwetka była nie do pomylenia – klasztor. Przystanęli dopiero, gdy znaleźli się na jego dziedzińcu.

Karl był zlany potem i wyczerpany; patrzył pytającym wzrokiem, a ręka mu drżała, kiedy sięgnął po swój blok i napisał:

„Miałeś mi coś pokazać?”

– No i pokazałem ci.

Karl nic nie rozumiał. Przecież zatoczyli pętlę. Czyżby coś przeoczył?

– W takim razie pojutrze pokażę ci jeszcze raz – powiedział brat Paolo.

I znowu to samo.

Pochmurny poranek. Ta sama trasa. Karl czuł jeszcze w łydkach ból sprzed dwóch dni. Tym razem jednak rozglądał się uważniej, żeby czegoś nie przeoczyć. Mimo to niczego nie dostrzegł. Znalazł tylko siebie, w tym samym stanie co przedwczoraj, zmuszającego ciało do wysiłku. W jego wnętrzu rozpętała się burza, której odgłosy zagłuszały wszystko na zewnątrz. A tymczasem na zewnątrz też zaczęło grzmieć. Brat Paolo nie zatrzymał się, nie próbował znaleźć schronienia; wciąż utrzymywał to samo tempo. Szedł przed siebie, jakby nie waliły pioruny, nie



błyskało, a na ich głowy nie lały się strugi ciepłego deszczu, tak ciepłego jak wtedy, gdy Karl stał na brzegu stawu w Jettenbrunn i patrzył na matkę. Ale ani wspomnienie Jettenbrunn, ani szum, dudnienie i smaganie deszczu nie doprowadziły Karla do tego, by się poddał, tak jakby nic nie miało dla niego żadnego znaczenia, nawet jego największe zmartwienia.

I kiedy tego ranka znowu znalazł się na dziedzińcu klasztoru, nie wiedział ani więcej, ani mniej niż przed dwoma dniami.

– No i? – zapytał brat Paolo.

Karl nie odpowiedział.

– Więc idź jutro. Sam. I znajdź spokój.

„Ale gdzie mam go szukać?”

– A kto powiedział, że masz go szukać?

Kiedy następnego dnia Karl, mimo bólu stawiając niepewne kroki i czując pulsowanie w głowie, ruszył w tę samą trasę, zapomniał o wszystkim; skupił się tylko na tym, żeby oddychać w równym rytmie, nie ciążyły mu żadne zmartwienia, nie przeszkadzało dochodzące zewsząd skrzypienie, świergotanie i skrzeczenie; z jego twarzy zniknęło napięcie i wiedział tylko jedno: znaleźć spokój.

Tylko on i pracujące ciało. On i nieustanny ruch wokół niego i w nim. Bicie serca, tak znajome, jakby słyszał bicie serca ojca, kiedy ten przyciskał go do swojej piersi. Nieustanny ruch, który przynosił spokój, sprawiał, że zniknęło całe szaleństwo. Nieustanny ruch, który otwierał drzwi.

Drzwi do ciszy.

Karl Heidemann zaczął biec.

Co za odkrycie!

Biegł i biegł, i po raz pierwszy poczuł, jaki jest teraz lekki, do jakiego stopnia wzięło go kiedyś jego grube, ciężkie ciało. Motyl – albo ćma – który wyklął się z twardego kokonu.

Radość życia, na którą składały się dwie rzeczy: radość i życie. Nic więcej.

Kiedy Karl wrócił do klasztoru, brat Paolo przywitał go uśmiechem. Nic nie powiedział, tylko, odchodząc, szeptał:

*Weź kij wędrowca*

*I rusz w letni poranek.*

*Jak opadająca mgła*

*Znikną zmartwienia.*

*Pogodny błękit nieba*

*Uśmiecha się do ciebie*

*I jak Dobry Bóg*

*Okrywa cię swoim dachem.*

*Wszystko rośnie i kwitnie*

*Ugina się od płodów,*

*A ty się czujesz tak,*

*Jakby obok szła miłość.*

*Tak bosko wszystko brzmi*

*Jak w rodzinnym domu,*

*A dusza twa szybuje*

*Wyżej niż skowronki<sup>7</sup>.*

Karl Heidemann wypuszczał się coraz dalej. Pokonywał coraz dłuższe trasy wśród lasów i winnic na wzgórzach. Któregoś dnia rano znalazł przed swoimi drzwiami lekkie buty z karteczką:

*Niech ci pozwolą mocno stąpać po Bożej ziemi.*

*Twój Paolo*

Wkrótce Karl w swoich nowych butach z materiału, na lekkiej podeszwie, codziennie zbiegał do doliny – żeby opiekować się swoimi dziećmi, jak wyraził się kiedyś brat Paolo.

*NASZYMI dziećmi* – sprostował na kartce bloku Karl.

– Nie, Vitusie, twoimi. Nogi już mi nie służą. I proszę cię o jedno: nie myśl za dużo. Odpuść sobie niektóre sprawy, a zobaczysz, że same się ułożą.

I ułożyły się.

## 53 POMOC HORSTA S.

Veit Pokrovsky wcale nie był zadowolony z wizyt tego upartego, ciągle powracającego gościa, ale jemu wcale to nie przeszkadzało. Horst Schubert nie należał bowiem do krótkodystansowców; jego mocnymi stronami były wytrwałość i siła woli.

A ta wola była ostatnio podporządkowana jednemu.

Po co komuś, kto jest sam, cały dom, wypełniony tylko nędznymi wspomnieniami? Po co bezsensownie przekręcać włącznik miniaturowej kolejki, skoro można wprawić w ruch prawdziwe życie, i to nie tylko swoje?

Niewykluczone, że Horst Schubert, stróż prawa i porządku, posuwał się w swoim dążeniu do zrealizowania tego planu do, na przykład, takich myśli: A może by tak odwiedzić wieczorem Veita Pokrovsky'ego, posiedzieć przy nim, kiedy będzie się upijał, wsypać mu środek nasenny do alkoholu, napuścić do wanny wody, włożyć nieprzytomnego mężczyznę do jego ostatniego łóża i podciąć mu żyły?

Ale czegoś takiego Horst Schubert ani nie mógłby, ani nie potrafiłby zrobić.

Stać go było tylko na to, żeby odwiedzać rodzinę Pokrovsky'ego i któregoś dnia, kiedy spotkał matkę Marie na ulicy, poprosić ją, żeby z nim poszła.

– Zamierzam opróżnić to poddasze i je rozbudować – powiedział, kiedy znaleźli się u niego w domu. – Poczyliem już przygotowania. Mogłaby pani z córką tu zamieszkać na jakiś czas, bez żadnych opłat. To nie byłoby dla mnie problemem.

Gdzie byłoby lepsze miejsce dla Marie niż pod jego dachem? Dla tej cudownej dziewczyny zamieniającej się w kobietę, która nie dawała mu spokoju, zajmowała jego myśli, wypełniała sny.

– Miałabym zostawić męża, panie Schubert...? Nie, nie mogę tego zrobić. Ale Marie...

## 54 Q

Ostatnie uniesienie głowy. Całkowita jasność umysłu tuż przed samym końcem.

Karl Heidemann znał ten moment, kiedy umierający, na krótką chwilę w pełni świadomi, nagle odnajdują słowa na to, czego nie da się wypowiedzieć, zwierzają się, żegnają.

Ale czegoś takiego nie znał:

Q przez całą zimę prawie nie wychodziła ze stajni, wołała siedzieć w ciemności. Tam ją chesano, tam przynoszono jej świeże ciepłe siano i słomę. Ale tego wiosennego dnia klacz z dumnie uniesionym łbem stała na dworze, na sięgającej jej do pęcin soczystej trawie. Karl, który właśnie wracał z porannego biegania, zobaczył Q już z daleka, a kiedy ją mijał, zerwała się do biegu – nie po to, żeby uciec, ale żeby razem pobiec z Karlem. Kłusowała cały czas obok niego; dzieliły ich tylko belki ogrodzenia wybiegu. Pożegnanie. Ostatnie.

Potem ich drogi się rozeszły. Q zarżała, pogalopowała, zarzuciła grzywą tak, że wyglądała ona jak jedwabna wstążka baletnicy, i przebiegła jeszcze kawalek.

W końcu się zatrzymała, odetchnęła i powoli wróciła do stajni.

Leżała na słomie, nie jadła nic i nie piła, nie opędzała się przed natrętnymi muchami, zarzucając grzywą, potrząsając ciałem czy poruszając powiekami. Klatka piersiowa podnosiła się i opadała. Pozostało tylko czekanie. Nie wstała ani pierwszego dnia, ani drugiego, ani trzeciego. Mokra sierść zaczęła się świecić, Q wstrząsały drgawki. Opat Richard, brat Paolo i Karl stali przejeżdżając przed stajnią.

Karl czuł ból straty. Zdawał sobie sprawę, co znaczyło dla niego to zwierzę – Q, spotkania bez umawiania się, zażyłość bez rozmowy, przychylność bez stawiania warunków.

Zmuszał się do zachowania dyscypliny. Żadnego bólu. Żaloba to przecież tylko wyraz czystego egoizmu, więcej – chciwości, pragnienia zachowania czegoś dla siebie, odmowy zrezygnowania z tego. Zamiast tego trzeba dopuścić do siebie radość z nagrody, jaką Q otrzyma za życie.

– Musi ją boleć – odezwał się opat.

– Ściągnijmy weterynarza – zaproponował brat Paolo. – Pomoże jej.

Karl wiedział, że nie pomoże żaden weterynarz; choroba była już zbyt zaawansowana, serce Q za słabe, a wola życia właściwie już nie istniała. Jak ze zwierzęciem miałoby się udać to, co było niemożliwe w przypadku człowieka?

Trzeba było czekać do wieczora, aż zjawił się samochód z napisem na tylnej szybie, w którym podano nazwisko, zawód, numer telefonu i adres doktora Giovanniego Firenzy, który mieszkał gdzieś na wzgórzach z winnicami za Fondazione Santa Vita. Zadbany mężczyzna z dużą ciemnobrązową torbą wszedł do stajni.

Nie było wiele do powiedzenia. Rozmawiano szeptem. Najpierw opat oznajmił, że w klasztorze nie ma żadnej broni palnej, a strzały nie są tu mile widziane.

Karla Heidemanna zaintrygowała ta rozmowa. O czym oni mówili?

Weterynarz odparł, że to nie jest żaden problem, że w zamkniętych pomieszczeniach stosuje inne metody, nie tak drastyczne.

A po słowach nastąpiły czyny. Karl zobaczył, jak weterynarz zakłada klaczy wenflon, obaj mnisi żegnają się i cicho odmawiają modlitwę, weterynarz spogląda na nich pytająco, a oni klękają i głaszczą łeb Q. Widział, jak zmęczone zwierzę na chwilę otwiera oczy, opat kiwa głową, potem weterynarz też kiwa głową i w końcu wstrzykuje Q lekarstwo.

Czas jakby się zatrzymał. Wszystko cichnie, nawet weterynarz i dwaj mnisi oddychają przez nos tak delikatnie i ostrożnie, że Karl, zamiast świszczenia, słyszy tylko cichutki dźwięk. I bicia serc, a wśród nich jednego, które uderza coraz słabiej, a w końcu przestaje bić, spokojnie, z godnością, jak zatrzymujące się wahadło.

Karl Heidemann ogląda ten spektakl ze zdumieniem; zobaczył to, czego życzył tylu ludziom w dolinie, tylko że to spotkało Q i dwaj mnisi niczemu się nie dziwią, a weterynarz niczego nie wyjaśnia – tłumacząc się czekającymi go wizytami, żegna się i odjeżdża.

I Karl nagle rozumie.

Lekarstwo, które wstrzyknięto klaczy na jego oczach, było śmiercią, legalną, bezbolesną, prostą. I właśnie po to ściągnięto doktora Giovanniego Firenzę. Tylko po to.

Niezależnie od tego, jak bardzo zdumiony był Karl, powstrzymał się od jakichkolwiek pytań, ponieważ zdawał sobie sprawę, że próba zrozumienia podstawowych zasad ludzkich byłaby bezsensowna. Dla zwierzęcia – bezlitosne życie, ale za to litosna śmierć. Dla człowieka – bezlitosne życie, a do tego jeszcze bezlitosna śmierć. Nie powinno być tak samo? Jedno albo drugie?

To, co w jednym przypadku jest dobre, w drugim jest uważane za złe; to, co raz jest właściwe, innym razem staje się nie do przyjęcia; to, co dobre, kiedy indziej jest uważane za niszczycielskie. Czy istnieje coś, co jest dobre albo złe niezależnie od okoliczności, raz na zawsze?

Nieważne. W tym momencie najważniejsze jest to, co Karl zobaczył w rękach weterynarza, i tego nie zapomni.

Trochę trwało, zanim znalazł w bibliotece odpowiednie książki, a w nich: pentobarbital, kiedyś stosowany w medycynie jako lek usypiający, obecnie w weterynarii jako środek zapewniający wieczny sen, w bliższej przyszłości jako pomoc dla umierających, a w dalszej może jako metoda legalnej egzekucji.

Co jest zgodne z prawem? Wszystko. W zależności od czasów, miejsca, poglądów, ustaleń.

– Popatrz! – Karl wyraźnie słyszy słowa opata. – On wciąż biega, codziennie. Ale o tej porze? Jest już późno. Jak myślisz? Czy on tak po prostu biega? Czy biega dokądś? Czy może ucieka przed czymś? Przed sobą? Przed tą dziewczyną? Rysuje ją, rzeźbi. Wygląda na to...

– Myślę, że dzisiaj... – przerywa mu brat Paolo, uciekając przed bólem w swoim sercu. – Śmierć tej klaczy to dla niego wielka strata.

Ciemność – jego dawny dom. Nocne powietrze. Czuje się, jakby szybował, wolny od aroganckiej, oślepiającej wyższości wzroku, z zaostrzonymi innymi zmysłami. Podeszwy stóp są tak wrażliwe jak opuszki palców. Pewnym krokiem schodzi do doliny, mijają Fondazione Santa Vita. Święte życie.

Na stoku wzgórze wyraźnie widać willę ze starego kamienia, a w nim szkło, dużo szkła.

Dom dla kogoś, kto lubi obserwować, w każdym momencie.

I dla kogoś, kto lubi być obserwowany, w każdym momencie.

Nagi, nowoczesny, wielki. Samotnie wielki.

W żadnym z okien wysokości człowieka nie świeci się światło.

Przed domem żadnej zjeżdżalni, huśtawki, piaskownicy. Tylko pustka.

Karl Heidemann musiał się uzbroić w cierpliwość i czekać, aż pewien człowiek i jego samochód zapełni tę pustkę. Zamek bez dworu. Tylko pan na zamku.

Nagle zapala się mnóstwo świateł, jest ich więcej niż w Jettenbrunn w Boże Narodzenie. Wszystko wyraźnie widać, minimalistyczne, nowoczesne, czyste – przedpokój, kuchnia połączona z salonem, gabinet z widokiem na winnicę i stojący w nim weterynarz. Podnosi słuchawkę, żeby odsłuchać pocztę automatyczną, spoglądając w pustkę nocy – złudną. Uniesiona głowa, wyniosła postawa – pan tego perfekcyjnego świata, a jednak tylko eksponat za szkłem. Białe ściany, biały dywan, biały stół, kanapa i fotele, stalowa szafa.

Biel. Kolor umierania. Giovanni Firenza. Anioł śmierci zwierząt.

Jednym z kluczy z pęku otwiera stalową szafę, kładzie swój cenny towar obok innych zapasów, zamyka szafę na klucz, wchodzi do połączonego z kuchnią salonu i przesuwając szklane drzwi wychodzące na taras, trzy razy głęboko nabiera świeżego powietrza i w ten sposób zrzuca z siebie ciężar całego pracowitego dnia. Pozostaje pustka w towarzystwie telewizji. Dość męczące towarzystwo.

Po chwili jego głowa nie jest już tak uniesiona, a postawa tak wyniosła. W którymś momencie jego ciało zaczyna się dopasowywać do kształtu kanapy, a stopy lądują na stoliku do kawy. Głosy nieobecnych ludzi rozchodzą się daleko w nocnym powietrzu.

Q, zwierzę pracujące, wierny sługa, dobry przyjaciel. Dzięki ci, Q.

## 55 ULGA

Karl odczuwa ulgę. I nie tylko on.

Nareszcie mógł działać zgodnie z własnymi przekonaniem i poczuciem obowiązku i okazywać miłość bliźnim, którzy bardzo tego potrzebowali, i brać za to odpowiedzialność. Nikt o nic nie pytał, Karlowi udawało się bowiem co jakiś czas niepostrzeżenie zabierać niewielką część zapasów weterynarza i używał ich tylko wtedy, gdy było to konieczne, i to niezwykle ostrożnie.

To był szczęśliwy czas, czas służenia innym.

Również tym z jego najbliższego otoczenia.

I nigdy nie usłyszał choćby jednego złego słowa na swój temat, co było tym bardziej znaczące, że mnisi uważali go przecież za głuchego, więc spokojnie mogliby mówić o nim nawet w jego obecności. Nikt jednak tego nie robił, nie było żadnych intryg, żadnego wbijania szpil. Karl Heidemann, trafiając do tego klasztoru, miał najwyraźniej szczęście. Nie widział tu ani śladu zła kryjącego się pod mocno utkanym, wytwornym płaszczykiem zakłamania; kiedy się go zrywało, ukazywała się hipokryzja z całą swoją mocą.

Karl, młody narybek w tym świecie cnoty, nigdy nie był tu świadkiem jakiegokolwiek profanacji. Wydawało się, że w społeczności zamkniętej w murach klasztoru panują dobro, miłość bliźniego i szczerłość. Tylko w godzinach, gdy mnisi oddawali się kontemplacji, w nocy, kiedy zamykali się w swoich celach, Karl mógł usłyszeć o ich tajemnicach; słyszał jęki jednego z nich, jak własnoręcznie wymierzał sobie karę; innego, jak topi w alkoholu swoją samotność; słyszał prośby o przebaczenie za nieczne czyny i nieczyste myśli, za dawne grzechy; błagania o pomoc w zniesieniu bólu, tęsknot, rozczarowań; słyszał o małżeństwach, które się rozpadły, i o życiu w celibacie, o porzuconych gdzieś dzieciach, rodzicach, o majątkach, które przepadły, i utraconej miłości.

I im więcej słyszał, tym bliżsi jego sercu stawali się ci mężczyźni.

Wrosła w jednostajny rytm jego życia. W rytm, w którym każdy rok, poświęcony nieustannym poszukiwaniom Boga i zwracaniu się do niego, nie zaczynał się pierwszego stycznia, lecz w pierwszą niedzielę adwentu.

Życie biegnące od jednej uroczystości kościelnej, święta czy wspomnienia do drugiej, od alfy do omegi, z punktem kulminacyjnym w Wielkanoc obchodzoną w rozległym przyklasztornym ogrodzie albo na okolicznych polach, lub sięgających nieba wzgórzach, na których płoną wielkanocne ogniska, i ostatnią niedzielą przed adwentem – niedzielą Jezusa Chrystusa, Króla Wszechświata.

I tak mijały kolejne lata w życiu Karla Heidemanna, poddanego codziennej rutynie, a czas, jaki jeszcze mu pozostał, topniał jak śnieg w słońcu.

Ścieżki, które wydeptał w lesie, były coraz gładsze.

Pęknięcia w klasztornej murze coraz głębsze i liczniejsze.



Dzieła, które tworzył, były coraz doskonalsze, znajdowały coraz więcej chętnych, a ich autor otrzymywał kolejne zlecenia. Wkrótce rzeźbił postacie wielkości człowieka, także do bocznego ołtarza w przyklasztornej kaplicy – świętą Katarzynę niezwyklej piękności, o której stało się głośno daleko poza wzgórzem i pobliską doliną. Swoje obrazy uwieczniał na szkłe jako bajecznie kolorowe witraże kaplicy. Bloki rysunkowe wypełniały kolejne szkice postaci z jego przeszłości.

Pokoje w Fondazione Santa Vita były niczym port, do którego zawijają i z którego odpływają statki.

Cele w klasztorze były jak domy w Jettenbrunn – odchodzili starzy mieszkańcy, nie pojawiali się nowi.

Przybył tylko jeden mnich: mniej więcej trzydziestoletni brat Benedikt, otyły, wolno się poruszający, z bujną brodą i oczami niemal czarnymi, tak jak oprawki jego okularów. Nad kością policzkową, nieco z boku, miał bliznę po krótkim cięciu.

Pięciu mnichów odeszło, z tego czterech bez ingerencji Karla.

Najpierw brat Richard, opat, na białaczkę; od momentu postawienia diagnozy do śmierci minęło pięć miesięcy.

Potem brat Serafin, najstarszy z nich; zasnął spokojnie w swojej celi.

Jako trzeci brat Janek, kucharz; na zawał serca.

Następnie brat Leander; któregoś dnia wyszedł z klasztoru i nigdy nie wrócił.

I wreszcie piąty:

Podobnie jak brat Leander, brat Paolo wybrał się w podróż bez powrotu, tylko że nie w przestrzeni.

Pod koniec z coraz większym trudem stawiał kroki; idąc, wypadał z rytmu. Po lekkim udarze mózgu jego prawa noga była sztywna, a prawa ręka drżała. Laska zaczęła mu służyć bardziej do dyrygowania niż chodzenia. Spacer brata Paola stały się raczej błąkaniem, podczas którego coś mamrotał, a często tylko tępo patrzył przed siebie.

Starzy ludzie już tylko w wyobraźni wspinają się na góry, budują domy czy kopią w ziemi w poszukiwaniu cennych kamieni. A brat Paolo, jako samotny kapitan, nieustraszony zdobywca, odkrywca nieznanych lądów, udawał się w swoich myślach tam, gdzie zapuszczają się tylko dzieci.

Trafiały się dni, kiedy niespodziewanie powracał z tych podróży do rzeczywistości, ale to powodowało jeszcze większe zamieszanie. Zdarzało się, że podpierając się laską, stawał na środku ogrodu i krzyczał, a czasami płakał, nie wiedząc, gdzie jest ani kim jest, nie pamiętał imion – nawet własnego – ani twarzy. Czasami mnisi musieli biegać po klasztornych korytarzach, po dziedzińcu i budynkach gospodarczych i wołać go, nie wiedząc, czy jeśli ich usłyszy, będzie wiedział, że chodzi o niego. Nieraz, jeśli rozpoznawał swoje otoczenie, rozmawiał

z kimś, niczym żartowniś, tak jakby mówił o nim, a nie z nim.

– A co też brat Vitus zamierza robić? – powiedział kiedyś do Karla. – Jakież to on ma dzisiaj plany? Chce jeszcze pobiegać? Człap, człap, człap, a potem galopem? – I ten chłopięcy błysk w oku, który w ułamku sekundy mógł zniknąć zastąpiony pustką i zagubieniem.

Pewnego popołudnia nie udało się go odnaleźć; została tylko otwarta brama w murze otaczającym klasztor.

To był Wielki Piątek, jeden z ważniejszych dni dla Kościoła, dla mnichów kulminacyjny moment w poszukiwaniu Boga. W panice rozpoczęli poszukiwania wokół klasztoru; nikt nie wiedział, ani w jakim stanie umysłu jest brat Paolo, ani od jak dawna go nie ma. Bezradni, nie wiedząc, co robić dalej, postanowili się zwrócić do tego, kto był najbliższym zaginionego, kto najlepiej znał jego zwyczaje – do brata Vitusa.

Zadzwonili do Fondazione Santa Vita, napisali Karlowi wiadomość, i po chwili już go nie było. Pobiegł szybko w górę; żeby nie tracić ani sekundy, pędził skrótami, ale kiedy, zrobiwszy pętlę, wrócił do klasztoru i brata Paola tam nie było, musiał jeszcze raz pokonać trasę, tym razem tak jak zawsze, już bez skrótów, drogą przez las. Pokonując kolejne serpentyny, coraz bardziej tracił wiarę, znikąd bowiem nie dochodziły szeptane pod nosem słowa i ciche stuk-puk, stuk-puk laski. Ale ją zobaczył – leżała jak gałąź przy skraju ścieżki, którą od tego miejsca znaczyły pojedyncze czerwone plamki.

## 56 POMOC KARLA H.

Krople prowadziły do polany, na której kiedyś znaleziono Karla.  
I wreszcie usłyszał ciche, niepewne, szeptane pod nosem słowa:  
„Hop-hop-hop. Konik pędzi galopem”.

Poczuł ulgę.

Zatrzymał się.

Odwrócił.

I spojrzął w górę, na ławkę. Brat Paolo siedział na niej, z otartych kolan i łokci, a także z prawego policzka ciekła krew. Musiał bardzo walczyć, żeby dotrzeć aż tutaj. Karl ruszył szybko w jego stronę i kiedy dotarł na miejsce, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd: po raz pierwszy, od kiedy zjawił się tu przed laty, zdradził się z tym, że słyszy. Ogarnęło go dziwne uczucie – strach pomieszany ze wstydem.

– Serca nie da się oszukać. – Stara ręka spoczęła na młodej dłoni. – Czy on myśli, że tego nie wiedziałem? Nikt, mój chłopcze, nie zna go tak dobrze jak ja. Ale niczego nie zdradzę. – Brat Paolo uśmiechnął się jakoś tak dziwnie.

A więc to był jeden z tych dni, kiedy wracała mu świadomość.

– Modliłem się, żeby tu przyszedł. I jest tutaj. – Odetchnął głęboko i dodał: – Ty jesteś.

Ty. Ile to już czasu minęło, od kiedy brat Paolo w obecności Karla powiedział „ty”? I nagle, jakby między dawnymi wspólnie spędzonymi chwilami a terażniejszością przeskoczyła iskra, zaczęła prześwitywać bliskość, której Karlowi tak brakowało.

– Dom... – Paolo Moroder poklepał miejsce na ławce obok siebie. – Jest tutaj. – Zatoczył ręką łuk, wskazując okolice. – I tam. – Wyciągnął palec w górę. – I tam.

Jego głos był zaskakująco spokojny, coraz cichszy.

– Dom... Tęsknota za domem.

I szeptem dodał:

– Droga do domu.

Coś się zbliżało, tak w każdym razie czuł Karl Heidemann, jakaś wielka zmiana. I to nie tylko dla brata Paola.

– Pomożesz mi? – Padło pytanie. Jak uderzenie maczugą.

Palce dłoni wciąż spoczywającej na ręce Karla zacisnęły się. Po chwili ta stara dłoń zniknęła pod habitem, a kiedy się wyłoniła, był w niej kawałek drewna.

Karl znał go doskonale, bo sam go wyrzeźbił.

– Czy to są twoje wspomnienia, czy coś, czego pragniesz? – Brat Paolo oddał mu wyrzeźbioną figurkę. – To należy do ciebie.

Marie.

– Czasami dopiero kiedy czegoś zabraknie, widać, jakie to było ważne. Ta twarz jest wszędzie, na twoich rysunkach, w rzeźbach. To coś, czego pragniesz, prawda?

Tak, ta twarz była wszędzie. Karl widział ją, kiedy się budził, widział ją, jak tylko zamykał oczy, widział ją w swoich snach.

– Chcesz do końca swoich dni malować obrazy, rzeźbić figury, chować się tutaj i udawać, że jesteś głuchy? Przestań rzeźbić w drewnie, zacznij rzeźbić swoje życie. Jesteś młody. Musisz stąd odejść. Słyszysz? Musisz ją znaleźć.

Brat Paolo zaczął cicho śpiewać:

*Trzeba być złym młynarzem,*

*Żeby nigdy nie wpaść na pomysł,*

*By wyruszyć w drogę<sup>8</sup>.*

A potem przeżegnał się i zaczął szeptać:

*Bądź pozdrowione prawdziwe ciało,*

*Narodzone z Maryi Dziewicy,*

*Prawdziwie umęczone,*

*Ofiarowane na krzyżu za człowieka,*

*Którego bok przebity wodą spłynął i krwią,*

*Bądź nam przedsmakiem w śmierci próbie<sup>9</sup>.*

Całą uwagę brat Paolo skupiał jednak na siedzącym obok niego Karlu, a ten znał to spojrzenie starego mnicha z wielu godzin spędzonych wspólnie w dolinie.

– Pomóż mi, Vitusie. Tak jak pomagałeś innym. Bądź dobrym człowiekiem.

A zatem brat Paolo wiedział również o tym, co Karl robił w Fondazione Santa Vita, wiedział o drewnianych figurkach, którym Karl nadawał twarze

zmarłych. Karl poczuł coś niezwykłego: z jednej strony był zaszczycony, z drugiej odezwało się w nim poczucie obowiązku, a wreszcie głęboka potrzeba.

Brat Paolo zauważył to.

– Nie musisz się obawiać – powiedział. – Życie potraktowało mnie znacznie łaskawiej, niż ja traktowałem je. Pozwól mi spokojnie zasnąć. Przy tobie. Tu i teraz. Czego szukamy tam na górze, w klasztorze, jeśli nie Boga? Chcemy być bliżej niego. Jestem teraz w pełni świadomy, zrób więc to, o co cię proszę.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci, nie tylko dla Paola Morodera.

Karl wyjął ze swojego plecaka dwa nierzucające się w oczy pojemniczki, do których przez te wszystkie lata zdążył się przyzwyczaić. Najpierw podał bratu Paolowi środek mający zapobiec wymiotom, które czasami występowały, potem wziął drugi pojemniczek, nalał do kubka wody z butelki i rozpuścił w niej odpowiednią dawkę środka. Postawił go na ławce obok swojego starego przyjaciela, który stał się dla niego jak ojciec. Inaczej, niż działo się to w Fondazione Santa Vita, brat Paolo miał sam wypić środek.

Długo siedzieli obok siebie. Nie śpieszyło się im.

Dzień zaczął gasnąć na ich oczach.

– To piękne miejsce. – Głos starego mnicha był zmęczony, jakby zniknęła już jakakolwiek konieczność pozostawania tutaj.

Sięgnął po kubek i wypił jego zawartość.

– Dobry chłopiec. Sprawileś, że byłem bardzo szczęśliwy. Spraw, że i ty będziesz szczęśliwy. Znajdź tę swoją dziewczynę. Obiecuj mi, że to zrobisz. Znajdź ją i uważaj na nią.

Zostało mu jeszcze od dwóch do pięciu minut. Zapadnie w drzemkę, straci przytomność, przestanie oddychać. I nastąpi śmierć.

Jak zmęczone dziecko osunął się na kolana Karla i spokojnie zasnął. Na zawsze.

Łagodna ręka głaskała przy tym jego czoło, a nad głową brata Paola rozległy się słowa pożegnania:

– Idź w pokoju.

Idź. To słowo już raz padło z ust Karla Heidemanna, nad stawem w Jettenbrunn. Teraz jednak zostało wypowiedziane z miłością. Czy może kogoś spotkać większa łaska niż możliwość oddania ostatniej przysługi ukochanemu człowiekowi? Przepelniony wdzięcznością Karl patrzył na żarzący się zachód słońca, podczas gdy kiełkował w nim plan.

Poranione ciało na jego kolanach było lekkie. Bez żadnego wysiłku wziął je na ręce i tak jak kiedyś brat Paolo jego, tak on poniósł go teraz w górę do klasztoru.

Do ludzi, którym ufał, których znał i kochał. Wobec których miał zobowiązania.

Zobowiązania odpowiadające słowom brata Paola: „Czego szukamy tam na

górze, w klasztorze, jeśli nie Boga? Chcemy być bliżej niego”.

## 57 ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

Nie zostawić po sobie żadnych śladów. Nie być dłużej ściganą zwierzyną.

Mnisi przejęli brata Paola. Umyli go i odziali, o nic Karla nie pytając.

O co zresztą było pytać? Paolo został znaleziony martwy, nikomu nawet nie przyszło do głowy, że mogło być inaczej. Wystawiono ciało w kaplicy i wspólnie się modlono aż do późnego wieczora, potem zjedzono ciepłą zupę.

Ugotowaną przez Karla Heidemanna.

Otrzymał tyle dobrego od społeczności mnichów, jak zatem inaczej mógł im się odwdziaczyć, jak tylko dobrem, pomocą w ich poszukiwaniach Boga, w dotarciu do celu, skróceniem drogi do niego?

Wszyscy zasnęli spokojnie, jak brat Paolo. Razem.

Potem czuwał przy nich, przepelniony miłością i wdzięcznością.

Również dla Karla Heidemanna przyszedł czas, żeby ruszyć w ostatnią wędrowkę. Wcześniej jednak było mnóstwo do zrobienia: przeszukać pomieszczenia klasztoru, celę opata i innych braci, zabrać pieniądze, a rzeczy – nie tylko te, które miały wartość materialną, także dokumenty i zapiski – spakować.

Walizki, torby, plecaki... To miało wyglądać jak podróż.

Potem znalazł piękne spokojne miejsce. Na środku ogrodu, wśród ziół, dzięki którym mnisi mogli się utrzymać, przygotowywali już od kilku dni ognisko, znosząc drewno i chrust i układając je w okręgu. Karl odsunął to wszystko na bok, żeby wykopać dół. Kopał, dopóki nie natrafił na glinę i kawałki skał, a dół był wystarczająco głęboki.

Zajął mu to całą noc.

Mnisi znaleźli w tym grobie swój ostatni spoczynek. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... Karl ułożył ich uważnie, jednego obok drugiego; obok głowy każdego umieścił ich walizki, torby podróżne, plecaki. Poza jednym plecakiem. Zasypał dół, zaczynając od żwirku, żeby zapobiec opadnięciu ziemi, potem glina i kamienie, a na końcu ziemia. Na wierzchu ponownie ułożył z przygotowanego drewna stos w kształcie stożka.

Ognisko było równocześnie nagrobnym zniczem.

Likwidowanie śladów własnej działalności i uprzątnięcie klasztoru zajęło Karlowi cały kolejny dzień; w międzyczasie trochę pospał, a przede wszystkim pożegnał się z bratem Vitusem: siedząc w swojej celi, wyciągnął z plecaka brata Benedikta jego paszport.

Benedikt Kofler. Urodzony dwudziestego szóstego lipca 1976 roku, w dzień świętej Anny, matki Marii.

Na zdjęciu bujna broda, pełna twarz, niemal czarne oczy, nad prawą kością policzkową krótka blizna. Żadnego podobieństwa do Karla, poza kolorem źrenic. Trzymając w ręce paszport, Karl stanął przed lustrem i narysował na swoim

prawym policzku kreskę, dokładnie w tym samym miejscu i tej samej długości co ta na fotografii, a następnie wziął nóż snycerski i podszedł do umywalki, nad którą wisiało lustro.

Precyzyjna robota nie była dla niego niczym nowym, podobnie jak ból czy ukrywanie się. Trochę potrwa, zanim rana się zablizni i wyrosnie mu broda. Oczy, nawet jeśli nie były tego samego kształtu, co oczy Benedikta, to za okularami w czarnych oprawkach nie będzie tego widać. Karl nie potrafił wprowadzić sfalszować paszportu, ale mógł zmienić historię jego właściciela, na wypadek gdyby ktoś zadawał pytania. Cóż, mężczyzna, który kiedyś miał nadwagę, długą brodę i długie włosy, miał przecież prawo schudnąć, ogolić głowę i przyszczyć brodę. Raczej nikt nie będzie przyglądał mu się uważnie i zadawał dociekliwych pytań.

Wszystko zostało przygotowane.

A kiedy zapadła noc, zapalił mnichom ich ostatnie wielkanocne ognisko, które dawało światło i ciepło.

Karl Heidemann wyprostował się, uniósł ręce, jakby chciał objąć niebo, zamknął oczy i zaczął śpiewać psalm, który tyle razy słyszał z ust klasztornych braci.

*Sprawiedliwi, wołajcie radośnie na cześć Pana,*

*prawym przystoi pieśń chwały<sup>10</sup>.*

Głos miał czysty i wyraźny. Uwolniony.

Karl również był uwolniony i mógł przystąpić do wypełnienia obietnicy złożonej bratu Paolowi i zrobić to, za czym już od dawna tęskniło jego serce.

„Znajdź ją i uważaj na nią”.

Tylko tyle.



Karl Heidemann ze swoim absolutnym słuchem mógł tyle osiągnąć: mógł spełniać zupełnie nieprawdopodobne życzenia, mógł być szpiegiem, agentem, terrorystą, lobbystą, zabójcą na zlecenie, prestidigitatorem, genialnym złodziejem, superbohaterem, Bóg jeden wie, do czego jeszcze mógł użyć tego daru.

A tymczasem zadowolili się tym, że został człowiekiem, który szukał swojej dziewczyny – jak dobry ogrodnik, dla którego ważniejsze jest dbanie o ogródek niż o pałacowe ogrody, i nie przejmując się należnym mu uznaniem, nie szuka sceny, by pokazać swoje mistrzostwo, swoją wiedzę i talent. Nie chodziło mu o to, żeby z kimś w czymkolwiek rywalizować, ale by samemu się spełnić.

Czy Marie go rozpozna? Czy czuje to samo co on?

Żeby się tego dowiedzieć, musi ruszyć tylko w jedną stronę: do Aubruck.

Patrzy na mapę drogową i unika terenów zabudowanych, za nic nie zbliża się do okolic, których zgiełk słyszy; zanim do nich dotrze – woli nadrobić drogi.

W którymś momencie zdaje sobie sprawę, że wcale nie jest poszukiwany, i wsiada do autobusu. Uświadamia sobie jeszcze coś: już samo to, że zdecydował się wyruszyć na poszukiwanie, sama wola i pragnienie nie wystarczą. Będzie musiał zadawać pytania – w gospodach, żeby dostać jedzenie; w sklepach, żeby zdobyć żywność i odpowiednie ubrania; w hotelach, żeby mieć się gdzie przespać; w aptekach, żeby dostać coś, co pomoże mu znieść bóle głowy i wreszcie spokojnie zasnąć. Będzie musiał się uśmiechać, wymieniać miłe uwagi, zachowywać się zwyczajnie, dbać o to, jak wygląda. Bo cóż mogło ludzi obchodzić to, co się w nim kryło, to, co go męczyło, to, do czego był zdolny.

Nic ich to nie obchodziło.

† † †

Czy to możliwe? Po tylu latach?

Po latach daremnych poszukiwań, które doprowadziły do tego, że znaleźli szczęście i zaczął tamto odsuwać od siebie, wypierać.

A teraz te obrazy!

To, co przed dziesięcioma laty wydawało się niemożliwe, znalazło się teraz we wszystkich domach. Och, ten świat... Skatalogowane, posortowane, skompresowane, na migoczącym tle. Horst Schubert siedzi przed laptopem podłączonym do ogólnoswiatowej sieci, a na ekranie widzi zdjęcia, które obiegiły cały świat.

Zdjęcia, które w gruncie rzeczy nic nie przedstawiają. Opuszczony kościół, nad ołtarzem krzyż, częściowo przykryty fioletową tkaniną, tak jak to ostatnio robią. A poza tym pustka.

Ale ta pustka ciąży Horstowi Schubertowi tak, jakby ciężka skała ciągnęła

go w głębinę. Niezdolny do jakiegokolwiek działania, również – przede wszystkim – umysłowego, wpatruje się w ekran. I to wcale nie tytuły w gazetach, nie relacje w telewizji tak go poruszyły. Mnisi, którzy zniknęli bez śladu, kasa klasztoru pusta, rozpalone ognisko wielkanocne. Do znajdującego się w górach klasztoru od lat trafiało coraz mniej mnichów, pozostało ich już niewiele i prawdopodobnie wspólnie podjęli decyzję. Ale jaką decyzję? Zwinąć się i wrócić do świata? I zrobić to tak, żeby od tamtej pory nie nawiązać z nikim kontaktu? Z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi... Nikt z tamtych o niczym nie wiedział.

Rytualne samobójstwo? Tylko gdzie w takim razie są zwłoki?

Porwanie? Ale w jakim celu?

A może zmartwychwstanie? Tak, niektórzy nawet żartowali.

I być może uśmiechnęłyby się również Horst Schubert, gdyby nie ta twarz, którą zobaczył na ekranie. Twarz wyrazista, pełna życia, szczerza... znajoma. Bardzo znajoma.

Znali ją nie tylko ludzie z okolic klasztoru. Znał ją także Horst Schubert.

Miał przed oczami atrakcję turystyczną klasztoru, niezwyklej urody.

Świętą Katarzynę ze Sieny.

Ale Horst Schubert znał jej piękną twarz ze zarchiwizowanych jako materiał dowodowy rysunków Karla Heidemanna.

Życie nie płata takich figli. To nie mógł być przypadek.

Następnego dnia zostawił w domu wiadomość:

*Muszę na kilka dni wyjechać.*

† † †

Aubruck.

Mieszkańcy wioski chętnie udzielali informacji młodemu zadbanemu mężczyźnie z ogoloną głową, przyjaznym spojrzeniem i łagodnym głosem, zwłaszcza właścicielka gospody U Krallera.

– Tak, mamy pokoje do wynajęcia. I nawet jeden jest wolny.

Potrzebował go tylko na jedną noc.

– Świetnie. Poproszę tylko o wypełnienie tego formularza.

Skoro nie poprosiła o dokumenty, po co zdradzać nową tożsamość.

– Chciałby pan zjeść kolację, panie Moroder?

Został więc na kolacji i potem tego nie żałował.

– Tak, ma pan rację, to piękna okolica. Chociaż może trochę opuszczona.

W gospodzie poza nim siedział tylko jeden mężczyzna, odwrócony do niego plecami.

Właśnie podniósł rękę.

– Melanie, przynieś mi jeszcze jedno piwo!

– Ale to już ostatnie, Bruckner.

– Jak będę potrzebował niańki, to się do ciebie zgłoszę.

Karl poczuł, jak się cały spina. Pöllauer, Neupold, Bruckner. Nazwiska, których nigdy nie zapomni.

– Może się do mnie przysiądziesz? – zaproponował Bruckner. – Jesteś stąd?

Czy jest stąd? Nie.

Czy się przysiądzie? Tak.

Czy ma ochotę pogadać? Tak!

– Bruckner, dajże temu młodemu człowiekowi spokojnie zjeść!

– Przecież interesuje go nasze Aubruck! Tak, ma pan rację, na tamtym polu jest uprawiana kukurydza. Pięknie rośnie. W lecie jest tak wysoka, że za nią nie widać wioski.

Właścicielka gospody przerywa potok słów Brucknera.

– Rolf, przestań już! Bardzo pana przepraszam. Czy nie prosiłam, żebyś dał panu spokój?!

– Nawet psy cię nie słuchają, Melanie.

– Przepraszam pana, panie Moroder. Jeśli będzie się panu bardzo naprzykrzał, proszę go po prostu pogonić.

Karl przyjaźnie głaszcze psa, który podszedł do stołu, jest przyjazny także wobec Brucknera.

– Tak, tak, ma pan rację, czasem trzeba uciekać, żeby ratować życie. Zwierzęta i kombajn nie idą razem w parze. Coś panu opowiem.

– Daruj sobie, Bruckner!

– U nas jak już się coś dzieje, to się dzieje...

I poza nowym adresem Pokrovskych Karl dowiedział się wszystkiego, nawet tego, czego wolałby nie wiedzieć: o nieszczęściu Veita, o tym dziwnym chłopcu, o zabitych psach, zniknięciu dwóch mieszkańców Aubruck, Pöllauera i Neupolda, o powrocie ze szpitala Pokrovsky'ego, który po tym, co go spotkało, stał się jeszcze gorszym człowiekiem. O tym, jak cierpiała Marie. W końcu przeprowadzili się do miasta. Karl z całą mocą poczuł, że to wszystko jego wina.

Musiał to naprawić, i to jak najszybciej. Poruszony, zmartwiony, opuścił Aubruck jeszcze tej nocy. Szedł pieszo, ale wiedział, że w ten sposób porusza się za wolno, więc wziął pozostawiony bez zabezpieczenia rower, choć nigdy jeszcze nie jeździł na rowerze, i tak naprawdę tego nie potrafił. Zdeterminowany, podjął jednak ambitną walkę z tym metalowym monstrum. Kilka razy wjechał w krzaki, drzewo albo w płot, lecz nic nie było w stanie go powstrzymać, ani zadrapania, ani stłuczenia. Wkrótce pedałowal już, oddychając miarowo, a serce biło mu w równomiernym rytmie jak wtedy, gdy biegał. Zaczął się czuć tak, jakby leciał przez noc. I przez swoje myśli. Widział Marie stojącą przed drzwiami swojego domu i wyciągającą się do niej swoją własną dłoń, widział, jak Marie pozostawia

za sobą podłość ojca i daje się prowadzić ku nowemu życiu. Ku życiu z Karlem.

Życie z Marie.

Dwoje ludzi, którzy tak długo na siebie czekali.

Którzy zostali dla siebie stworzeni.

Jechał całą noc, cały dzień, aż dłonie miał całe w odciskach, i nie potrafił już jechać na tyle szybko, by głosy w jego wnętrzu zagłuszyły hałas na zewnątrz. Po raz pierwszy w życiu znalazł się tak blisko miasta. Błękitne niebo w dali przybrało stalowy odcień, a potem niewyraźne kontury zabudowań nabrały tak zdecydowanych kształtów, że Karl musiał się na chwilę zatrzymać i zamknąć oczy. Czuł się dziwnie – jak stojący nad tamą skazaniec, na którego napiera coraz głośniejszy, wrogi tłum, a on nie ma ucieczki; może tylko zrobić jedno: skoczyć w czeluść i dać się jej pochłonąć.

Wyobrażenie, którego nic nie mogło przebić... poza rzeczywistością.

## 59 MIASTO

Pierwszy mijany hotel nadawał się na miejsce krótkiego przystanku, gdzie Karl mógł zostawić rower i cały swój dobytek. Dalej ruszył pieszo, z plecakiem, w którym miał tylko najpotrzebniejsze rzeczy: pieniądze, kurtkę, butelkę z wodą. Szedł tak szybko, jak tylko mógł, skupiony na swoim głośno bijącym sercu, żeby nie słyszeć zgiełku miasta. Na niebie nie widział ani jednej chmury, ale przesłaniał je matowy, szary welon. Samochody poruszały się w tempie kroku, wypuszczały kłęby spalin, od których robiło się niedobrze, a siedzący w nich ludzie z wściekłością naciskali klaksony. Rowery i motory przemykały między nimi slalomem jak pnący się po murze bluszcz; piesi mijali się, zmierzając po linii prostej w określonym kierunku, jak strzały w powietrzu, podczas gdy to, co miało ułatwić przemieszczanie się, stało w miejscu, kopcąc i warkocząc. Jakby dla zachowania równowagi wszystko inne przyśpieszało, migotało, podrygiwało – było w ruchu.

On też powinien być w ruchu, chociaż wszystko się w nim burzyło. Jak kierowca, który nie zachowuje bezpiecznej odległości, przepychał się przez tłum; zresztą nie on jeden. I tak jak inni, nie zbaczał w prawo, nie zbaczał w lewo, po prostu szedł przed siebie – od jednej budki telefonicznej do drugiej, i do następnej, i do kolejnej... I wciąż trafiał na ślady wandalizmu. Aż wreszcie trafił na taką, która nie służyła jako szalet miejski albo kosz na śmieci; miała wprowadzić zabazgrane ściany, ale książka telefoniczna nie była w strzępach. Książka należąca do minionej epoki; kiedyś swoje odsłużyła, ale ostatnio prawie nie była używana do tego, do czego miała służyć – jak budki, które niszczone bez żadnego szacunku dla tego, co stare.

Karl znalazł jednak to, czego szukał.

P jak Pokrovsky.

– Tak? Halo! No, słucham!

Veit. To on. Z całą pewnością.

– To jakieś głupie żarty?

W jego głosie słychać wzburzenie.

– Znaczą się nikt do mnie nie dzwoni, tak? Taki nikt, co oddycha?

Karl stoi bez ruchu ze słuchawką przy uchu, słyszy ciągły sygnał, który odbija się echem w jego wnętrzu, i nagle budzi się w nim coś, czego nie czuł już od dawna: gniew. Jest wściekły także na siebie. To przez niego Veit Pokrovsky wciąż żyje.

Czas ani nie goi ran, ani nie pomaga poradzić sobie z pewnymi rzeczami. Kumuluje je tylko w ukrytych zakątkach, aż pewnego dnia otwierają się drzwi i to, co wydaje się zapomniane, wydostaje się na zewnątrz, i to, co kiedyś było piękne, jest jeszcze piękniejsze, a to, co było straszne, jest jeszcze straszniejsze.

Karl nie traci czasu. Studiuje dokładnie plan miasta, żeby ustalić trasę.

Kawałek pieszo do metra, potem schodami w dół na stację metra, a tam jasno oświetlone, rozgałęziające się przejścia, schody ruchome, znów przejścia, tory, tory... Nie sposób jasno myśleć w tym gwałtownym natłoku różnych wrażeń...

Nadjeżdżające pociągi hamują z piskiem i zgrzytem, wypluwają ludzi, połykają następnych i na kolejnych stacjach, i na każdej kolejnej stacji w wagonie jest coraz tłoczniej. Karl stoi w tej ciżbie, ściskając kurczowo pętlę zwisającego uchwytu, czuje ramiona napierające na jego ramiona, oddechy, cudzy pot i w końcu ma wrażenie, że to na nim zaciska się pętla – ból, mdłości, oddycha coraz szybciej, drży, krople zimnego potu występują mu na czoło. I nagle wokół robi się nieco luźniej; wpatrują się w niego oczy, jakby był nosicielem zaraźliwej choroby.

Wreszcie jedzie schodami w górę, wychodzi na zewnątrz. Ale to, co jest wokół niego, pcha go do przodu, jakby szedł przez szpaler chłostany różgami. Miasto... Niezatrzymujące się ani na moment, nacierające ze wszystkich stron, przesywające, klujące jak ostre włócznie odgłosy budowy, ruchu ulicznego, stukających obcasów, gwaru rozmów, śmiechów, krzyków, jak tysiące flamingów na jeziorach Nakuru albo fok oblegających skaliste wybrzeże Atlantyku. Epidemia. Zaraza.

Nagle Karl zdaje sobie sprawę, jak doskonale śmierć pasuje do ludzkich twarzy... do mord.

Sprawić, żeby to wszystko zamilkło... To tylko przelotna myśl, bezsensowna. Na każde życie, które by zamarło, narodziłyby się dziesiątki, setki, tysiące nowych mord i następnych, i jeszcze następnych.

Karl Heidemann stawia szybko kroki, zdecydowanie, bezczelnie; idzie pochylony, machając rękami. Plecak rytmicznie uderza o jego plecy jak pejcz w bok konia. Karl skupia się na sobie, żeby nie słyszeć tego, co na zewnątrz, próbuje odgradzić się murem, ale mu się to nie udaje. Choć bardzo się stara, choć idzie coraz szybciej, traci orientację, czuje zmęczenie i słabnie.

Nagle, zlany potem, przepełniony bólem, zatrzymuje się na torach tramwajowych, zatyka dłońmi uszy i opada na kolana, podczas gdy z prawej i lewej strony mijają go samochody. Musi zwymiotować, bez tego ból nie minie.

Karl zaczyna przeszkadzać ludziom.

– Tam jakiś się porzygał! Tam, na ulicy!

– Nie wygląda najlepiej.

– Cholera, zatrzymuje cały ruch!

– Wszystko z nim w porządku?

Nic nie jest w porządku. Karl leży na ulicy i widzi nad sobą twarze, gapiące się na niego oczy; wokół jest tłum ludzi, ale on jest samotny.

– Musi pan stąd iść, bo pana coś przejedzie.

Ktoś wyciąga do Karla rękę, prowadzi go na chodnik i sadza na fotelu

wystawionym na zewnątrz przy stoliku małego baru. Uprzejmy mężczyzna podaje mu szklankę wody.

– Proszę się napić. Może pan coś zje. Jest pan taki chudy. Czy mam zawołać pomoc? Karetkę? Może zadzwonić do jakichś pana przyjaciół, znajomych, żeby przyszli po pana? Albo zamówić taksówkę?

Taksówkę.

– Dokąd? Już wiem. To miasto w mieście.

– Klatka dwanaście... to pewnie jest gdzieś tutaj. Niech pan po prostu kogoś zapyta.

Karl Heidemann staje przed szarym popękany frontem budynku, wznoszącym się do nieba jak ściana zapory wodnej, i w którąkolwiek stronę Karl spojrzy, widzi tylko jedno: piętro nad piętem, a na każdym dwa okna, balkon, dwa okna, balkon. Jak dworcowe skrytki na bagaż albo klatki na króliki w komórce Huberta Oberwaldnera. Na dole trzy łukowate ciemne przejścia, przecinające budynek jak kanały, prowadzą na wewnętrzne podwórko, za którym stoi taki sam budynek.

Miasto w mieście.

Miłe twarze. Uprzejme głosy informują Karla, gdzie ma szukać klatki numer dwanaście z mieszkaniem numer czterdzieści sześć. Na domofonie nazwiska. V. Pokrovsky. Nie Państwo Pokrovsky, tylko V. Veit.

Karl nie dzwoni. Czeka.

Czeka, aż ktoś wyjdzie z domu, i wtedy pewnie wchodzi. Dwie windy, schodów nie ma. Dopiero kiedy dochodzi do końca korytarza, dostrzega metalowe drzwi, za którymi jest klatka schodowa. Całkiem pusta.

Wspina się na czwarte piętro.

Mieszkanie czterdzieści sześć. Ostatnie mieszkanie w korytarzu. W środku jest włączony telewizor. Nic więcej nie słychać. Żadnych głosów.

Karl czeka. Nasłuchuje.

Aż do wieczora. Nie ma siły na nic więcej. Jeśli zachodzi taka potrzeba, chowa się za drzwiami klatki schodowej, a potem wraca.

Żeby dalej czekać. I nasłuchiwać.

Od czasu do czasu z mieszkania dochodzi chrząknięcie, pisk, pewnie opon wózka inwalidzkiego na parkiecie, brzęk przekładanych naczyń – kieliszka, butelki? Veit. Czy jest tam sam? Im robiło się później, tym częściej słychać było szepty, bełkoty, przekleństwa, jęki.

Tego wieczoru Veit Pokrovsky rzeczywiście był sam. Nikt nie wszedł do mieszkania. Nikt z niego nie wyszedł.

† † †

Koszmar, który prześladował go od tylu lat, właśnie się spełnił. Karl

Heidemann nie tylko żył, lecz stanowił najstraszliwsze zagrożenie, jakie Horst Schubert mógł sobie wyobrazić. Zagroził jego osobistemu szczęściu.

Jeszcze kilka dni temu, podczas swojej wizyty w klasztorze, Horst Schubert miał nadzieję, że twórca tych wspaniałych dzieł sztuki zniknął wraz z resztą mnichów, a może nawet razem z nimi zginął, pozostawiając po sobie wszystkie te dzieła – rzeźby, witraże, obrazy świętych – na których była ta sama twarz. Twarz Marie. Horst Schubert chyba nawet rozpoznawał inne – twarze mieszkańców Jettenbrunn: Charlotte, Johanna, dziadków Auböcków. Wypytywani mieszkańcy okolicy opowiadali mu o jakimś bracie Vitusie, szczupłym głuchoniemym mężczyźnie, artyście, który uwielbiał biegać i był bardzo dobrym człowiekiem, który z oddaniem pomagał w pobliskim hospicjum.

Wszystko to wprawiało go w niepokój. Mogło wprawdzie nic nie znaczyć, ale mogło też znaczyć bardzo wiele: koniec własnego szczęścia.

Wrócił do kraju po tygodniu. Kiedy był już blisko domu, przysłała mu do głowy pewna myśl, od której nie mógł się uwolnić: Zakładając, że Karl Heidemann chciałby znaleźć Marie, to dokąd by się udał? Co byłoby logicznym przystankiem w jego poszukiwaniach?

Horst Schubert miał na to tylko jedną odpowiedź.

Aubruck.



## 60 UNIEWINNIENIE

Pierwszą noc w mieście Karl Heidemann, opatulony w kurtkę, spędził za metalowymi drzwiami na ostatnim piętrze klatki schodowej. Nikt mu nie przeszkadzał. Był gotowy na nadchodzący dzień. Gotowy na wszystko, żeby naprawić swój błąd.

W końcu dzień nadszedł.

Lokator mieszkania czterdzieści sześć spał długo, a przebudzenie nie było łatwe; ciężko wzdychał i przeklinał, jakby nosił ciężkie worki z piaskiem. Z piskiem kół wózka inwalidzkiego pojechał do łazienki, a potem, po porannej toalecie, do kuchni na śniadanie. Później dobiegły odgłosy krzątania w przedpokoju, dyszenie i w końcu dzwonienie pęku kluczy.

Veit Pokrovsky wyjechał z mieszkania i skierował się do windy.

Karl zbiegł po schodach i wypadając na podwórze między blokami, zobaczył go. Po raz pierwszy od tylu lat. Miał przed sobą potwora, z wielkim trudem poruszającego się na wózku, na którego podłokietnikach były zawieszony plastikowe torby. Potężne ramiona poruszały się, gdy ręce wprawiały w ruch koła. Zrobił się tłusty, tłuste miał także nieuczesane włosy. Oddychał ciężko, próbując manewrować wózkiem. Jechał więc bardzo powoli przez ciemne łukowate przejście. Żałosny cień.

Dotarł na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się jego cel. Cmentarz.

– Pan dzisiaj znowu tutaj, panie Pokrovsky? – odezwała się słabym głosem składająca się z samej skóry i kości kobieta, której zostało jeszcze tylko tyle siły, żeby podnieść konewkę i podlać z niej kwiaty na grobie. – Naprawdę jest pan wytrwały. Godne podziwu. Gdybym tylko mogła, chętnie popchałabym pana wózek.

– W porządku, pani Freudenschlag, jakoś sobie radzę. To mój codzienny trening.

Inagle Karl Heidemann zobaczył w tym strasznym człowieku godną współczucia nieszczęsną istotę. Istotę, której powinno się podać pomocną dłoń.

– O! To miło z pana strony. Bardzo dziękuję.

Nie poznał go. Karl poczuł odór alkoholu, potu i brudu, ale zmusił się do tego, żeby pchać go dalej.

– To tu zaraz. Widzi pan ten wysoki cyprys?

Samotność sprawia, że ludzie odczuwają potrzebę mówienia.

– Że co? Że przychodzę tu codziennie? A nie przysięga się: „dopóki śmierć nas nie rozłączy”? I nawet jeśli moja żona umarła, to ja przecież jeszcze żyję.

Grób był zadbany.

– Teraz dodamy tu trochę koloru. Szkoda, że nie może pan zobaczyć pelargonii, które sadziła moja żona. Wspaniałe. Najpiękniejsze na świecie.

Veit Pokrovsky sięgnął do plastikowej torby, wyjął z niej łopatkę i dwa kwiaty w doniczce, zsunął się z wózka i zamienił się w ogrodnika.

– Hm... pelargonie... Mieliśmy kiedyś ładny dom na wsi. Tylko że co by mi dzisiaj z niego przyszło? I tak nie mógłbym pracować w ogrodzie. Poza tym tutaj i ten mi wystarcza.

Dziwnie było patrzeć na ten przesuwany się po grobie, pomagający sobie w tym długimi rękami, korpus. Ten kiedyś potężnie zbudowany mężczyzna zupełnie stracił swoją brutalność.

– Nie, nie mam, niestety, nikogo, kto by mi pomógł. Ale nie byłoby tak źle, gdyby nie te bóle.

Wylewał się z niego potok słów, jakby Karl Heidemann otworzył jakąś szluzę.

– Dzieci? Tak, córkę. Ale czy to w porządku liczyć na stare lata na pomoc dzieci? Według mnie dzieci nie ma się po to, żeby dostawać od nich coś w zamian. To nie interes: ja ci to, a ty mi za to tamto. Nie mogę nawet mieć za złe córce, że się nie widujemy, chociaż mieszka w tym samym mieście.

Westchnął głęboko.

– Zdarza się, że ktoś jest martwy, chociaż wciąż żyje.

Wsadził czerwony kwiat do wykopanego dołka.

– O, nie, nie musi mi pan współczuć. Chyba nie zasługuję na to. Na pewno nie byłem najlepszym ojcem na świecie. Nie wszystkie błędy da się naprawić.

Veit Pokrovsky wyrównał ziemię wokół pelargonii, i zrobił to niemal z czułością. Największą karą dla tego człowieka było to, że przeżył.

– Dziwią pana moje słowa? Pewnie by nie dziwiły, gdyby znał mnie pan kiedyś.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, przyjemnym, wyzbytym podejrzliwości, trochę ironicznym.

– Na szczęście można sobie pomóc w przeniesieniu się na tamten świat. A mnie życie dało już popalić, może mi pan wierzyć. Wolałby pan pewnie nie usłyszeć, co los może zgotować człowiekowi.

Karl próbował pomóc pełzającemu u jego stóp mężczyźnie.

– To bardzo uprzejme z pana strony. Gdyby był pan tak dobry i przyniósł wody. Z tym zawsze mi najtrudniej.

I Karl podlał pelargonie na grobie Hilde Pokrovsky. Był szczęśliwy.

Marie.

Znajdzie ją. Ale jeszcze nie teraz.

† † †

Nic. Nikt w Aubruck nie wypytywał o Pokrovskych. Owszem, w wiosce pojawiło się ostatnio kilku obcych – turystów, ludzi, którzy załatwiali tu jakieś

interesy albo byli przejazdem i zatrzymali się na noc w gospodzie, nie podejrzanego, żadnego Vitusa.

Horst Schubert przejrzał wszystkie nazwiska gości U Krallera i niewiele brakowało, a odszedłby stamtąd z niczym, gdyby nie wyciągnął listy zaginionych mnichów i nie porównał jej z tą w księdze gości. Na obu było to samo imię i nazwisko. Paolo Moroder.

Czas brać się do roboty.

Karl Heidemann był w drodze, może nawet dotarł już do miasta.

Horst Schubert wiedział, dokąd musi się skierować: do Veita.

† † †

Karl Heidemann pchał wózek Veita Pokrovsky'ego aż do jego mieszkania. Kiedy jechali windą, czuł dziwną bliskość z tym człowiekiem – oprawca i ofiara niczego się niespodziewająca – ale to były trudne chwile, częściowo dlatego, że Veit nie przestawał mówić, a ponadto Karl słyszał narastający od rana zgiełk.

– To naprawdę miło z pana strony, że dowiózł mnie pan pod same drzwi. Cieszę się, że pana spotkałem. O rany! Ale pan się spocił!

Karl jakoś doszedł do siebie.

– Może napije się pan wody?

Veit Pokrovsky patrzył na niego z troską. I choć Karl za wszelką cenę chciał zobaczyć w jego oczach potwora, tyrana, widział tylko człowieka, oczyszczonego, żałującego swoich czynów, pokutującego, widział rezultat tego, co zrobił na polu kukurydzy.

– Proszę wejść na chwilę.

Karl przeszedł przez próg do przedpokoju, ujrzał salon, drzwi do łazienki i kuchni i stanął przy komodzie, na której piętrzyły się lekarstwa, jak cegły pozwalające przeżyć. Silne środki przeciwbólowe, wskazujące na to, że Veit był poważnie chory i cierpiał.

Na ścianach nie było żadnych obrazów, żadnych pamiątek; na podłodze w przedpokoju nie stały buty w różnych rozmiarach. To mieszkanie przypominało grób. Spóźniona skrucha, na wierzchu wprawdzie ładne kolory, ale pod spodem nie było kryjącej bieli.

Veit Pokrovsky umrze tutaj. Samotnie.

Rozglądając się po mieszkaniu, zerkając przez uchylone drzwi na wannę w łazience, Karl wiedział, że przyszedł czas, że trzeba pozwolić Veitowi zakończyć jego pokutę i darować mu wolność.

– Chce się pan napić ciepłej czy zimnej wody?

Ciepła; już wkrótce.

Szybko opróżnił podaną mu szklanę.

Kiedy gospodarz nie patrzył, Karl wziął jedno opakowanie lekarstw,

pożegnał się i wyszedł, celowo pozostawiając swoją kurtkę.

– Może się kiedyś jeszcze zobaczymy, panie Moroder!

Słowa Veita Pokrovsky'ego odbiły się echem w długim korytarzu.

Pozostałe do końca dnia godziny Karl spędził tam gdzie noc – na klatce schodowej za metalowymi drzwiami. Minęły jak z bicza trzasł. Karl znalazł tabletki, które zabrał z mieszkania Pokrovsky'ego, jeszcze z czasów Fondazione Santa Vita. To była morfina. Kojąca ból, przymulająca, uspokajająca, dająca isierkę radości. Dzięki za nią Veitowi Pokrovsky'emu. Dała Karlowi cień radości, ulgi, lekkiej euforii, pozwoliła trochę pospać i dała mu poczucie, że teraz łatwiej będzie mu znieść miasto.

Gdy nadszedł wieczór, niedużo czasu już pozostało do zakończenia dzieła.

Dochodzące z mieszkania dźwięki wyraźnie na to wskazywały.

Co za smutne życie!

– O, pan Moroder! Jak miło pana widzieć! Tak sobie pomyślałem, że się pan pojawi, jak zobaczyłem pana kurtkę.

Veit mówił z trudem, poruszał się powoli; powieki opadały mu jak wtedy na polu kukurydzy.

– No, nie, tak szybko to pana nie wypuszczę. Proszę wejść, napijemy się po kieliszeczku.

Wkrótce Veit Pokrovsky na oczach swego milczącego gościa odpłynął, jak codziennie, w alkoholowy sen.

W sen tak głęboki, że nie mógł go z niego wyrwać ani kilkakrotnie dzwoniący telefon, ani plusk wody. Ciepłej wody, która leciała do wanny.

Karl ostrożnie przesunął wózek inwalidzki z pokoju do łazienki – ostatnia podróż. Rozebrał go i włożył do wanny. Jakby zamknęło się koło, Veit Pokrovsky znalazł się w ciepłej wodzie, jak w wodach płodowych. Śmierć i narodziny...

Ostry kuchenny nóż i dwa krótkie cięcia, i krew zaczęła płynąć wypływać z nadgarstków. Karl z czułością odgarnął włosy z czoła umierającego mężczyzny i włożył mu do ręki nóż.

Długo siedział na brzegu wanny, i patrząc, jak woda barwi się na czerwono, widział siebie, jako dziecko leżące w wannie, i zmartwione, pełne skruchy oczy matki.

Czuwanie przy zmarłym wciąż było przerywane dzwonieniem telefonu, a krótko po tym, jak przebrzmiał ostatni dzwonek, Karl usłyszał inny, zatrzymującej się windy. I wtedy nagle zniknęło drzemiące w nim przekonanie, że jest bezpieczny. Na korytarzu rozległy się kroki i szybko się zbliżyły. Tak-tok-tak-tok: dłuższe i delikatniejsze stąpienie lewej nogi, krótkie i mocne prawej.

Niczego nie rozumiał.

Rozległo się walenie w drzwi, a potem głos, który już Karla nie zaskoczył.

– Veit, cholera jasna! Otwórzże te drzwi! To ja, Horst!

Horst Schubert? Co on tu robi? Po tylu latach? I to „Horst”, a nie „Horst Schubert”?

Karl poczuł się tak, jakby stopy miał skrępowane łańcuchami, a łydki i uda ciężkie jak z ołowiu. Musiał znaleźć stąd drogę ucieczki, i to natychmiast. Ale myśl o tym, że miałby biec, przypominała mu sny, w których przed kimś ucieka, słyszy coraz bliżej jego dyszenie i ślinienie się, biegnie i biegnie, lecz wcale nie rusza się miejsca.

– Dajże spokój, Veit! Wiem, że od dawna nie rozmawialiśmy, ale to jest naprawdę ważne!

Głos Horsta Schuberta brzmiał coraz bardziej zdecydowanie, walenie w drzwi było coraz silniejsze, a w końcu zaczął w nie kopać.

Karl stał przy ścianie obok nich, od strony zawiasów, i czekał.

Nagle zamek puścił i drzwi otworzyły się do środka. Horst Schubert wpadł do mieszkania i rzucił się do pokoju, a potem do łazienki; wrzeszcząc, wyjął z kieszeni telefon i klnąc, że nie ma zasięgu, wybiegł na balkon. Karl Heidemann w tym czasie był już na klatce schodowej za metalowymi drzwiami.

– Przyjeżdżajcie natychmiast! On tu jest. Mamy zwłoki. Mojego teścia!  
Alternatywą dla wszystkich oczekiwań jest życie.

## 61 DROGOWSKAZ

Zamiast na dół – na górę. Karl, zataczając się, dowlókł się na ostatnie piętro budynku i jak ogłuszony siedział w kucki oparty plecami o metalowe drzwi i płakał.

Spóźnił się, o lata.

Czy wszystko było tylko iluzją? Złudną nadzieją? Zaczął przeklinać nadzieję, w której widział wszelkie zło potrafiące przyćmić zdrowy rozsądek i doprowadzić zarówno do paraliżu, jak i dzikiego działania. Nadzieję – strategię nieszczęśników, pożywkę tych wiecznie rozczarowanych, horyzont tych, którzy wypierają rzeczywistość, hipotekę biernych, symbol czekania, bezsensownego czekania, bez żadnej pewności, czy to, na co się czeka, kiedykolwiek się spełni.

Podczas gdy pustkę, jaka powstała w Karlu, zastąpiło potworne zmęczenie, cały budynek, odgradzony jako miejsce zbrodni, wypełniał się zgiełkiem; wszyscy mieszkańcy zostali przesłuchani i to, co Karl usłyszał, włączyło alarm w jego głowie.

Uzmysłowiło mu bowiem, że Horst Schubert już od jakiegoś czasu znów jest na jego tropie i że najbardziej martwi się o bezpieczeństwo Marie.

Słowa śledczego dręczyły go coraz bardziej, raniły jak ostrze miecza, ale w pewnym momencie rozsądek zaczął podpowiadać Karlowi, że musi się ratować. Tylko co może rozsądek w chwili rozczarowania, kiedy wszystko krwawi, a serce jest rozdarte? Gdy wszystko, na co się czekało – nawet jeśli to była beznadziejna mrzonka – przepada, okazuje się ułudą? Nic nie może.

W każdym razie Karl nie był w stanie posłuchać głosu rozsądku. I to zadecydowało o wszystkim innym, sprawiło, że przestał myśleć, przywarł do metalowych drzwi i znów zaczął mieć nadzieję, i znów górę wzięła strategia nieszczęśników.

Poczuł niezmacone niczym przekonanie, że to, co się stało – czas, spotkanie, okoliczności – nie było przypadkiem. Tylko jedno było ważne: Horst Schubert zjawił się tutaj, żeby zaprowadzić go do Marie. I to jeszcze dzisiaj.

Kiedy Horst Schubert powiedział: „Muszę iść do domu, padam z nóg”, Karl zbiegł po schodach i wyszedł na ulicę, na której mimo późnej pory wciąż panował ruch i wciąż stały radiowozy. Podniósł rękę jak oręż i po chwili siedział w taksówce.

– Dokąd jedziemy?

Taksówkarz wyglądał na rozgarniętego.

– No, dobrze. W takim razie poczekamy.

Nie trzeba było długo czekać.

Po Horście Schubercie, który w towarzystwie dwóch kolegów wyszedł na ulicę, nie widać było tych lat, jakie upłynęły. Może dlatego, że był łysy, może

z powodu sportowego stroju, a może dlatego, że należał do ludzi, u których trudno określić wiek.

Mimo że jego twarz przecinały zmarszczki i widać było na niej troski. Rozejrzał się uważnie, zerknął nawet w stronę Karla, ale go nie rozpoznał, i wsiadł do służbowego samochodu.

– Wszystko jasne. I mam jechać tak, żeby mnie nie zauważyli. Pierwszy raz mi się to zdarza. Zwykle to oni jadą za mną.

Karl Heidemann siedział na tylnym siedzeniu. Dzięki dwóm tabletkom ból był do zniesienia, dzięki nadziei nastrój trochę mu się poprawił.

Taksówka jechała dość wolno ulicami, które w dzień były tłoczne, ale o tej porze dość puste, mijala skwery, stare kamienice ze sklepami, kawiarniami, restauracjami i butikami na parterze.

– Jeśli ten samochód skręci w tamtą ulicę, nie będę mógł, niestety, pojechać za nimi, bo to jest pasaż dla pieszych i wtedy sytuacja by się odwróciła, to oni pojechaliby za nami.

Tamten samochód jednak nie skręcił. Zatrzymał się. Horst Schubert wysiadł, przeszedł przez plac, skinął głową do mężczyzny stojącego przy wejściu do jakiegoś domu i wszedł do środka.

– No, proszę, proszę... gliniarz, który ma ochronę!

Teraz już nie trzeba było się śpieszyć.

– Oczywiście, proszę pana. Teraz do pana hotelu.

Następnego dnia Karl spał długo. Zapłacił rachunek w hotelu, łyknął tabletki i ruszył w drogę na rowerze. Dotarł do centrum, do strefy dla pieszych i tam musiał prowadzić rower tą autostradą handlu, przez rewir myśliwski.

Polujący ludzie, czająca się wataha, rozglądająca się, ze zdobyczą w torbach i plecakach; ludzie siedzący przy stolikach w kawiarnianych ogródkach, ludzie zarabiający na życie. Akrobaci, uliczni malarze, artyści z marionetkami, sprzedawcy róż, postać stojąca na podeście, cała w złocie – złote ubranie, włosy, dłonie, twarz – poruszająca się tylko wtedy, gdy przechodnie wrzucali do koszyka monety.

Karl, który dzięki morfinie czuł się lepiej niż poprzedniego dnia, w końcu dotarł do placu i z bezpiecznej odległości patrzył na wejście do domu, w którym zniknął Horst Schubert – na dom Marie. Przez okno kawiarni zobaczył mężczyznę, któremu śledczy w nocy skinął głową, i natychmiast wiedział, co robić.

Naprzeciwko był hotel.

– Pokój jednoosobowy, z widokiem na skwer, na którymś z górnych pięter... Oczywiście. Ze śniadaniem i kolacją. Na ile dni?

Jeszcze nie wiadomo. Mile widziany gość. Bez żadnych pytań o to dlaczego, o to, czy został skądś wyrzucony, czy może sam odszedł, czy nie popełnił przestępstwa, czy szuka towarzystwa, partnera, opieki. Wszystko to nie ma

znaczenia, dopóki się płaci.

Tak jak kiedyś jego matka siedziała przed monitorem, tak teraz Karl siedział przed oknem, patrząc na ogrody na pobliskich dachach i promienie słońca przedzierające się między frontami domów. I tak jak matka widziała na ekranie swój skarb, tak on zobaczył swój.

Jeszcze tego samego dnia.

Nigdy dotąd nie widział tylu świateł pod gołym niebem: światła za oknami domów, uliczne latarnie, kolorowe neony nad wejściami do barów i kawiarni, girlandy światełek rozciągnięte nad ogródkami jak w altankach, świeczki i lampiony na wystawionych na ulicę stolikach – zwiastuny lata. Ludzie, złaknieni powiewu ciepłego powietrza na swojej skórze, wylegali na dwór i pozostawali na zewnątrz nawet po zachodzie słońca, okryci swetrami, kurtkami, pledami.

Nic nie umykało uwadze Karla.

Gdy wyłowił ją z tłumy, wszystkie światła przygasły, poza tym jednym. Przechodziła przez plac; zatrzymała się na krótko przy złotej nieruchomej postaci, wrzuciła do koszyka monetę, złoty posąg w podzięce skłonił się głęboko, a ona się uśmiechnęła.

Karl Heidemann podniósł się z krzesła, przylgnął do parapetu i musiał się powstrzymać, żeby nie otworzyć okna i nie wychylić się, by lepiej widzieć. Czy to naprawdę ona? Nie sama. Niepostrzeżenie dla niej, ale nie dla Karla, szło za nią dwóch mężczyzn – jeden z nich na jej widok opuścił miejsce przy oknie kawiarni, gdzie siedział już od tylu godzin. Ten drugi najwyraźniej miał go zmienić. Miała ochronę, która nie spuszczała jej z oka. I Karl również nie mógł tego zrobić.

– Marie – powiedział powoli, cicho.

Gdyby tylko mógł, sprawiłby, żeby wszystko się zatrzymało, żeby cały ten skwer i ulice ze swoim zgiełkiem zamieniły się w obraz, żeby nie zniknęła.

Nie miał już wątpliwości, że to ona, chociaż zniknęły zuchwale sterczące na wszystkie strony warkoczyki, ręcznie malowany T-shirt, ziemia za paznokciami, ledwie rysujące się piersi. Marie stała się kobietą.

Cudowną kobietą, uśmiechniętą, wyprostowaną, przyciągającą spojrzenia; dalej szła przez plac, kierując się do swojego domu. Krótkie włosy, długa szyja, szczupłe ręce; powiewająca przy każdym energicznym kroku kolorowa sukienka do kolan. Marie szła pewnie, nie rozglądając się, aż w końcu zniknęła w drzwiach domu. A więc nic nie wiedziała. O tym, że jest śledzona. O tym, że on mógł się pojawić. Może nawet nie wiedziała o śmierci ojca. Jeśli sposób chodzenia może świadczyć o nastroju człowieka, to Marie zdecydowanie nie była ani załamana, ani zniewolona. Sprawiała wrażenie szczęśliwej i wolnej.

Nawet jeśli Karl powinien się z tego cieszyć, to wcale tak nie było. Jeszcze nie.

Nie miał pojęcia, czy należy do nich cały ten dom, ale zobaczył zapalające



się światła na ostatnim piętrze, a potem Marie otwierającą okno i wyciągającą w górę ręce jak budzące się ze snu dziecko. W którymś momencie ujrzał Horsta Schuberta, który zatrzymał się przy drzwiach i nacisnął guzik domofonu. Karl zupełnie nie rozumiał, po co to robi – Marie nie mogła słyszeć dzwonka, była przecież głucha. Chyba że w domu był ktoś jeszcze? Może dziecko.

Karl dowie się tego. Dowie się wszystkiego.

W pewien sposób zadowolony, usiadł znów na krześle i przypomniały mu się ostatnie słowa Paola Morodera.

„Znajdź tę swoją dziewczynę. Obiecuj mi, że to zrobisz. Znajdź ją i uważaj na nią”.

I właśnie to zamierzał zrobić.

Tylko pewnie inaczej niż brat Paolo sobie to wyobrażał.

## 62 OBRAZ

Godzina siódma. Horst Schubert opuścił dom, a dwóch mężczyzn zajęło swoje pozycje w kawiarni. Karl tymczasem nie spał już od dawna; umyty, ze starannie przystrzyżoną brodą, gotowy do wymarszu siedział przy oknie.

Ósma trzydzieści. Marie przecięła zatłoczony już o tej porze plac i zniknęła w jednej z ulic. Zbiegł szybko po schodach i spokojnym krokiem, jak normalny przechodzień, ruszył za nią... nie za nią, lecz mężczyzną, który za nią podążył – ten drugi został w kawiarni przy placu.

Karl nie musiał iść daleko. Tylko do małej, gustownie urządzonej kwiaciarni przy deptaku, w której, w fartuchach i z nożyczkami w rękach, uprzejmie witano klientów, przycinano kwiaty i z wycuciem smaku układano wiązanek, stroiki i wieńce. Godziny otwarcia: od dziewiątej do piętnastej. Karl dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował, więc wrócił do hotelu, żeby trochę odpocząć.

O piętnastej czekał, zachowując bezpieczną odległość od kwiaciarni, a kiedy z niej wyszła, wypatrywał odpowiedniego momentu, żeby spojrzeć jej w oczy.

Gdy zatrzymała się przy stoisku z lodami, stanął przy niej, ramię przy ramieniu; kiedy wskazała dwa smaki, uśmiechnął się, przypominając sobie pole kukurydzy – wciąż mięta i gorzka czekolada – i poczuł nieopisaną bliskość; wybrał te same smaki i trzymając w ręku brązowawy rożek z jasnozieloną i niemal czarną kulką, odwrócił się twarzą do Marie, spojrzał w jej błyszczące oczy, mając nadzieję na uśmiech, na chwilę wewnętrznej bliskości, na więź, która nie zniknęła.

Nie było jednak ani uśmiechu, ani niczego innego.

Nie doczekał się tego również dwa dni później, kiedy zebrał się na odwagę, wszedł do kwiaciarni i kupił wielki bukiet białych tulipanów. Za ladą stała właścicielka; Marie w głębi pomieszczenia robiła wieniec z białych róż. Na szarfię był napis: *Dla Veita. Spoczywaj w pokoju*. Ostatnie słowa córki do ojca. Zerknęła w stronę Karla, ale nie zatrzymała na nim wzroku: żadnego znaku więzi, bliskości, nawet uśmiechu. Niczego w rodzaju: „Ach, to pan wczoraj kupował lody. Mięta i gorzka czekolada!”.

Spojrzała nie na niego, lecz przez niego, jakby był powietrzem.

Wszystko na nic. Jej serce było dla niego nieosiągalne. Należało do Horsta Schuberta.

Ale może gdyby rozpoznała w obcym mężczyźnie stojącym przed ladą chłopca z kukurydzianego pola...

Co wtedy wyczytałby w jej oczach? Pogardę? Miłość?

Musiał to wiedzieć!

† † †

Horst Schubert nie mógł zasnąć. Jeśli można by było traktować dosłownie określenie „śmiertelnie przerażony”, to byłby już jedną nogą na tamtym świecie. Pomysł przeniesienia Marie w jakieś bezpieczne miejsce wydał mu się bezsensowny. No bo jaki mógł jej podać powód przeprowadzki? Prawdziwy? I w ten sposób przelać na nią własny strach? Nie, tylko nie to! A poza tym, czy jakiegokolwiek miejsce mogło być bezpieczne? I czy zniknięcie Marie nie pozbawiłoby go szansy załatwienia raz na zawsze sprawy Karla Heidemanna?

Jakie czekałoby go wtedy życie? Gdziekolwiek by był, to zawsze, wychodząc z domu, miałby świadomość, że tamto się nie skończyło i być może nie skończy się nigdy. Nawet gdyby przetrząsnął całe miasto, to skoro Karłowi Heidemannowi udało się na ponad dziesięć lat zniknąć, dlaczego miałoby mu się nie udać teraz? Horst Schubert kochał Marie ponad wszystko i zdawał sobie sprawę, że jeśli żona ma żyć, to teraz nie może się dowiedzieć o pojawieniu się w mieście Karla Heidemanna i że musi być chroniona, a jednocześnie wystawiana jako przynęta. Nadeszła pora, żeby to wszystko skończyć. I wyglądało na to, że może się to udać.

Telefon zadzwonił przed dziewiątą.

– Horst, musisz to zobaczyć! – usłyszał głos zdenerwowanego kolegi, jednego z tych, którzy pilnowali Marie. – Zejdź szybko na dół!

† † †

W poprzek deptaka ciągnął się napis. Każdy, kto tamtędy przechodził, musiał go widzieć. Powtarzające się słowa, a między nimi namalowany kredą obraz; tak pięknego jeszcze nigdy nie widziano w tym mieście. Dziewczyna ze sterczącymi na wszystkie strony warkoczykami i z tak żywymi oczami, że nikt nie mógł obok tego przejść obojętnie. I słowa.

„Chodź do mnie”. Tylko ta jedna wiadomość.

„Chodź do mnie”.

– Wygląda to na jakąś romantyczną historię – powiedział jeden z poruszonych przechodniów.

A Karl Heidemann widział to wszystko, słyszał każde słowo, stojąc w tłumie niedaleko Marie, która przejęta przyklękała i przesuwiała dłoń nad obrazem, jak po powierzchni wody, jakby cierpliwie wyławiała stamtąd wszystkie wspomnienia. I nie były to niepokojące wspomnienia, bo kiedy się podniosła, w jej oczach nie malował się ani strach, ani przerażenie. Jej oczy szukały. Gdy oczy wszystkich przechodniów zwróciły się w stronę, z której dochodził sygnał radiowozu, jej oczy, pełne ciepła i ciekawości, wciąż szukały.

Dopiero dotyk Horsta Schuberta, który wyskoczył z tyłu samochodu policyjnego, podbiegł i położył rękę na ramieniu żony, przerwał jej zamyślenie i twarz Marie się zmieniła. Teraz widać było na niej wyrzuty i pytania: Dlaczego

pojawiasz się akurat wtedy, kiedy zobaczyłam ten obraz? Kto ci o tym powiedział? Wiedziałeś, że Karl Heidemann się pojawił i nie wspomniałeś mi o tym ani słowem?

Zamknęła się przed Horstem Schubertem, rozczarowana ruszyła przed siebie, on biegł za nią, a Karla zaczęła przepełniać radość.

Od tej pory będzie na nią czekał, codziennie, kiedy będzie wracała do domu, będzie ją obserwował, sam nie będąc widzianym.

Okazało się, że to wcale nie takie trudne.

## 63 MONETA

Alberich, karzeł strzegący złota Nibelungów, jako przebranie. Jego strój nie był złoty, lecz biały. Wszystko było białe: skarpety, spodnie, koszulka, buty, ciało, włosy, czapka.

Karl nie ustawił wprawdzie podestu, na którym stanął, pod samym domem Marie, ale na tyle blisko, że słyszał każde słowo Horsta Schuberta, kiedy ten zatrzymał się przed wejściem i zmartwionym głosem rozmawiał przez telefon, zrozpaczony własną sytuacją, wściekły z powodu braku postępów w śledztwie.

Nikt nie znajdzie Karla. Poza Marie.

Minęło kilka dni, zanim wyszła z domu i wróciła do swojego utartego trybu życia. Ale nic nie było takie jak wcześniej. Teraz już pilnujący jej mężczyźni towarzyszyli Marie oficjalnie. Straciła swobodę. Karl widział tylko jej uważny wzrok, kiedy się rozglądała.

Za nim. I znajdzie go. To było wyłącznie kwestią czasu. Nie był to dla niego łatwy okres. Mimo otępiającej morfiny musiał się bardzo koncentrować.

Nawet nie tyle samo trwanie bez ruchu sprawiało mu największy kłopot, ile docierające ze wszystkich stron hałasy i wystawianie się na łaskę innych. Dopóki w końcu nie dotarło do niego, że to nie on jest wystawiony, lecz tamci, na łaskę innych, a tym samym na jego łaskę.

Ludzie wokół niego sprawiali wrażenie nieświadomych myszy, które beztrąsko biegają po polu, podczas gdy w górze krąży sokół. Myszy wprawdzie skarżą się, że są poddawane coraz intensywniejszej obserwacji, ale same nie poświęcają swojemu otoczeniu tyle uwagi, w gruncie rzeczy w ogóle go nie dostrzegają. W związku z tym stają się nieważne, nawet dla tych, co są najbliżej. I liczą się tylko własne tyłki. W przypadku ludzi te małe gadzety, które trzymają w rękach.

Gadzety, których trzeba używać, bo jeśli ktoś tego nie robi, od razu staje się podejrzany o to, że jest bierny, ma kłopoty z relacjami, brakuje mu celu w życiu, w każdym razie nie jest kimś ważnym... Inaczej Karl Heidemann nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

Gadanie, gadanie, gadanie w nieskończoność. Przeżuwanie wciąż tych samych treści, zdarzeń, poglądów, powtarzanie ich, nieważne, czy temu samemu rozmówcy, czy kolejnemu. To, co Karl przez wszystkie lata w Fondazione Santa Vita uważał za przejaw starości, umysłowego obsuwania się, tu okazało się powszechne.

Im głośniejsze rozmowy, tym radośniejsze albo bardziej poruszające tematy; im cichsze – tym bardziej nikczemne. Czy to jakieś przekleństwo? Przekleństwo, które sprawia, że ludzie zajmują się tylko sobą? Sposób na to, by jakoś przeciwstawić się zamętowi? Zwalczenie zamętu zamętem?

Odra, świnka, różyczka, febra, ospa, ospa wietrzna, rotawirusy, grypa, zgiełk. Jeden wirus zwalczać innym. Żywa szczepionka. Kiedy wreszcie kończą się rozmowy, zaczyna się gapienie w ekrany, małe albo duże, stukanie w klawiaturę, dotykanie ekranów, przesuwanie po nich palcami, potrząsanie nimi, wkładanie końcówki słuchawek w mały otwór.

Większość ludzi zajmuje się teraz sama sobą, nie dostrzega innych, tego, co piękne, tego, co groźne – nie dostrzega życia.

Karl przypomniał sobie Jettenbrunn, siadające na resztkach jedzenia nieruchawe muchy, które można było leniwym pacnięciem ręki wysłać na tamten świat. Ludzie mogą być równie łatwymi ofiarami. Tylko ci starzy, siedzący na ławkach, potrafili jeszcze patrzeć z uwagą.

Katusze związane z jego wrażliwym słuchem stały się niemal przyjemne. Hałas, który dotąd odbierał jak wałący z góry grad, zamienił się w coś w rodzaju altanki obrośniętej winoroślą, z której mógł się dowoli częstować. Mógł wybierać, filtrować, rozwarstwiać, wyciskać jak z gąbki, słuchać tylko tego, co chciał. To było jak zabawa.

Szybko zorientował się, jak inaczej niż na ulicy zachowują się ludzie w ścianach swoich mieszkań.

I dostroił się wewnętrznie do rytmu placu, poznał przyzwyczajenia mieszkańców otaczających go domów, a nawet cechy charakteru i historie regularnie pojawiających się na nim osób. A kiedy miał ochotę na ciszę, wsłuchiwał się w swój wewnętrzny rytm albo siłą woli ożywiał w myślach mieszkańców klasztoru i słuchał ich spokojnych śpiewów, cichego prychnania Q albo lekkiego szelestu jej ocierającego się o ścianę ogona.

Mijały dni; od czasu do czasu ktoś wrzucał do koszyka monetę, Karl zginał się w podzięcie lub kiwał głową, nieraz się obracał, żeby zobaczyć zbliżającą się albo oddalającą Marie, której wciąż towarzyszyli mężczyźni z obstawy, zdekoncentrowani, znudzeni.

Ona wydawała się coraz spokojniejsza; wszystko zaczynało wracać do normy, wpadała do kawiarni, zatrzymywała się, żeby kupić lody, czasami tak jak kiedyś wrzucała monetę do koszyka stojącego przed złotą postacią.

Ale któregoś dnia wreszcie zatrzymała się przed Karlem i przez chwilę mierzyła go wzrokiem, a kiedy do koszyka wpadła moneta, on poruszył się tak, jak wielokrotnie ćwiczył to w pokoju hotelowym. A w tym ruchu nie widać było ani ulgi, ani radości. Tylko lekki skłon, lewa ręka skierowana na jego pierś – JA – a prawa wyciągnięta do przodu i szybkie ruchy palców. Cztery litery, ujmujący gest, znak, że nie zapomniał. Cztery litery, które kiedyś napisał na ziemi na polu kukurydzy:

K – A – R – L

A potem stał bez ruchu; ze wzrokiem wbitym w szmaragdowozielone oczy

Marie, chociaż wszystko w nim i w niej się gotowało.

## 64 ŚWIADEK

Dziwne to czasy, kiedy dwoje zakochanych krąży wokół siebie jak dwie szklane kule poruszające się po wewnętrznej stronie leja, coraz szybsze, coraz bliższe celu – otworu, przez który dokądś wpadną.

Nie wiadomo dokąd.

Marie nie rozgląda się, wychodząc z domu. Pewnym krokiem idzie do kwiaciarni i punktualnie wraca. I od czasu do czasu wrzuca monetę do koszyka stojącego u stóp Karla i patrzy na białą postać po dworsku padającą przed nią na kolana, innym znowu razem machającą ramionami, jakby miała wznieść się w powietrze, albo kładzie obie dłonie na lewej stronie piersi. Któregoś dnia do koszyka trafiła nie tylko moneta, lecz również karteczka zgnieciona w kulkę niewiele większą od ziarnka grochu.

Na cienkiej warstwie widać malutkie litery.

*Dzisiaj o 17.30. Na dachu. Ale nie wchodź przez mój dom.*

Karl Heidemann ruszył wykąpany i ogolony. Znał drogę, bo prawie przez cały dzień nie robił nic innego poza dokładnym sprawdzaniem sąsiednich domów. Minał mężczyznę pilnującego Marie, wszedł do budynku, w którym mieściła się kawiarnia, wspiał się na ostatnie piętro, a potem po przytwierdzonej do ściany drabinie we wnęce muru przez zamkniętą na zasuwę klapę wy dostał się na zewnątrz i, chowając się za kominami i wystającymi ponad powierzchnię dachu szybami wentylacyjnymi, ruszył w stronę domu Marie, zdając sobie sprawę, że to może być pułapka, że może iść prosto w ręce Horsta Schuberta.

Jeszcze tylko kawałek po znajdującym się nieco wyżej dachu sąsiedniego budynku, kilka kroków po żelaznych stopniach na murze i już widział Marie.

Leżała ukryta między dwoma wysokimi na jakiś metr szybami wentylacyjnymi, ze wzrokiem skierowanym w niebo. Kiedy Karl się do niej zbliżał, kręciło mu się w głowie – może z powodu wysokości, może ze zdenerwowania, a może po prostu dlatego, że wiedział, że osiągnął swój cel. Nie przywitali się, nie dotknęli, nawet nie skrzyżowały się ich spojrzenia.

Długo leżeli obok siebie bez ruchu, dopóki ich serca nie zaczęły bić w normalnym rytmie. Było gorąco, czarna powierzchnia dachu – bitum i smoła – nagrzana promieniami słońca, była miękka i chropowata. Miękkie i ciepłe były palce, które w końcu spoczęły na dłoni Karla, objęły jego palce, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie, i splotły się z nimi, tak że te dwie dłonie stanowiły teraz jedność. Czuły siebie nawzajem i ta więź nie wymagała żadnych wyjaśnień. A potem te ręce zaczęły opowiadać historie, malować je między ziemią a niebem.

Z ulicy dobiegały rozmowy i inne odgłosy – jak mętna zupa – do których



dołączył śpiew poruszanych wiatrem anten, masztów i drutów.

Dwoje ludzi i niebo. Połączeni.

Białe chmury na niebieskoszarym niebie.

Lilie wodne na matowym jeziorze.

Zające polarne na błękitnoszarym dywanie.

W pewnym momencie z kakofonii dźwięków na ulicy Karl wyłowił głos Horsta Schuberta i po chwili zabzyczała bransoletka na nadgarstku Marie, która prawdopodobnie odbierała sygnał z domofonu.

Czas się rozstać. Krótkie pożegnanie.

Akceptacja bez słów nie wymaga wiele czasu.

† † †

Coś się w Marie zmieniło.

Wyraźnie. Każdy mógł to zobaczyć.

Gdy wychodziła z domu, już nie błędziła wzrokiem dookoła. I nawet jeśli się ją uważnie obserwowało, trudno było odgadnąć przyczynę tej zmiany. Nie spotykała się z żadnym mężczyzną, nikt się koło niej nie kręcił, nikt nie przekazywał wiadomości. Nic, zupełnie nic. Fakt, że Horst Schubert nie potrafił znaleźć tej przyczyny, doprowadzał go do obłędu.

Dlaczego w ogóle się nie bała? Dlaczego nie bała się człowieka, który mógł – niezależnie od swoich motywacji – popełniać morderstwa. I dlaczego Karl Heidemann miałby po tylu latach pokonać dzielącą go od niej długą drogę, jeśli nie po to, by zetrzeć z jej ostatniego portretu otwarte oczy i zastąpić je zamkniętymi.

Wieczny sen...

† † †

Ostatnio Marie przechodziła obok niego tak, jakby go nie było. Dlaczego? Czy w ten sposób chciała go chronić? Albo siebie? A może przestał być dla niej ważny?

Nic z tych rzeczy.

Chodziło o to, że była rozdarta między tym, co wiedziała, a wewnętrzną potrzebą, którą odczuwała coraz mocniej. Potrzebą, żeby spełniło się coś, o czym ani ona, ani Karl nie mieli pojęcia.

I spełniło się.

Po wielu dniach do koszyka znowu wpada moneta, a wraz z nią wiadomość. Karl zgina się w podzięce.

Jeszcze dzisiaj!

19.30. Dach.

Tej nocy na początku lata Karl Heidemann znalazł się na ostatnim zakręcie

swojego życia.

Rześkie powietrze.

Na początku wszystko tak jak zawsze.

Po prostu leżą obok siebie.

Ale tym razem rytm ich serc się nie uspokaja.

Tym razem dłoniom nie wystarcza to, że się trzymają. Już nie są spokojne, szukają, błądzą, chcą więcej.

Wylewa się cała tęsknota, nie dziko, nie bez opamiętania jak u dzieci rzucających się pod choinkę, żeby jak najszybciej obejrzeć prezenty, lecz ostrożnie, czule, z głębokim oddaniem. Tak jakby wyjmowali z kartonów cenne ozdoby choinkowe i po zdjęciu z nich bibulek wieszali je na drzewku.

Miłość w lecie na dachu krytym smołą i bitumem. Wcale nie ulotna. Fizyczna. Przypieczętowana. Karl Heidemann przekroczył metę swoich tęsknot. W którymś momencie oboje głęboko oddychają, obejmują się i niczego nie żałują.

Słysząc przyjemne dźwięki muzyki nocnego życia. Z bliska i z daleka.

Z daleka. Być daleko stąd.

Uciec i rozpocząć od nowa.

Myśli jak bańki mydlane: błyszczą, szybują i pękają, zanim znikną w dali.

Ale niech lecą, choćby przez krótką chwilę.

Długo w noc Marie i Karl leżeli na cieplej, chropowatej powierzchni dachu w powietrzu przesiąkniętym zapachem smoły, naftaliny, z czarnymi lepкими okruchami rozsypanymi na ich ciałach, pod niebem, na którym było rozsypanych znacznie mniej gwiazd, z trudem przebłyskujących przez wieczne miejskie opary i lunę światła.

Leżeli nawet wtedy, kiedy nie wystarczały już ani ubrania, ani ich ciała, żeby się wzajemnie ogrzać i nocny chłód przenikał je na wskroś. Leżeli, jakby ten dach był celem ich życia, jakby za wszelką cenę nie chcieli dopuścić, by pękła bańka mydlana.

Ale pękła.

Karl poczuł nagle wibrowanie. Marie wzięła do ręki telefon, którego ekran wyglądał w ciemności jak mała prostokątna planeta. Wiadomość na nim była rzeczywiście z innej planety.

*Obiecuję, że niedługo będę w domu i przyniosę coś do jedzenia. Cieszę się, mój aniołku, że cię zobaczę. Kocham cię.*

*Horst*

Aniołku... Mój aniołku...

Może w innym miejscu, w innym czasie...

Marie Schubert z domu Pokrovsky pomału, jakby chciała zyskać trochę

czasu, otrzepała ubranie, wytarła oczy z łez, strzepnęła z twarzy Karla czarne drobinki, pogłaskała go po policzku jak matka płaczące dziecko, jakby chciała powiedzieć „Wszystko będzie dobrze”, wiedząc, że to nieprawda.

W jej oczach malowały się ból, tęsknota i cień pożegnania.

Karl też się z nią żegnał, tylko że jego pożegnanie było bardziej ostateczne. Dotarł już do swojej mety i pomału zaczynał widzieć, co jest za nią.

Mety... Miejsca przeznaczenia... Kiedy unosi się triumfalnie ramiona, kiedy znika napięcie, a z ramion spada ciężar, kiedy z ulgą pada się na kolana, gdy dyplomy, medale i puchary są już wręczone jako nagrody, trofea, w tej samej sekundzie są już niczym więcej, jak fragmentami wspomnień, przedmiotami dumy, eksponatami w muzeum pychy.

Mety – miejsca, w którym gaśnie zapał, w którym zostają pogrzebane tęsknoty. I czasem się to świętuje przez kilka dni i nocy.

Bo może wtedy radość, podziw potrwiają jeszcze trochę. Ale to wszystko jest tylko odsuwaniem, przedłużaniem, bo potem i tak przychodzi pustka.

Karl Heidemann długo jeszcze został na dachu; leżał między dwoma szybami wentylacyjnymi, podczas gdy Marie już od dawna była w swoim dwuosobowym łóżku.

Leżał, kiedy ulice – między drugą a piątą – pogrążyły się w czymś zbliżonym do ciszy, która jakby szeptała ludziom: „Nie zapominajcie o mnie”.

Przepełniony szczęściem o gorzkim posmaku leżał wciąż, gdy miasto budziło się do życia, a powietrze zaczęło się wypełniać aktywnością, pędem, dymem.

Niebo było zamglone.

Co teraz?

## 65 UWOLNIENIE

Pierwsze czterdzieści dni ostatnich czterdziestu tygodni swojego życia Karl Heidemann spędził na odmawianiu sobie wszystkiego, na odrzucaniu wszystkiego, nawet życia.

Na początku, otępiały, nieustannie zmęczony, przepełniony pustką i smutkiem, nie opuszczał pokoju hotelowego, wiedząc, że nie może się ani cofnąć, ani pójść naprzód, ani zbliżyć się do Marie, ani jej zostawić.

Czasami przysuwał do okna fotel i siedział ukryty za kremowobiałymi jedwabnymi zasłonami; widział Marie na ulicy, wchodzącą na dach, wychylającą się z okna; widział, jak Horst Schubert się o nią troszczy, jaka jest przy nim bezpieczna.

Przez większość czasu jednak Karl leżał w łóżku, gapił się godzinami w telewizor z wyciszonym dźwiękiem; patrzył na wiadomości o tym, co się dzieje na świecie, na ludzi i na to, co robią z tym światem.

Świat, w którym potrzeba coraz mniej ludzi do tego, by inni mogli żyć.

Świat, który nie chce słyszeć o ciężkiej pracy, ale skarży się, że są ludzie, którzy jej nie mają.

Świat, w którym wartościuje się różne okresy życia, jakby życie było czymś, co można pokroić na plasterki, kawałki, kostki i przykleić do nich etykietki.

Wszystko, co Karl widział, budziło w nim pytania. A gdyby tak człowiek, któremu przecież natura dała dwie ręce, użył ich do zrobienia czegoś, do sprawienia, żeby coś zaczęło rosnąć, kwitnąć, dojrzewać, do zerwania owoców, zamiast stawać się istotą, która tych dwóch rąk używa wyłącznie do tego, żeby płacić za to, czego potrzebuje do życia?

A jeśli już płaci, to szewcowi, krawcowi, rzeźnikowi, piekarzowi, stolarzowi, malarzowi czy ogrodnikowi, a nie wiedząc nawet, za czyje dzieło – albo przestępstwo – płaci.

A gdyby ktoś, kto uważa siebie za niepotrzebnego, słabego, nietwórczego, zbędnego, doszedł do wniosku, że jest taki z własnej winy? Co mogłoby z tego wynikać? Coś dobrego, czy coś złego?

Im więcej Karl Heidemann gapił się w ekran, tym czarniejsze były jego myśli, tym umysł stawał się bardziej ociężały i coraz bardziej gasła w nim gotowość do jakiegokolwiek działania, tak jakby telewizor wysysał z niego całą energię.

I pozostawiał w nim tylko dezorientację.

Co dalej?

Co będzie z nim i Marie?

Z dwójką ludzi dla siebie stworzonych, ale sobie nie przeznaczonych?

W całym tym zagubieniu w Karlu jedno nie budziło wątpliwości: ucieczka.

Musiał stąd uciec. Jak najdalej, żeby zyskać jasność myśli.

Wsiadł więc na rower i zaczął pedałowac.

Byle dalej od tego zgiełku.

Pedałował i pedałowal, całymi dniami; na początku noce spędzał w przydrożnych pensjonatach, ale potem wolał jazdę w spokoju – wieczorem i w nocy – a dnię spędzał tak, jak po swojej ucieczce z Jettenbrunn, na świeżym powietrzu. Z ziemi do ziemi.

Przyroda przyjęła go tak, jakby wrócił do domu; witała go na mokradłach, w leśnych gęstwinach, w miejscach wyrębu drzew, na zarośniętych brzegach jezior, na położonych na uboczu wzgórzach. Dawała to, czego potrzebował, by przetrwać, pokazując, że wszystko inne jest tylko niepotrzebnym ciężarem. Ciężarem, który nie jest jej dziełem – to człowiek ją nim obarcza. Człowiek kat.

Karl nauczył się doceniać skromność tego, co niezbędne, i ciągle było mu tej skromności mało, choćby w tych milionach rymów, górach wierszy, w których próbowano opisać spokojną ciszę przyrody, jakby była pustą kartką papieru, która tylko czeka, aż się ją wypełni, uwolnioną duszą, która wreszcie osiągnęła spokój.

Ale ta kartka nie była pusta:

*beczenie, brzdąkanie, brzęczenie, buczenie, bzyczenie, charkot, chichot, chlipanie, chlupotanie, chrapanie, chrobot, chrumkanie, chrząkanie, chrzęszczenie, ciamkanie, cmokanie, cykanie, ćwiergolenie, ćwierkanie, dudnienie, dzwonięcie, fukanie, furkot, gadanie, gaworzenie, gdakanie, gęganie, grzechotanie, grzmot, gulgotanie, gwizd, huk, hurgot, jęk, jazgot, klekot, klikanie, kłapanie, kołatanie, krakanie, krzyk, kukanie, kwik, kwilenie, łomot, łopot, łoskot, mamrotanie, miauczenie, mlaskanie, mruczenie, muczenie, nucenie, paplanie, parskanie, pianie, pikanie, pipkanie, pisk, plaskanie, plusk, pohukiwanie, prychanie, pukanie, pulsowanie, rechotanie, ryczenie, rzępolenie, rzężenie, rżenie, sapanie, siorbanie, skomlenie, skowyt, skrobanie, skrzeczenie, skrzypienie, skwierczenie, syczenie, szczebiotanie, szczekanie, szczękowanie, szelest, szemranie, szept, szloch, szmer, szum, szwargot, świst, terkotanie, trąbienie, trzask, trzepot, trzeszczenie, ujadanie, warkot, wzdychanie, wizg, wrzask, wycie, zawodzenie, zgrzyt*

Spokojna cisza?

Nie dla Karla.

Jadąc dalej, wciąż poszukiwał, także w zakamarkach swojej pamięci. Czy gdzieś, dokąd zagnało go życie, znalazł prawdziwą ciszę?

Było takie miejsce.

Nie staw w Jettenbrunn i nie piwnica w rodzinnym domu.

Pomieszczenie ze ścianami błękitnymi jak niebo, zielonymi jak łąka, żółtymi jak słońce i brązowymi jak ziemia.

Pokój z poduszkami, pluszowymi zwierzakami, drewnianym posłaniem jak w saunie w Jettenbrunn, a może nawet z miękkim łóżkiem. Dwuosobowym. Dla niego i Marie.

Pokój, a może nawet cały dom. Przytulny, jasny. Dla dwojga. A może nawet dla trojga. Pokój dziecienny z kołyską.

Pomieszczenie, w którym spoglądało na niego z góry dobrotliwe oko.

Głęboko pod ziemią, gdzieś w gęstym lesie otaczającym Aubruck.

Ale mógł je znaleźć.

Nawet jeśli było tam strasznie, to teraz ten szyb, gdzie przeżywał katusze, wydał się Karlowi Heidemannowi jedynym miejscem, do którego mógł uciec.

I wkrótce zakopał w ziemi kości – szczątki dwóch psów i dwóch mężczyzn – a dół szybu wyłożył miękkimi drobnymi gałęziami i wysuszoną przez letnie słońce trawą; za poduszkę służył mu mech. Nieopodal znalazł mały strumień i całkiem niedaleko osadę, w której mógł się zaopatrywać w żywność. Wreszcie w domu.

Niezmacony umysł, przynajmniej na tyle, by pojąć, jak bardzo to nieskończone bogactwo skromności i ubóstwa jest dla niego ważne – dla jego myśli, działań, miłości – i że zarówno zazdrość, jak i chęć posiadania szkodzą, wszystkim i we wszystkim.

Kiedy zasunął betonową klapę nad swoją głową i zamknął się w ciemności i ciszy, pragnął tylko jednego: z szacunku dla piękna chciał, żeby to, co piękne, pozostało piękne. Bo żadna noc z Marie nie mogłaby już być taka idealna jak tamta.

Wdowiec po jednej cudownej chwili.

Po nocy niczym nieskalanej miłości. Nieskalanej żadną skrywaną myślą, złym zamiarem, wyrachowaniem, zniekształconym obrazem tego drugiego, jaki pociąga za sobą codzienne życie. Obrazem, który w pewnym momencie zaczęłyby przesłaniać ich prawdziwe JA. W nieunikniony sposób. Aż w końcu zniknęłoby całe piękno tego drugiego.

Będzie najlepiej, jeśli zostanie tak, jak jest teraz.

Dziękuję ci, Horście Schubert.

Załatwione.

Życie szczęśliwie.

Zostawiam was.

## 66 DŹWIĘKI ŻYCIA

Spacer po lesie. Pewnie ostatni. Taki był plan. Ale wyszło inaczej.

Głos dochodził ze stojącego przy drodze domu, z okna, przy którym rosły jaskrawoczerwone pelargonie, nieubłaganie wdzierając się w uszy Karla. Jak drogowskaz pokazujący tylko jeden kierunek.

Tak długo nie słyszał tej kołysanki. Ostatnim razem, kiedy miał jedenaście lat. Teraz płonęły mu od niej uszy, i serce. I żył bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

To nie była iluzja.

Była to rzeczywistość, bolesna, głośna, przesywająca.

Karl Heidemann odważył się wyjść z lasu, podszedł do okna i z niedowierzaniem zajrzał do środka.

Kołyska. Kobieta. Obca twarz, a mimo to przyjazny uśmiech. I tyle zaufania w jej głosie, w jego barwie, intonacji, w miękkim „ś”, w przeciągniętym „i”, w melodii, rytmie i każdym słowie.

*Śpij dziecię, śpij.*

*Jaśniutki księżyc jest już na niebie.*

*Na białym koniu jedzie do ciebie,*

*Tak cicho, jakby śnił.*

*Śpij, dziecię, śpij.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

*Księżyc na nosie ma okulary*

*I widzi wszystko, chociaż jest stary.*

*Takie już z niego lichy.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

Głos matki, która śpiewa swojemu dziecku do snu.

Głos matki... Charlotte Heidemann...

Niesamowita analogia. Ale dlaczego akurat teraz? Po tylu latach?

Ożyły wspomnienia. I poruszyły go.

*Chciałabym, żebyś mnie kochał.*

A potem:

*No i... Kochasz mnie? Tak?*

*Więc mi to pokaż. I powiedz.*

Zobaczył błagającą go matkę, jej walkę o tę iskierkę miłości w jego oczach, ostatnie, wzywające, błagające spojrzenie. A potem zobaczył jej koniec.

Nagle w drzwiach pokoju, do którego zaglądał, ujrzał coś, co sprawiło, że oszołomiony osunął się na ziemię i ukrył pod parapetem.

Tak jakby jej głos zwabił go tutaj, jakby wzięła go za rękę i przyprowadziła do tego okna, żeby zobaczył to, co jeszcze przyszykowało mu życie.

† † †

To miasto nie dawało bezpieczeństwa. Za dużo ludzi, za dużo zagrożeń, same kłopoty, wieczne kłopoty. Żadnych postępów w śledztwie, żadnych nowych tropów. Horst Schubert wszystko już przygotował, wtajemniczył w to Marie i uzyskał jej zgodę.

Wreszcie urzeczywistniało się to, czego od dawna tak bardzo pragnął. Ze sprzedaniem domu w mieście nie było żadnego problemu. Z kupieniem ładnego domku na wsi również.

Mała miejscowość, w której wszystko można mieć pod kontrolą, a Marie nie będzie kimś obcym i nie będzie musiała powtarzać tej samej historii. Gdzie nie będzie musiała udowadniać swojej wartości.

Aubruck.

Tu jest niewiele ludzi, ale jeden na drugiego zwraca uwagę i pojawienie się każdego obcego rzuca się w oczy. A Horst Schubert będzie mógł lepiej sprostać obowiązkom, jakie go czekały. A nie ma obowiązków, które mogłyby być od nich przyjemniejsze.

† † †



Oparty o mur domu Karl Heidemann zupełnie już nie rozumiał tego świata, aż w końcu usłyszał słowa Paola Morodera, tak jakby stary mnich siedział przy nim.

„I proszę cię o jedno: nie myśl za dużo. Opuść sobie niektóre sprawy, a zobaczysz, że same się ułożą”.

To, co zostawił za sobą, dogoniło go.

Marie, od której przed czterdziestoma dniami uciekł, przyjechała do niego, nawet o tym nie wiedząc.

Ale dlaczego? W odwiedzinach? Do dawnej przyjaciółki, która urodziła dziecko? Przeprowadziła się tutaj?

Zrobiła kilka kroków i stanęła przy oknie, podczas gdy Karl, cichy nieproszony gość, kuczał pod parapetem. Wlała do skrzynki z pelargoniami trochę wody, a do serca Karla nową perspektywę.

Dwoje ludzi.

Tam za oknem było dwoje ludzi. Ziarenko w łupince.

Słyszał wyraźnie: serce Marie. A pod nim cichutkie, bardzo cichutkie, jak ostrożne stąpanie na miękkich podszewkach kogoś, kto chce zrobić komuś niespodziankę, bicie drugiego serca. Dwa razy szybsze.

*Cicho, dziecię, cicho.*

*Księżyc na nosie ma okulary*

*I widzi wszystko, chociaż jest stary.*

*Takie już z niego lichy.*

*Cicho, dziecię, cicho.*

Karla Heidemanna, ukrytego pod pelargoniami, zalała taka fala radości, poczuł taką pewność, że chciał wejść przez okno do domu i wziąć Marie na ręce.

Dziecko. Jej dziecko. Jego dziecko. Niepokalane poczęcie. Tamtej nocy.

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Bo inaczej po co życie miałyby go tutaj przyprowadzić?

Po co kazałyby mu szukać Marie?

Słowa, które dochodziły z sąsiedniego pokoju, nie miały żadnego znaczenia. Słowa Horsta Schuberta o tym, że wreszcie się udało, i żarty rozmawiającego z nim mężczyzny na temat płci dziecka, które oczywiście musi być chłopcem.

Dla Karla nagle wszystko, co dotąd przeżył, zaczęło mieć sens.

Wiedział, że to jeszcze nie jest jego koniec, że musi z tym poczekać, i zrozumiał znaczenie słów brata Paola.

„Znajdź tę swoją dziewczynę. Obiecuj mi, że to zrobisz. Znajdź ją i uważaj na nią”.

Tylko że to nie Marie była tą dziewczyną.

## 67 KONIEC

Co można wydobyć z pamięci, jeśli pewnego dnia spojrzysz się wstecz? Co wypełnia tę pamięć, jakie zdarzenia, sukcesy, kluczowe informacje? Czy odciskają się na niej całe okresy życia? Temperują ją, grzeją, chłodzą, pogarszają albo poprawiają?

Czy pozostają w niej te duże rzeczy, hipopotamy na chudych nóżkach, czy drobiazgi, jak przypadkowe spotkanie, zaskakujący widok, przelotny zapach, ta jedna decydująca o wszystkim sekunda?

Na dnie mroku łagodny płomyk świecy. Wokół ciemność, tylko ten nikły blask, w którym można prowadzić pióro, linijka za linijką, po cienkim papierze.

Słowa przekazujące to, co kiedyś było ważne: przeżycia, myśli, uczucia. Żeby nie być jak ci inni umarli, przy grobach których zbierają się bliscy – małżonkowie, dzieci, wnuki – którzy są jednak obcy, bo nic nie wiedzą, bo nie chcą nic wiedzieć i nie powinni nic wiedzieć.

Być jak otwarta księga... Nawet jeśli się nie ma siły, by wydobyć głos, to trzeba nadać siłę zapisanym słowom.

Karl Heidemann pisał i pisał, zapisywał puste kartki notatników swoim życiem i sobą, w każdej literze. Cały czas, jaki mu jeszcze pozostał, poświęcał tylko temu, nie zważając na upał, na zimno, na ból oczu i ciała.

Od czasu do czasu opuszczał szyb, skradał się do skraju pola kukurydzy i patrzył na Aubruck, na promieniejącą szczęściem milczącą matkę, która z czułością nosiła kołyszące się w niej maleństwo. Ukryty w kukurydzy patrzył, jak oboje podchodzą do pola i matka na chwilę się zatrzymuje, jakby chciała powiedzieć: „Popatrz, aniołku, tutaj poznałam twojego tatę”.

I Karl przemawiał cicho do tego aniołka: „Jestem tutaj, skarbie. Słyszysz mnie? Jestem tutaj”. Choć Marie nie mogła usłyszeć jego słów, otrzymał na nie odpowiedź – mocniejsze bicie serca, jakby aniołek mówił: „Tak, tatusiu, słyszę cię. Wiem, że tu jesteś”.

Wracał szczęśliwy do szybu, ciesząc się, że ono tak rośnie, i jednocześnie martwiąc się, że on, jego czas, tak się kurczy, stanowczo za szybko. Mijały kolejne tygodnie, a on coraz bardziej się śpieszył, czując, że może mu zabraknąć sił i czasu na dokończenie własnej historii, na przekazanie swojemu dziecku tego jednego, co mógł mu przekazać.

Kroniki życia.

„Znajdź tę swoją dziewczynę. Obiecuj mi, że to zrobisz. Znajdź ją i uważaj na nią”.

Już ją znalazł, nie dla siebie. Znalazł ją gdzieś między gwiazdami, gdzie dusze czekają na to, by zaproszono je do życia.

Karlowi nie będzie już dane przeżyć coś więcej. Na to ten świat był dla niego

zbyt obcy. On był zbyt obcy dla tego świata.

Horst Schubert... ojciec... Będzie dobrym ojcem, kochającym, takim, na którym można polegać... Na pewno.

Karl, coraz słabszy, coraz bledszy, pisał dalej, aż w końcu wypełnił wszystkie strony notatników, poza pierwszą i ostatnią. Stodoła życia była już uprzątnięta, plony zostały zwiezione, gotowe do przekazania. Jedyny podarek dla nowego życia, który miał jakąkolwiek wartość. Dziedzictwo.

A potem pozostało do zrobienia już tylko jedno, ale na to będzie musiał jeszcze poczekać, na ten dzień, kiedy będzie mógł dać całą swoją miłość. Wtedy zapisze tę pierwszą i ostatnią stronę, zapakuje notatniki, naklei znaczki i wyśle na adres Marie Schubert, z prośbą, żeby to przeczytała, przechowała i kiedyś dała to dziecku.

Tego samego dnia wyśle również list do Horsta Schuberta, tak by ten mógł Karla znaleźć, żeby ta młoda rodzina, wiedząc o jego śmierci, mogła żyć bezpiecznie. Życie za śmierć. Za jego śmierć.

Dla niego ten dzień skończy się tutaj, w szybie. Dwa cięcia i mroźny sen. Będzie czekał na śmierć jak na przyjaciela, z wdzięcznością, w ciszy i spokoju.

Ten dzień miał nadejść.

Niebo bez jednej chmury. Z daleka widać dym wznoszący się z kominów i ciągnący jak welon panny młodej. Soczysta i bujna zieleń łąk i pól. Tylko śpiew ptaków, bzyczenie owadów i szmer instalacji elektrycznej. Szelest liści drzew i wiatru. Spokojne miejsce... ale coś się zapowiada.

Karl, ze swoimi notatnikami, stoi na skraju lasu, dokładnie w tym miejscu, w którym kiedyś rozpoczęła się jego ucieczka, gdy ścigano go z psami.

Ludzie w milczeniu stoją przed domami, czekając w napięciu.

Nowe życie daje nową nadzieję.

Poród przebiegał bez bólu, w każdym razie nie słyhać było żadnych krzyków ani skarg. Marie Schubert rodziła, a żaden z mieszkańców Aubruck nie miał pojęcia, ile to jeszcze może potrwać, zanim dolinę wypełni długo oczekiwany głośny krzyk. Nowe życie. Któremu się nie śpieszyło, jakby wcale nie chciało opuszczać bezpiecznego ciała matki. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Ludzie zaczęli się niepokoić. Niepokojny był także Karl. I zmartwiony.

I wreszcie rozległ się głośny krzyk, głos noworodka. Jak u noworodka, a jednak coś w nim było. Karl słyszał to coś; chociaż bardzo się przed tym bronił, słyszał rozpacz i ból. Ból, który z pewnością znajdzie ukojenie i pocieszenie w ramionach głuchoniemej matki, ale to nie wystarczy. Nie w tym życiu. Nie na tym świecie.

Jego dziecko. Była jego dzieckiem. Krwią z jego krwi.

Karl Heidemann opadł na kolana i poruszony patrzył na kartki, które trzymał, na zapełnione strony, i wiedział, że te słowa nie są jedynym dziedzictwem,

które pozostawia. Pozostawiał również swoje brzemie.

– Urodziła nam się córeczka! – zawołał szczęśliwy Horst Schubert. – Anna!

Pióro skrobało na papierze, na pierwszej – pustej – stronie. Trzeba było dać tym wszystkim słowom początek, dedykację. A potem spojrzeć w niebo i pozwolić jej żyć.

To jej życie.

*Anna*

*Jakie piękne imię.*

*Anna.*

*Taki masz czysty głos.*

*Tak głośno krzyczysz.*

*Tak bardzo Cię boli.*

*Naucz się znosić ten ból spokojnie.*

*Niech Cię niesie cicha miłość Twojej mamy, troska Twojego ojca, i moja.*

*Na mnie już czas.*

*Czas zapisać ostatnią stronicę.*

*Czas to zakończyć, patrząc za siebie i wiedząc:*

*Że dziś jest szczęśliwy dzień: Twojego przyjścia i mojego pożegnania.*

*Bądź szczęśliwa, moja córeczko.*

## Przypisy

<sup>1</sup> Johann Wolfgang Goethe, *Torquato Tasso*.

<sup>2</sup> Johann Wolfgang Goethe, *Erwin und Elmire*.

<sup>3</sup> Theodor Storm, *Es is ein Flüstern*.

<sup>4</sup> Theodor Fontane, *Alles Still*.

<sup>5</sup> Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przełożył Stanisław Wyrzykowski.

<sup>6</sup> Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Rdz 1, 1-5.

<sup>7</sup> Theodor Fontane, *Guter Rat*.

<sup>8</sup> Wilhelm Müller, wiersz z cyklu *Die schöne Müllerin*.

<sup>9</sup> *Ave verum Corpus*, krótki hymn pochodzący prawdopodobnie z XIII lub XIV w.

<sup>10</sup> Biblia Tysiąclecia, Ps. 33,1; Wydawnictwo Pallottinum.

